

Paweł Jurek

Pora na miłość

Pamięci mojej Mamy Stefani

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Mam na imię Adam i chciałbym się zabić, bo... Właściwie nie wiem, co mi jest. A kogo to zresztą obchodzi? Nie chce mi się żyć i już!

Poza tym wszystko jest w najlepszym porządku. Naprawdę! Mam trzydzieści osiem lat, więc jestem jeszcze młody, chyba przystojny, kobiety mówią, że seksowny. Posiadam niezłe mieszkanie, dobry samochód, mam piękną narzeczoną, kochającą matkę, rodzinę, z którą jestem bardzo blisko, sprawdzonych przyjaciół, oddanych pracowników, umiejętnie zainwestowałem oszczędności. Mógłbym wymieniać bez końca, ale po co drażnić kogokolwiek swoimi sukcesami? Jestem właścicielem sporej firmy handlującej markowymi kosmetykami. Żyję nie tylko z pracy, ale także pracą. Myślę, że wielu mogłoby pozazdrościć mi życia, jakie prowadzę. Jeszcze do niedawna było całkiem fajne i proste. Poukładane i uporządkowane. Piękne i wspaniałe. Sterylne i... do wyrzygania nudne.

Długo na to pracowałem. Nic mi nie dolegało, nic tak naprawdę nie zaprzętało mojej głowy. Miałem sporo szczęścia i dużo talentu. A teraz co? Skończyło się. Siedziałem na terapii dla niedoszłych zdechłaków - musiałem się na nią zapisać, bo już nie dawałem rady - słuchałem zwierzeń takich samych nieszczęśników jak ja i zastanawiałem się, dlaczego musiało mnie to spotkać?

No, dlaczego?

Zamiast pograć w golfa w Country Clubie, być na masażu w Hyacie, pić drinki w Cinnamonie albo szaleć na zakupach w Nowym Jorku, wpatrywałem się baranim wzrokiem w swojego Terapeutę i wysłuchiwałem smętnych wynurzeń współtowarzyszy.

- Skoro zdecydowana większość wyznała, że tym, co utrzymałoby was przy życiu, jest miłość - głos Terapeuty

wyrwał mnie z odrętwienia - chciałbym, żebyście teraz powiedzieli krótko, najlepiej jednym zdaniem, czym jest miłość? Proszę, zaczynamy, może tym razem od lewej strony.

- Czy możemy cytować poetów?

- Raczej nie. Wolałbym, żeby to było własne zdanie. Bardzo proszę.

- Miłość jest jak róża bez kolców - odpowiedziała Matylda, kobieta samotna, matka, pisarka. Przedstawiła się też jako autorka „bestsellerów”, ale ja niestety żadnego z nich nie przeczytałem, nawet nie wiedziałem o ich istnieniu. Prawda jest taka, że w ciągu ostatnich kilku lat przeczytałem w całości tylko jedną powieść: drugą część Bridget Jones, i było to w zeszłym roku na wakacjach na Gran Canarii, gdzie pożyczyła mi ją głodna seksu pani dermatolog, która przez cały czas próbowała mnie poderwać. Nie jestem pewny, ale chyba Iwona dała mi kiedyś w prezencie pierwszą część książki, podobno dużo lepszą, ale nie wiem, gdzie się podziała. Pewnie zagubiła się podczas ostatniej przeprowadzki. Myślę, że taki sam los spotkał Zycie Pi, które podarował mi na ostatnie urodziny Bogdan, i dlatego za każdym razem, kiedy się spotykamy, pyta mnie: „Przeczytałeś?”. Powinienem kupować więcej książek, a niektóre z nich nawet przeczytać! Może dobra literatura pomogłaby mi bardziej niż zła terapia?

- Miłość to... kupa... gnoju - to sentencja Andrzeja „Płaczka”, właściciela małej firmy handlującej artykułami papierniczymi, którego puściła w trąbę już trzecia żona. Moim zdaniem to zwyczajny masochista. Wcale nie chce się zabić, tylko czeka na kolejną kobitkę, która sprawi mu manto. Nazywam go „Płaczkiem”, bo za każdym razem, kiedy zabiera głos, w jego oczach pojawiają się łzy, zaraz potem sięga po chusteczkę. Wszyscy natychmiast wzdychają, bo trochę to krępujące - z kim ja muszę przebywać!

- Miłość to podróż w nieznane - trzecia w kolejności była Anita, scenografka z serialu telewizyjnego. Nawet fajna z niej babka, z temperamentem. Takie jak ona kupują najczęściej moich produktów. Dużo makijażu i biżuterii, markowe ciuchy... Lubi się podobać facetom, twierdzi, że ma stałego partnera. Ostatnio wiele czasu poświęca chorej matce.

- Miłość to ogromny dar - zauważyła Teresa, pracownica jakiegoś banku, samotna matka z dzieckiem. Tęskni za facetem facetopodobnym, chętnie z domkiem z ogrodem pod Warszawą i - koniecznie! - z samochodem. Mnie, na szczęście, nie bierze pod uwagę. Mieszka na Bródnie. Przeżyła niedawno romans z oszustem wirtualnym, poznanym na czacie, i do tej pory nie może dojść do siebie. Ma lekki meszek pod nosem. Niektórzy to lubią...

- Miłość to treść życia. Myślę, że nie tylko mojego. Wystarczy? - odrzekł Sebastian, młody lekkoatleta, mistrz Polski w biegu przez płotki, czasowo w zawieszeniu z powodu znalezienia w jego organizmie środków dopingujących. Po zajęciach zawsze czeka na niego dziewczyna. Oboje mają na twarzach tak dużo pryszczycy, że mam ochotę podarować im bezpłatny kupon do mojego salonu kosmetycznego. Myślę, że często się ze sobą bzykają.

- Miłość to latarnia, która prowadzi nas przez życie - stwierdziła Helena, farbowana blondynka około czterdziestki. Wydaje mi się jakaś taka... groźna? Chyba dlatego omijam ją wzrokiem i nie zapamiętałem nawet, czym się zajmuje.

- Miłość to... Hm... Jak by tu powiedzieć w jednym zdaniu... Chyba nie potrafię. To strasznie skomplikowane... - plątał się Wiktor, senior pośród nas, wdowiec. Były wojskowy w stopniu pułkownika. Niedawno stracił żonę. Byli małżeństwem przez czterdzieści sześć lat. Odkąd umarła, jego życie straciło sens, ale mimo to nie opuściło go poczucie humoru. Patrzy na mnie spode łba, odkąd beztrąsko

powiedziałem mu, że nie byłem w wojsku. Podejrzewam, że chętnie sprawiłby mi manto, chociaż nie wiem za co. W młodości facet trenował boks w Legii Warszawa.

- A niech będzie jednym zdaniem: miłość to miłość! Śmiech. Wiktor zawsze wszystkich rozśmiesza. A właściwie to uważamy, że nas rozśmiesza.

Teraz wszystkie oczy wpatrywały się we mnie. A ja milczałem.

- Adamie, prosimy... - upomniał mnie Terapeuta.

Dobrze, zaraz wam powiem, co to jest miłość... chociaż... sam nie wiem. Ale za chwilę coś wymyślę. Od czego w końcu mam głowę na karku.

Miłość to... Miłość tamto... Miłość jest... Miłość bywa... Spoko, spoko, panuję nad sytuacją. Jeszcze chwila... Ja też potrafię być wyluzowany, uśmiecham się i... I nic nie przychodzi mi do głowy. Bo czym naprawdę jest ta cholerna miłość? Dłużej nie mogłem się zastanawiać, więc zacząłem:

- Mam na imię Adam i chciałbym...

- Nie musimy się przedstawiać za każdym razem - upomniał mnie łagodnie Terapeuta.

Już nie byłem tak bardzo wyluzowany. Zastanawiałem się, po co mi ta cała terapia? Żeby przyniosła jakieś efekty, trzeba w nią wierzyć...

- Miłość to... święty spokój - wydusiłem z siebie w końcu.

- Dziękuję ci, Adamie.

W temacie „miłość” nastąpił na szczęście koniec. Terapeuta włączył indyjską muzyczkę, kazał nam ćwiczyć oddechy („niech żyje hiperwentylacja!”), myśleć, jacy to jesteśmy wspaniali, i wyciągać z głowy wszystko co najlepsze.

Więc wyciągnąłem i przez chwilę poczułem się nawet fajnie.

Byłem na zajęciach trzeci raz. Trudno powiedzieć, czy mi pomagały. Na pewno zabijały czas. Słuchając o nieszczęściach innych, odpowiadając na pytania i czasami coś tam zmyślając, miałem przynajmniej zajęta głowę i nie myślałem przez cały czas o tym, co mnie spotkało.

Po zajęciach podszedłem do swojego samochodu i natychmiast wyjąłem komórkę, bo na terapii był całkowity zakaz nie tylko używania, ale nawet przynoszenia telefonów komórkowych. A nóż widelec dostałem jakiegoś SMS - a, który zmieni moje życie?

Nie zdążyłem nawet spojrzeć na wyświetlacz, kiedy za plecami usłyszałem kobiecy głos.

- Może chce pan psa?

- Co takiego? - odwróciłem się. Przede mną stała Helena, ta blondynka koło czterdziestki. A jeszcze niedawno postanowiłem jej unikać. Przyglądałem się jej, ciągle z komórką w dłoni, i z bliska spostrzegłem, że chyba bliżej jej do pięćdziesiątki. Nawet zgrabna. Duże piersi, tyłeczek też niezły. Gustownie ubrana. Ciuszki bez metek, ale z dobrych materiałów. Interesujące kolory. Stała na tyle blisko mnie, że czułem zapach jej perfum.

- No, malutkiego pieska. Bo ja kompletnie nie wiem, co z nim zrobić. Przyjaciele podarowali mi szczeniaka, a ja wcale go nie chciałem.

Czego ona ode mnie chciała? Chyba nie łudziła się, że wepchnie mi tego psa. A może wyglądałem na aż tak naiwnego? Co się ze mną porobiło?!

- Adamie, czy mogę mówić ci po imieniu?

Dziwnie było to, że na terapii mówiliśmy sobie po imieniu, a po zajęciach byliśmy na „pan” i „pani”, co chyba świadczyło na naszą niekorzyść, a może na niekorzyść naszego Terapeuty?

- Oczywiście. Bardzo proszę - zgodziłem się wbrew sobie.

Schowałem komórkę do kieszeni - zaczęła mnie już palić w dłonie - za to zabrzączałem kluczykami, żeby pokazać, że się spieszę. A tu nic, zero reakcji. Rany boskie... Kim ona jest?

- Nie znasz mnie? Nie słyszałeś o mnie? To ja jestem słynną wróżką Alidą. Pomagam ludziom spotkać się ze swoim przeznaczeniem.

- Musisz mi kiedyś powróżyć, Heleno. Umówimy się po następnych zajęciach, dobrze?

Uznałem ten tekst za znakomity pomysł, żeby się jej pozbyć. Odwróciłem się w stronę samochodu. Oczywiście żadna siła nie zaciągnie mnie do wróżki! Wystarczy, że zapisałem się na terapię.

- Nie żartuj, wcale tego nie chcesz. A ja nie będę cię namawiać, chociaż masz bardzo ładną aurę. Powiem ci tyle: twoja przyszłość jest interesująca.

Ciekawe, co to znaczy, że mam ładną aurę? Co właściwie Helena o mnie myśli? Czy jestem dla niej interesujący? Atrakcyjny? Jaki w ogóle jest jej stosunek do mężczyzn?

Mój stosunek do kobiet był mieszanką uwielbienia z lekceważeniem. Z jednej strony uważałem, że prawdziwie piękna kobieta powinna być noszona na rękach, wręcz wynoszona na ołtarze i czczona jak bogini, z drugiej strony jednak wiedziałem z doświadczenia, że większość kobiet to bezmyślne istoty zdolne jedynie do prowadzenia domu, rodzenia dzieci i słuchania mężczyzny. W sytuacjach zawodowych starałem się być wobec nich pełen galanterii, w życiu prywatnym różnie z tym bywało. Generalnie, szczególnie w ostatnich latach, byłem myśliwym, wolałem zdobywać, niż być usidlanym. Tak było bezpieczniej, bo przy mojej pozycji majątkowej bałem się, że kobiety bardziej niż mną mogą być zainteresowane moimi pieniędzmi. Dlatego

wolałem kontrolować sytuację. I chyba dlatego dość szybko się nudziłem. Wyjątkiem była Iwona, tak mi się przynajmniej długo wydawało, i... Nie, nie będę o tym myślał, nie teraz. Teraz musiałem jakoś szybko zakończyć tę rozmowę.

- Nie wiem, czy mam coś mówić, bo ty przecież wszystko o mnie wiesz... Słuchaj, tak naprawdę to ja chyba jestem beznadziejny - powiedziałem nieoczekiwanie.

- Nieprawda. Nikt nie jest beznadziejny - spojrzała na mnie uważnie. - To chcesz tego psa czy nie chcesz?

- Raczej nie.

- Będę musiała oddać go do schroniska.

- Może jeszcze się zastanów. Psy potrafią być bardzo pożyteczne i wierne... - Boże, co ja mówię, nie lubię żadnych zwierząt, żadnych psów, kotów, rybek.

- Ale ja naprawdę nie mogę go zatrzymać.

- Dlaczego?

- Bo jestem chora. Mam raka. Być może wkrótce umrę - oświadczyła nagle.

Jeżu, po co ona mi to powiedziała? Najpierw chciała mi wcisnąć psa, a teraz wyskoczyła z chorobą. Pewnie chciałyby, żebym jej współczuł. A ja nie umiem. Może jednak mogę jej jakoś pomóc.

- Tak mi przykro - wydusiłem w końcu. Zapadła cisza. Po chwili Helena ciągnęła dalej.

- Znajomi kupili mi tego psa, bo uznali, że za dużo myślę o sobie i wtedy mi odbija. Co mnie może jeszcze czekać w życiu? Operacja? Chemioterapia? Mastektomia? Nie, nie mam siły, żeby to wszystko przechodzić. Pomyśleli, że gdy będę miała dla kogo żyć, to mi przejdzie. Ale ja nie chcę przeżyć ostatnich dni swojego życia, sprzątajac kupy po psie! Najpierw chcę się trochę zabawić, a dopiero potem zbawić. Mam mało czasu, żeby robić to, czego nigdy nie robiłam.

- To dobra myśl. Może potem będziesz jednak chciała się leczyć?

- Nie. Ja chcę umrzeć... tylko nie potrafię. Poczułem się głupio. Nie wiedziałem, jak jej pomóc, ale zaskoczyła mnie myśl, że w ogóle chciałem.

- One są dla mnie bardzo ważne. Nie chcę ich stracić. Wyprostowała się, jakbym nie wiedział, o czym mówi.

Cycki, to jest piersi. Ciekawe, jak ja bym się czuł, gdybym był naprawdę chory? Straciłem głowę, ale na to, jak się okazało, nie ma żadnego lekarstwa, żadnej operacji, żadnej chemioterapii.

- Nie ma ratunku? - zapytałem tak sobie.

- Za późno poszłam na badania. Chciałam się trochę... podreperować. Najpierw wzięłam jedną dawkę hormonów, potem drugą... Po pewnym Czasie poczułam, że moje piersi stają się jakby twardsze. Zaniepokoiło mnie to. Poszłam do lekarza. Właściwie od razu chcieli mnie zawieźć na stół operacyjny, ale się nie zgodziłam. Lekarz był na mnie zły, ale żeby mi jakoś pomóc, dał mi skierowanie na terapię. Nie wiedziałam, że spotkam tu tylu ciekawych ludzi.

Dla mnie wszyscy z terapii byli raczej nudni. Kiedy się zgłosiłem, od razu spytałem Terapeutę, czy mogę mieć zajęcia indywidualne. „Nie”, odpowiedział krótko.

- Wszyscy myślą tylko o sobie - kontynuowała Helena. - Egoiści. Mnie przez lata uważali za pieprzoną altruistkę. A teraz mam tego dość! Dopiero niedawno zrozumiałam, że muszę pomóc sobie, że muszę zająć się swoim życiem. Niestety, jest już za późno...

Pozwalałem jej gadać, a tam, w moim telefonie, być może czekał SMS, który zmieni wszystko. Co tu robić? A Helena opowiadała dalej:

- Ja... właściwie od dziesięciu lat jestem sama, więc po co mi te piersi, myślę sobie. A jednak wciąż mam nadzieję, że

poznam kogoś, kto je doceni. Ciągłe wierzę w tę głupią miłość. Ludzie czują się bardzo samotni, a jednak wierzą, że w końcu spotkają tego jedyne go lub jedyną.

Od dziecka marzyłem o samotności, żeby móc robić tylko to, co naprawdę chcę. Dopiero niedawno coś mnie wzięło, opętał mnie jakiś cholerny demon.

Teraz też chciałem być sam.

- Ja jakiś czas temu spotkałem wspaniałą dziewczynę... - Boże, co ja jej mówiłem! - Moja narzeczona ma na imię Iwona. Mamy już dom. Chcemy mieć dzieci i tak dalej. Rozumiesz.

- Skoro tak ci dobrze, to dlaczego tu jesteś i chcesz umrzeć?

Zacząłem się jąkać.

- To... bardzo osobiste pytanie... Wszyscy trochę udajemy, że chcemy umrzeć - powiedziałem w końcu. - Przepraszam, ale spieszę się - dodałem speszony.

- Mam do ciebie prośbę. Chcę... żebyś mnie przytulił.

Wykluczone! Nie znoszę żadnych przytulane k, nie będę tulił jakiejś obcej baby! A jednak zrobiłem to, kątem oka kontrolując, czy nikt nie patrzy.

- Nie tak... Mocniej. Dłużej.

Zacisnąłem zęby, uścisnąłem ją z całych sił bez słowa. No, proszę, niech nadal mówią o mnie, że jestem egoistą.

- Dziękuję. Muszę już iść. Nakarmić tego cholernego psa.

- Naprawdę przykro mi z powodu tego raka - powiedziałem całkiem szczerze.

- Jeszcze będę robiła dodatkowe badania.

- To mi się podoba. Nie poddawaj się. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Szybko wsiałem do samochodu. Spojrzała na markę.

- Niezłe auto - powiedziała - chętnie się przejadę. Niezłe! To jaguar. Gdybym jeździł bugatti... A, niech myśli, co chce.

Grunt, że nareszcie byłem sam. Sięgnąłem natychmiast po telefon. Ręce mi się trzęsły. Tak! Była wiadomość.

„Nie dostarczono do...”, odczytałem suchy komunikat.

Zakręciło mi się w głowie. Teraz ja chciałem, żeby mnie ktoś przytulił. Rozejrzałem się za Heleną, ale ona już wsiadała do swojego volvo.

SMS, i to potrójny, przepadł! Ona nawet go nie przeczytała, a tak na to liczyłem.

A może to dobrze? Kłamałem w nim przecież, że wszystko jest super, że chodzę na terapię, że już o niej nie myślę...

Co ja mam teraz zrobić?

Co robić?

ROZDZIAŁ 2

- Ty mnie w ogóle nie kochasz! Jak mogłeś mi to zrobić! No jak?! Przecież cię prosiłam! Dzwoniłam. Wysyłałam SMS - y, maile! A ty sobie przychodzisz i mówisz, że go nie masz! Lekceważysz mnie! Masz za nic!

Iwona krzyczała na mnie, drapała, okładała pięściami. A ja... Ja byłem i przerażony, i... znudzony.

Nie spodziewałem się takiej hysterii przez zwykły łańcuszek z dwudziestoczerokaratowego złota ważący prawie dziewięćdziesiąt gramów.

Iwona podarowała mi go bez okazji i była pewna, że ten prezent mnie ucieszy. Nosilem go przez jakiś czas bez entuzjazmu, potem zdjąłem i szybko o nim zapomniałem.

- Tak się starałam! Szukałam, wybierałam, aż trafiłam na odpowiedni. Twierdziłeś, że ci się podoba, a nie nosisz go od ośmiu tygodni.

- Obcierał mnie. Musiałem go zdjąć.

- Gdzie cię obcierał?

Wskazałem na kark. Natychmiast wskoczyła mi na kolana i zajrzała za głowę.

- Niczego nie widzę.

- Bo to było dwa miesiące temu.

- Wcześniej cię nie obcierał?

- Wcześniej nie robiłem ćwiczeń na mięśnie nóg.

- Jak to?

- Zacząłem ćwiczyć po tym, jak mi powiedziałaś, że mam nogi jak patyki.

- Adam, taka jest prawda, nie gniewaj się. Twoje nogi w stosunku do całej sylwetki są za szczupłe. No to jak się poobcierałeś na karku? - Iwona sprawnie powróciła do głównego wątku, a już miałem nadzieję, że tego nie robi.

- Podczas przysiadów gryf sztangi trzyma się zwykle na karku, o tak. A wtedy przeszkadzał mi twój łańcuszek, więc go zdjąłem.

- To dlaczego nie założyłeś go z powrotem po treningu?

- Bo zapomniałem.

- Jak można zapominać o czymś przez osiem tygodni?!

Można. Schowałem łańcuszek do pudełka i w ogóle do niego nie zaglądałem. Iwona stale mi o nim przypominała, a ja stale zapominałem. Pewnie to coś znaczyło.

Moja narzeczona, Iwona, ma trzydzieści trzy lata. Jest wysoka, szczupła i ma bajecznie długie nogi. Jest naturalną blondynką o szarych oczach, ale nosi błękitne soczewki kontaktowe. Biodra może ma za wąskie, nieco chłopięce, ale biust w sam raz, przynajmniej dla mnie.

Poznaliśmy się trzy lata temu na promocji Acqua di Gio Armaniego i przypadliśmy sobie do gustu. To dla mnie Iwona zakończyła swój czteroletni związek z Bernardem, jednym z menedżerów Citibanku. Ja akurat byłem sam, więc nie miałem nic przeciwko temu, żeby się z nią pospotykać, ale nie traktowałem tego zbyt poważnie. W każdym razie na początku. Jednak mniej więcej dwa lata temu zacząłem myśleć o Iwonie jako o mojej narzeczonej. Sam nie wiem dlaczego. Bo właściwie za co lubię Iwonę?

Bardzo przyjemnie zwiedza się z nią perfumerie, przy czym ona preferuje Sephorę, a ja Douglasa.

Dosyć dobrze się ubiera, choć czasem zdarza jej się trafić kulą w płot.

Zawsze ładnie pachnie i ma perfekcyjnie zrobiony makijaż. W ogóle jest „zrobiona” od a do z.

Siedzi wyprostowana przy stole. Doskonale posługuje się sztućcami - ten plus jest zasługą mojej mamy, która zwróciła mi na to uwagę.

Dobrze się z nią ogląda telewizję, zwłaszcza włoskie programy. Iwona tak jak ja zna bardzo dobrze włoski i trochę hiszpański.

Niestety, podczas oglądania telewizji śmieje się w sposób typowy dla osób, które chcą pokazać, że doskonale wszystko rozumieją.

A, Iwona ma jeszcze kota - syberyjską rudą Kicię. Ale czy to jest zaleta? Czasem bywa. .

Iwona skończyła ekonomię, pracuje w firmie farmaceutycznej. Zarabia 24 tysiące miesięcznie brutto. Posiada własnościowe mieszkanie na Woli, a dokładnie na ulicy Płockiej, o powierzchni 116 metrów kwadratowych. Jeździ dwuletnią toyotą corollą. Ma około pół miliona złotych w funduszu inwestycyjnym, co pozwala mi wierzyć, że jest ze mną nie tylko dla pieniędzy. Poza tym jej rodzice jakiś czas temu rozwinęli firmę farmaceutyczną, którą sprzedali z dużym zyskiem, kiedy postanowili przejść na emeryturę. Teraz sporo podróżują. Obecnie są w Australii, skąd przez e - maile przesyłają fotografie - blokujące nasze skrzynki pocztowe - którymi mamy się zachwycać.

O siódmej rano obudził mnie telefon od taty Iwony - w Australii jest wtedy dwudziesta druga albo coś koło tego.

- Adamku, obejrzałeś już nasze foty? Świetne, co? Sam je robiłem. Tym najnowszym aparatem Nikona. Osiem milionów pikseli. Masz pojęcie? Na trzecim jest Alice Rock, a na czwartym miś koala... Aha, wczoraj jedliśmy kotlet z kangura. Smakuje jak gotowana wołowina. Obrzydlistwo. Mama cały czas wcina deser Pawiowej, ale ja za nim nie przepadam, jest za słodki. A teraz daj mi Iwonkę.

- Nie ma jej tutaj.

Nie wiedziałem, jak się mam do niego zwracać. „Proszę pana” nie pasowało. „Tato” też nie. „Przyszły tato”? „Tato

Iwony"? Przeszliśmy już dawno na ty, ale imię Włodek wciąż nie chciało przejść przez moje gardło.

- Co to? Jeszcze ze sobą nie zamieszkaliście? Regina! Jego głos zniknął gdzieś w oddali.

- Wyobraź sobie, że u nich dalej nic...

Wołał tak do swojej żony. W tle słyszałem piskliwy głos swojej przyszłej teściowej: „Nie gadaj tyle przez telefon, przecież wiesz, ile to kosztuje! 8 złotych za minutę”.

I tak prawie codziennie.

- Gdybyśmy ze sobą zamieszkali, nie byłoby tych problemów - Iwona najwyraźniej była tego samego zdania co jej rodzice. - Nie zapominałbyś niczego, bo ja bym ci o tym przypominała.

- Obiecuję, że jutro go włożę. Zadowolona?

- Nie. Już ci nie wierzę. Obiecujesz to od ośmiu tygodni. Dlaczego teraz mam ci wierzyć? Gdzie on w ogóle jest?

- Chyba u mamy... - usiłowałem sobie przypomnieć.

- Zostawiłeś u swojej mamy prezent ode mnie?

- Tak. Byłem akurat u niej po siłowni na kolacji.

- Dotychczas twierdziłeś, że łańcuszek jest w twojej pracy!

- A co to za różnica? Nie pamiętam. To było osiem tygodni temu. Nie wiem, jak było dokładnie.

Czy kobiety zawsze muszą być takie uparte? Siedzieliśmy w moim mieszkaniu na Saskiej Kępie i od dwudziestu minut rozmawialiśmy o tym cholernym łańcuszku.

- Ale ja wiem.

- Tak? Skąd?

- Prowadzę dziennik.

- Jaki dziennik, po co ci on? - poczułem się lekko zaniepokojony.

- Zapisuję w nim wszystkie kłamstwa. Ale to moja tajemnica.

- Iwona, wyluzuj, o co ci właściwie chodzi?

Miałem już serdecznie dosyć całej tej rozmowy. Najpierw terapia, potem Helena, a teraz jeszcze Iwona ze swoimi pretensjami i tajemniczym dziennikiem. Naprawdę chciałem zostać już sam.

- Zgoda, ale powiem jeszcze jedno. Dobrze się czuję, kiedy wiem, że go masz na sobie. Ten łańcuszek jest pełen pozytywnej energii ode mnie. Poza tym wyglądasz w nim jak paker, a ja lubię pakerów.

- Co? - osłupiałem. - Skoro lubisz pakerów, to powinnaś poderwać Pudzianowskiego. Z tego co wiem, on jest ciągle do wzięcia.

- Nie podoba mi się Pudzianowski tylko ty. Ty mnie po prostu nie kochasz.

Zatkało mnie. Zawsze jest tak, że niezależnie o czym rozmawiamy, kończy się na tej samej kwestii. Jezu! Co te kobiety z tą miłością? Jak tylko coś nie jest po ich myśli, od razu wyskakują z takim argumentem. Chrzanię taką miłość. Wypiłem łyk wody. Potem następny. Potem jeszcze jeden. Grałem na czas.

- No, powiedz coś.

- Nie mogę. Piję.

- Zawsze coś robisz, kiedy zaczynam mówić o miłości.

Tylko spokój może mnie uratować. Czwarty łyk. Piąty. Szósty... Za chwilę siódmy... Staram się pić po siedem łyków, odkąd obejrzałem Dzień świra. Całego filmu nie udało mi się zobaczyć, bo całowaliśmy się z Iwoną. To znaczy ona mnie całowała, ale na szczęście bez języczka.

- Zmuszasz mnie, żebym zachowywała się jak dziwka! - krzyknęła Iwona.

Z wrażenia aż się zakrztusiłem przy ostatnim łyku i oblałem wodą.

- Co ci przychodzi do głowy? Iwona, opanuj się.

- Bo tylko ja jestem... aktywna... w tym związku. Myślałeś o tym?

Staralem się nie myśleć, przyznaję, ale tylko przed samym sobą.

- To ja pierwsza cię całuję - ciągnęła Iwona. - Ja cię rozbieram, ja...

Jest zbyt pruderyjna, żeby dokończyć. Prawda jest taka, że od jakiegoś czasu praktycznie nie uprawialiśmy seksu. A jeśli uprawialiśmy, to jak małolaty. Z bliżej nieokreślonych powodów Iwona ostatnio nie pociągała mnie. Nie teraz. Każdy normalny facet ślini się na jej widok, a ja... Najgorsze, że zupełnie mi to nie przeszkadzało. Jestem normalnym facetem, mam trzydzieści osiem lat i nie chcę się kochać ze swoją superlaską. Może o tym powinienem porozmawiać na terapii?

- Czy ja ci kiedykolwiek powiedziałem, że nie chcę?

- Nie musisz mówić. Czuję to.

- Ciekawe, w jaki sposób? Nigdy cię nie odepchnąłem.

- Ale też nie zachęcałeś.

- Dobrze wiesz, że moje ciało reaguje na ciebie jak na kobietę.

- I na tym się kończy.

Iwona wstała z kanapy, patrząc na mnie oskarżycielsko.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie - przyznałem z rozbijającą szczerością. Patrzyła na mnie wyczekująco. Mijała minuta za minutą. W końcu w jej oczach pojawiły się łzy.

- Ty o mnie nawet nie pomyślisz. - .. Nie zapytasz, czy coś mnie gryzie.

Opadła obok mnie. Zbliżyłem się do jej twarzy i zlizywałem te łzy jedną po drugiej. Były słone.

- A gryzie cię coś?

- Tak, nawet bardzo.

- Co?

- Nie wiem, czy w końcu się pobierzemy czy nie.
- Jasne. Jutro? - zaproponowałem beztrąsko.
- Wykluczone. Moi rodzice są w Australii.
- Zrobimy im niespodziankę. Jak wrócą, pokażemy im obrączki na palcach. Chcesz?

- A co z weselem?
- No tak... Lepiej zaczekajmy, aż wrócą - próbowałem ukryć ulgę.

- Obiecujesz?
- Obiecuję.
- Och, kocham cię.

Piętnaście minut przytulania, całowania, miziania i lizania sutków. Moich. Najpierw było fajnie, potem mniej fajnie, a w końcu zrobiło się już niefajnie.

- Iwona, jestem już zmęczony. Chcę iść spać. Wstałem. Wiedziałem, że byłem niegrzeczny. Bolały mnie sutki. Czy od tego przypadkiem nie można dostać raka?

- Dobranoc. Wracaj do siebie.
- Nie mogłabym zostać na noc? - Iwona zrobiła się słodka.

- Zostaniesz, ale po ślubie, tak jak ustaliliśmy.
- Będziemy musieli zmienić mieszkanie.
- Co? Znowu?
- To jest przecież za małe. Ma 140 metrów, jak zamieszkamy razem, szybko okaże się za ciasne.

Iwona, rzecz jasna za moje pieniądze, kupiła mi w zeszłym roku to mieszkanie przy Brukselskiej. Wszystko w nim urządziła. Wstawiła ogromny narożnik, czterdziestocalowy telewizor plazmowy, orzechową jadalnię na dwanaście osób. Przywiozła mnóstwo abstrakcyjnych i niepotrzebnych rzeczy. Na dodatek wstawiła tu prawie naturalnej wielkości posązek Buddy i palmę. Nic więc dziwnego, że moje nowe mieszkanie nie sprawiało wrażenia

bardziej przestronnego niż poprzednie, mniejsze niemal o połowę. Godziłem się jednak na wszystko, bo to miało być nasze „gniazdko”. Teraz jednak okazało się, że to Iwone nie wystarczy. Zapewne jeszcze kilka tygodni temu nie zżymałbym się na propozycję przeprowadzki, ale teraz nie chcę się stąd wyprowadzać. Chociaż? Może tak byłoby lepiej? Może udałoby mi się zapomnieć? Problem w tym, że nie chciałem zapominać, bo przeżyłem tu kilka wspaniałych chwil.

- Myślisz, że zamieszkamy kiedyś w Magdalence? - Iwona, jak zwykle, konsekwentnie drażyła temat.

- Przecież wiesz, że mieszka tam moja mama.

- Twoja mama mogłaby zamieszkać tutaj.

- Z posążkiem Buddy?

- Buddę zabierzemy ze sobą.

- Mama nie znosi Warszawy. Obawiam się, że jej nie ruszę z Magdalenki. - Byłem nawet tego pewny. Już widzę minę mamy, gdy jej to proponuję.

- No dobrze. Nie to nie. Jeszcze wrócimy do tego tematu.

- To było to, czego się właśnie obawiałem. - Idę, bo moja Kicia jest już na pewno bardzo głodna. Ale ją wypieszczę, wytarłoszę, poprzytulam! Ech!

To były właśnie plusy posiadania przez Iwonę kotki.

Iwona zebrała się nadspodziewanie ochoczo, włożyła futro z foczki i sięgnęła po torebkę od Batyckiego. Już wychodziła, kiedy coś jej się przypomniało. Wyjęła z torebki pakunek wielkości znaczka pocztowego. Rzuciła to w moją stronę.

- Kupiłam ci stringi. Tylko je noś. Masz fajną pupę, wiesz?

I śmiejąc się, pomknęła do podziemnego garażu i swojej białej toyoty.

Największy problem był w tym, że ja Iwonę bardzo lubiłem, ale chyba nie kochałem, a ona mnie kochała, ale nie

lubiła, bo wszystko, co robiłem, nie podobało się jej i wszystko chciała zmienić. Czasem piliśmy dobre wino i rozmawialiśmy sobie po włosku, i właśnie wtedy było bardzo przyjemnie. Tylko to nie była miłość.

Biedna Iwona. Może powinienem z nią poważnie porozmawiać? Tylko jak?

A jednak ją oszukuję. To nie fair...

Nie, to ja jestem biedny! Nie chce mi się żyć. A dokładniej: nie chce mi się żyć tak jak do tej pory. Nie chcę robić tego, co robiłem do tej pory.

Spojrzałem na komórkę. Przejrzałem wszystkie zachowane SMS - y, jeden po drugim. Niektóre były takie cudowne! Żaden nie był od Iwony. To po co to wszystko?

Poczułem się lepiej, mimo to nie mogłem w nocy zmrużyć oka. Około czwartej nad ranem wstałem, podszedłem do telefonu i skasowałem wszystko, ale i tak nie zasnąłem.

ROZDZIAŁ 3

Mam młodą mamę. W czerwcu skończy pięćdziesiąt siedem lat. Urodziła mnie, kiedy miała dziewiętnaście. Nieźle się trzyma. O dawna nie pracuje, bo jej się nie chce. Chodzi na zabiegi kosmetyczne, zajmuje się domem, dokarmia koty. Czasem wpada do mojej siostry, gdy ta jest akurat w swoim mieszkaniu w Warszawie, zobaczyć się z dwójką wnuków. Poza tym spotyka się z koleżankami, odwiedza brata, chodzi na zakupy, ogląda telewizję. No i ciągle zajmuje się mną. Na moje nieszczęście, rzecz jasna. Chociaż bywa, że nawet dla mnie nie ma czasu.

- Ty nie masz serca! Musiałeś przyjść akurat wtedy, kiedy w telewizji jest odcinek M jak Miłość!

O rany, znowu zapomniałem. Miałem przechlapane. Cały wieczór będzie mi truła, jaki to jestem niedobry.

- Siadaj i nic nie gadaj. Ale na kolację nie licz.

Popchnęła mnie na kanapę, a sama wróciła przed telewizor. Przez kilka minut patrzyłem w ekran, ale niczego nie rozumiałem. I nic dziwnego, skoro był to już 391 odcinek serialu. Zamiast w telewizor wpatrywałem się w twarz mojej matki. Malował się na niej wyraz głębokiej satysfakcji.

Moja mama, kiedy oglądała ten serial, była chyba szczęśliwa. Popatrzyłem wzruszony na jej twarz, na którą padała poświata telewizyjna, i westchnąłem.

- Nie wzdychaj. Jak ci się nie podoba, to wyjdź! - powiedziała.

Wiedziałem, że nie żartuje. Dlatego starałem się nie oddychać, żeby tylko jej nie przeszkadzać. Nawet nie poczułem, gdy moje powieki stały się ciężkie jak z ołowiu i zasnąłem.

Obudziłem się, kiedy mama opatulała mnie pledem. Obserwowała mnie bacznie, wyglądała niczym czujny, groźny ptak.

- Nie śpię - krzyknąłem i zerwałem się na równe nogi.
- A co robisz?
- Rozmyślam.
- O czym?
- O życiu.
- A co ty wiesz o życiu? Gdybyś oglądał seriale, tobyś coś wiedział.

Zapadła krótka, krępująca cisza. Mama zamyśliła się.

- Zabili Krzysztofa...

- Co?!

Byłem przerażony. Nie kojarzyłem, kim był Krzysztof, ale tym bardziej było mi głupio.

- Serce - mama ciągnęła dalej. - Marysia tak ładnie zagrała reakcję na jego śmierć. Wzruszyłam się... Ale chyba napiszę do tej całej Łepkowskiej, żeby nikogo więcej nie zabijała! Chyba że Janeczkę. Tak, ją można zabić. Działa mi już na nerwy.

Dopiero teraz zorientowałem się, że chodzi o M jak Miłość.

- Mamo! Przestraszyłaś mnie.

Nie zrobiło to na niej wrażenia. Ciągnęła dalej.

- A wiesz, ile lat ma ta, co gra Simone? Sześćdziesiąt cztery! Nigdy bym jej tyle nie dała, ale w „Fakcie” napisali wyraźnie. Jak ona to robi?

- Dba o siebie.

- Ja też dbam i co?

- Mamo, wyglądasz świetnie. Jesteś młoda i...

- Ale czuję się staro. Przyniosłeś mi ten krem? - Tak.

Nasz nowy produkt - krem z wyciągu z róży jerychońskiej, która nigdy nie umiera - zainteresował mamę, bo używała go między innymi Madonna. Podałem jej pudełeczko. Obejrzała je skrupulatnie.

- Ile to kosztuje?

- Mamo, przecież nie wezmę od ciebie pieniędzy.

- Jeszcze by tego brakowało! Nie miałam zamiaru ci płacić. Pytam, bo Krysia Kozłowska kiepsko wygląda, przydałby się jej dobry krem, ale na taki pewnie jej nie stać.

- Kosztuje 999 złotych.

- Co?! Ty chyba zwariowałaś!

Wyciągnęła rękę z kremem, jakby chciała go oddać, ale zaraz cofnęła.

- Dam ten Krysi, a ty przyniesiesz mi nowy.

- Mamo! Czy ty myślisz, że ja mam to za darmo?!

- Mówiłeś, że próbki dostajecie za darmo.

- To nie jest próbka. To oryginalne opakowanie.

- Za 1000 złotych?

Prawda wyglądała tak, że sam sprowadzałem ten krem od producenta za 50 euro, czyli mniej niż 200 złotych. W hurcie można go było kupić za niecałe 500 złotych, a w sklepie za 999. Dlatego kiedy sprzedawałem opakowanie w salonie firmowym, zarabiałem najwięcej. Przeciętne wody toaletowe, na przykład 50 ml, kupowałem za 5 euro, właścicielom punktów sprzedaży sprzedawałem je za 25 euro, a ich klienci płacili po 50 euro. Takie są marże w naszej branży. To oczywiste, że setka wody perfumowanej nie jest warta kilkaset złotych. Ale biorąc pod uwagę koszty utrzymania firmy, te marże nie są bardzo wysokie. Nie było sensu tłumaczyć tego wszystkiego mamie. Zresztą pozostawała sceptyczna wobec tego, co robię. Często wzdychała i trochę do siebie, a trochę do mnie powtarzała: „Mogłeś zostać adwokatem jak Leon. To taka spokojna praca”.

Wuj Leon to najstarszy brat mamy. Drugi jej brat też od niej starszy to Marcin, który jest księdzem, obecnie na emeryturze. Obydwu uwielbia i uważa za niedoścignione wzory.

Ja też ich lubię. Szczególnie związany czuję się z wujem Leonem, który od lat pracuje we Włoszech. Ma kancelarię w Mediolanie. Pomagał mi bardzo na początku. Dzięki niemu skończyłem we Włoszech prawo. W czasie włoskich studiów dorabiałem jako pomywacz, barman, kelner, a nawet kucharz, podczas wakacji dodatkowo pracowałem również jako pilot wycieczek i tłumacz. Potem zakotwiczyłem w branży kosmetycznej. Przez kilka lat byłem dyrektorem handlowym dużej firmy. Bardzo dobrze zarabiałem (około 40 tysięcy miesięcznie plus premia) i dzięki temu odłożyłem odpowiednią sumę. Po latach pracy na cudzy rachunek otworzyłem własny biznes. Korzystając z nawiązanych wcześniej kontaktów, zabrałem ze sobą kilka marek. Przez pierwsze dwa lata niemal wyłącznie inwestowałem, ale dzięki temu dziś moja firma twardo stoi na nogach i mogę konsumować zyski. Nie ukrywam - jestem zamożny, przywykłem do luksusu. Mam kilka mieszkań, trzy samochody, willę w Magdalence, gdzie mieszka mama, trochę męskiej biżuterii, sporo papierów wartościowych. Jestem dumny, że doszedłem do tego sam. Ciężką pracą. Ale też narzuciłem sobie reżim, który pozwala mi nad wszystkim panować. Mój dzień jest bardzo poukładany. Wstaję o siódmej, potem jadę do pracy, z przerwą na lunch spędzam tam około dziesięciu godzin, wychodzę mniej więcej o 18.30. Wolny czas spędzam na fitnessie w hotelu Hyatt. Do domu wracam o dwudziestej pierwszej i zjadam coś lekkiego. Wiezorami dzwonię do znajomych, zerkam na telewizję - najczęściej jest to któryś z programów RAI - i kładę się spać.

Przynajmniej raz w roku wyjeżdżam do moich klientów: Paryż, Mediolan, Madryt, Tokio, Barcelona. Równie często przyjmuję przedstawicieli współpracujących ze mną marek.

Cztery razy w roku staram się wyjeżdżać do jakichś ciepłych, niedalekich miejsc, bo nie przepadam za długimi

podróżami samolotem. Odpoczywam wyłącznie sam i bardzo to lubię. Szczególnie upodobałem sobie Włochy, do których mam ogromny sentyment. Kupiłem tam nawet niewielki drewniany domek, dosłownie 2 kilometry od Chianti. Rozważałem też zakup willi na Capri, ale tam jest dużo drożej. Raz do roku, na cały lipiec, wyjeżdżam do Toskanii. Kuchnia włoska to moja specjalność, zwłaszcza pasta z porami, ale gotuję bardzo rzadko - nie mam czasu. W ciągu dnia jem sporo owoców i jogurtów, piję też „jednodniowy marchewkowy”, choć moim zdaniem nie jest tak dobry jak sok zrobiony w domu - ale ten wymaga pracy. Nie bardzo mam czas na rozrywki. Nie lubię kina, teatr mnie nudzi, a książki wydają mi się obce. Za to chętnie chodzę w weekendy do klubów. Lubię tańczyć. Odpręża mnie to tak samo jak jazda samochodem. Nie znoszę za to spacerów.

Przez wiele lat czułem się bezpieczny w moim świecie. Bezpieczny i szczęśliwy. Ale ostatnio jest mi źle, bo dotarło do mnie, że ten cały mój świat jest pusty. Obcy.

- Dorota przylatuje na weekend - mama wyrwała mnie z zamyślenia.

Dorota to moja o dwa lata młodsza siostra. Mieszka chwilowo z mężem i dwoma synami w Szczecinie.

- Sama czy z Erwinem?

Erwin to mąż Doroty. Specjalista od budowy galerii handlowych. Właśnie nadzoruje nową budowę w Szczecinie, dlatego tam mieszkają. Na co dzień mają mieszkanie na Kabatach. Dorota kiedy tylko może, wyrывa się ze Szczecina i przyjeżdża do Warszawy.

- Bez Erwina, ale za to z dziećmiakami.

Super. Grześ ma cztery latka i jest moim chrześniakiem, Dwa lata młodszy Olek to ulubieniec całej rodziny. Kochane chłopaki. Uwielbiają mnie, a ja uwielbiam ich.

- Przyjdź w niedzielę, zrobię dla was obiad.

Była to niepotrzebna prośba. Jak mógłbym opuścić niedzielny obiad u mamy? Zawsze, kiedy tylko jestem w Polsce, przyjeżdżam w niedzielę na obiad, czasem zabieram na niego przyjaciół lub Iwonę.

- Wolałabym, żeby Iwona nie przychodziła z tobą. Wiesz, może być trochę ciasno...

Mama nie lubi Iwony, może dlatego że Iwona chciała od samego początku się z nią zaprzyjaźnić. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, to uświadamiam sobie, że mama nie lubiła żadnej mojej dziewczyny.

- Zrobię rosół, pieczeń wołową, do tego tłuczone ziemniaki i ćwikłę. I placek z rabarbarem. Może być - kontynuowała mama.

- Super.

Uwielbiam kuchnię mamy: prostą, smaczną, pożywną.

- Oczywiście rano idziemy do kościoła - dodała.

To nie podlegało dyskusji. Msza święta o jedenastej w kościółku w Magdalence. Potem spacer i pyszny obiadek. Będą dzieciaki, moja siostra, będzie wujek Marcin. Będzie super, czuję to. Życie jednak jest piękne! Po co ja chodzę na tę całą terapię?

I nagle coś ścisnęło mi serce. O rany, jak to boli. Nie do wytrzymania. Na szczęście mama nic nie zauważyła, zajęta swoimi sprawami

- Dzwonił do mnie Janek...

Spojrzałem na nią zaskoczony. Trzęsła się ze zdenerwowania.

Janek to mój ojciec, a jej mąż, z którym od trzydziestu jeden lat była w separacji. Odszedł do innej kobiety, kiedy miałem siedem lat. Nienawidziłem go za to przez trzydzieści lat, aż do ubiegłego roku, kiedy się spotkaliśmy. Odszukał mnie tylko po to, żeby pożyczyć ode mnie pieniądze. Pożyczyłem mu 20 tysięcy złotych, których do tej pory nie

oddał, ale też nie traktowałem tego jak pożyczki. Zrobiłem to raczej po to, żeby go wesprzeć. Od tamtej pory już go nie nienawidzę, jest mi go po prostu żal.

- Czego chciał? - spytałem, myśląc, że może od mamy też próbował wyciągnąć pieniądze.

- Rozvodu.

W oczach mamy pojawiły się łzy. Miałem ochotę ją przytulić, ale nie zrobiłem tego. W naszym domu obowiązywał zimny wychów. Byłem przekonany, że to z powodu ojca.

- Czego on jeszcze ode mnie chce? Dlaczego mnie dręczy?! - pytała mama.

Nie wiem właściwie, dlaczego już dawno się nie rozwiedli? Dlaczego mama nie chciała mu dać tego rozvodu? Może po cichu liczyła, że kiedyś do nas wróci?

- Porozmawiasz z nim, bo ja po prostu nie mogę, nie potrafię.

Ta prośba mnie zaskoczyła. Co, u licha, jestem rozjemcą w sprawie swoich rodziców? Ale nie potrafiłem odmówić mamie. Poza tym to jednak moi rodzice.

- Dobrze, zadzwonię do niego. ,

Pojechałem do siebie, na Brukselską i, żeby niczego nie odwlekać, od razu wystukałem numer do ojca.

- Cześć, to ja, Adam.

- A, cześć...

Zapadła cisza. Odezwał się dopiero po chwili.

- Synku, te pieniądze...

- Nie rozmawiajmy o tych pieniądzach, dobrze?

- Jak chcesz.

Znowu cisza. Najwyraźniej chciał wiedzieć, po co dzwonię.

- Podobno dzwoniłeś do mamy.

- A, tak... Zgadza się. Powiedziała ci.

- Dlaczego chcesz rozwodu?

- Chyba pora skończyć tę farsę, jakim było nasze małżeństwo, nie uważasz?

Zrobiło mi się przykro. Chociaż nie było to moje małżeństwo, byli to jednak moi rodzice. Właściwie nie pamiętałem ich razem.

- Dlaczego właśnie teraz? Mogliście to zrobić wiele lat temu - zapytałem.

- Jadzia nie chciała.

- Teraz też nie chce.

- Nie rozumiem jej. Po co jej mąż na papierze? Może ty przemówisz jej do rozumu?

Jeszcze tego brakowało. Będę namawiał mamę do rozwodu. Pomyśli, że jedno moje spotkanie z nim przekreśliło te trzydzieści parę lat, kiedy mogłem uczyć tylko na nią.

Nie ukrywam, że był czas w moim życiu, kiedy potrzebowałem ojca, tęskniłem za nim.

Ojciec najbardziej zalażł mi za skórę w 1983 roku. Akurat skończyłem szkołę podstawową i zdałem egzamin do liceum Batorego. On sam był jego absolwentem i nie wyobrażał sobie, że bym wybrał inną szkołę.

- Brawo - bardzo się ucieszył, kiedy do niego zadzwoniłem i pochwaliłem się. - Zasłużyłeś sobie na prezent. Powiedz tylko, co chcesz, a dostaniesz to.

- Chciałbym... Naprawdę mogę wszystko?

- Wszystko.

- Chciałbym pojechać z tobą na wakacje.

Od kilku lat ojciec mi to obiecywał, ale nigdy nie dotrzymał obietnicy.

- Jedziemy! Powiedz tylko dokąd.

- Do Jarocina.

- Co? Na ten festiwal?

- Tak!

Na początku lat osiemdziesiątych każdy chłopak interesował się rockiem. W 1980 roku na festiwalu w Opolu usłyszałem Boskie Buenos Maanamu i wzięło mnie. Wszystkie moje podręczniki były zapisane tekstami Kory. Potem ojciec Janusza, mojego kolegi z ławki - marynarz - przywiózł z Anglii album Never Mind the Bollocks, Here's The Sex Pistols i obaj oszaleliśmy na ich punkcie. Natychmiast chcieliśmy założyć taką kapelę. Ja miałem być wokalistą, a Janusz grać na basie. Niestety, szybko okazało się, że słoń nadepnął mi na ucho i nie łapię żadnej tonacji. Janusz też się poddał. Nie przeszkadzało to nam na stylizowanie się na Johnny'ego Rottena czy Steve'a Jonesa. Za kieszonkowe kupiłem wszystkie ich płyty. Było ich raptem cztery, bo kapela nie istniała od kilku lat.

Marzyłem o tym, żeby pojechać do Jarocina, ale wiedziałem, że mama nie puści mnie samego. Z ojcem mogło się udać.

- Dobrze, pojedziemy do Jarocina - obiecał mi.

Nie wierzyłem własnym uszom, byłem półprzytomny z wrażenia. Nie ostudził mnie nawet telefon na tydzień przed wyjazdem.

- Słuchaj, Adam, nie mogę. W szpitalu nie chcą dać mi urlopu... Może po prostu pojedziesz sam?

Wyjazd z ojcem wydawał mi się czymś niesamowitym, ale sam też mogłem jechać bez problemu. A właściwie nie sam tylko z Januszem.

Umówiliśmy się, że ojciec niczego nie powie mamie, a nawet podwiezie mnie z domu w Grójcu na Centralny w Warszawie, gdzie czekał specjalny pociąg do Jarocina. Janusz miał wszystko: namioty i śpiwory, a ja tylko niewielką walizeczkę. Dla mojej mamy oficjalnie jechałem z ojcem do Mielnia, bo na Jarocin nie zgodziłaby się nigdy.

Przeżywałem przygodę swojego życia, gdy podczas jednego z koncertów konferansjer ogłosił komunikat: „Adam Kamiński, powtarzam, Adam Kamiński jest proszony o zgłoszenie się za scenę”.

Zastanawiałem się, czy Janusz nie zrobił mi żartu i nie zgłosił nas do koncertu debutantów. Pobiegnęłam za scenę i stanąłem jak wryty, bo zobaczyłem tam... swoją mamę i wujka Marcina. Natychmiast zabrali mnie do domu.

Co się stało? Mój ojciec tak naprawdę nie miał ochoty na wyjazd ze mną do Jarocina, ale na zabawę w Warszawie ze swoją nową przyjaciółką. Pech chciał, że zapragnął jej kupić jakiś prezent. W ten sposób spotkali się w Domach Centrum z mamą, która akurat była na zakupach. I tak wszystko się wydało. Mama natychmiast wezwała wujka Marcina i oboje przyjechali po mnie wartburgiem wujka.

Nie poddałem się tak łatwo. Walczyłem prawie rok. Ale kiedy na świadectwie z pierwszej klasy liceum miałem dwie pały: z matematyki i fizyki, mama z wujkiem zdecydowali, że zmieniam szkołę. Z Batorego przenieśli mnie do liceum katolickiego, chyba jedyne prywatne za czasów komuny.

Tam udało się mnie zmienić. Chyba na lepsze... Wyrzuciłem z głowy rocka, chociaż nie wyrzuciłem płyt The Sex Pistols. Te cztery winyle były dla mnie jak relikwie.

- Po co ci ten rozwód? - spokojnie zapytałem ojca. Już nic do niego nie czułem, nawet żalu.

- Jestem jeszcze młody...

Miał sześćdziesiąt dziewięć lat i szczerze mówiąc, nie wyglądał za dobrze. Kiedy rok temu siedziałem naprzeciw niego, mogłem zobaczyć, jak... będę wyglądał za trzydzieści lat. Byłem jego wierną, młodszą kopią. Dorota była natomiast bardzo podobna do mamy.

- Mam kogoś...

Jak słyszałem, cały czas miał „kogoś”. Nie było to trudne, ojciec był z zawodu lekarzem ginekologiem. Pacjentki uwielbiały go, szczególnie kiedy zakończył się jego romans z Kariną - piękną rudą aktoreczką, która w latach osiemdziesiątych przerwała karierę i wyjechała do Holandii.

- Chcę się ożenić drugi raz - ciągnął dalej.

Z tego co wiem, nigdy nie miał w planach powtórnego ożenku, nie miał też innych dzieci.

- Nie wiem, może głupi jestem, ale chcę tego - mówił. - To ja bardziej tego chcę niż ona. To miłość, synku.

Ścisnęło mnie w sercu. Więc on także?

- Jestem jeszcze sprawny, zrozum, może już po raz ostatni zatrzepoczę skrzydłami jak motyl.

Kurczę, rozumiałem go, wiedziałem, o co chodzi.

A tym samym jeszcze bardziej oddalałem się od mamy.

Poczułem, że nie mogę prowadzić tej rozmowy dłużej.

- Może się spotkamy i pogadamy? - zaproponował.

- Dobrze... ale ja niedługo wyjeżdżam do Japonii - skłamałem.

- Dobrze, zaczekam... Powiedz, co u ciebie, chłopie?

- Wszystko świetnie. Odezwę się do ciebie, jak wrócę, dobrze? Dobranoc.

- Dobranoc.

Rzuciłem byle gdzie słuchawkę i runąłem jak długi na łóżko.

Nie miałem już siły. Nie byłem dzisiaj na terapii, nie miałem nastroju i niestety czułem to.

Co robić? Mogłem się położyć, ale wiedziałem, że nie zasnę, tylko będę się przewracał z boku na bok. Nie pamiętałem już, kiedy ostatni raz spałem spokojnie.

Może się napić?

Nie lubiłem alkoholu. Wywoływał u mnie jeszcze większą depresję.

Może posłuchać jakiejś muzyki? Obejrzeć coś? Albo poczytać książkę? Nie, nic z tych rzeczy. Terapia nie przyniosła ulgi, bo chyba nie byłem do końca szczery. Iwona mnie nudziła, mama irytowała, ojciec zadziwiał. Muszę coś zmienić, to wszystko nie ma sensu...

I właśnie wtedy usłyszałem jakże wyczekiwany sygnał.

Zerwałem się z łóżka i jak na skrzydłach pobiegłem do telefonu.

Tak, to była ona!

Drżącymi dłońmi trzymałem komórkę i odczytywałem wiadomość.

„Nie martw się. Byłeś dla mnie bardzo ważny”.

Tylko tyle do mnie napisała.

Tylko? Aż!

Hurra!

I właśnie to było mi potrzebne. Dostałem tak niezbędny zastrzyk energii. Te kilka słów sprawiło, że noc minęła spokojnie.

Spałem!

Ba! Nawet śniłem.

ROZDZIAŁ 4

Następnego dnia wkroczyłem do pracy jak nowo narodzony. Czuję w sobie chęć i energię do życia. Postanowiłem od razu zająć się zaniedbanymi ostatnio obowiązkami. O dziwo, okazało się, że zaległości nie ma zbyt wiele. Na szczęście miałem Bogdana, który wspierał mnie i pomagał mi w tych trudnych ostatnio dniach.

Bogdan jest moim kolegą z katolickiego liceum. Chodziliśmy do tej samej klasy, mieszkaliśmy w tym samym internacie, ale nigdy nie dzieliliśmy jednego pokoju. Dlatego prawie nie pamiętam go z czasów szkolnych. Zresztą czasy - koniec stanu wojennego - były, łagodnie mówiąc, nieciekawe, szare i gnuśne.

Bogdan pochodzi z Kalisza. Jego rodzice byli właścicielami pierwszej - i zarazem jedynej - pizzerii w mieście, zarabiali więc nieźle, stać ich było na prywatne liceum dla jedyne dziecko. Gdy ja wyjechałem na studia do Włoch, on wstąpił do seminarium, gdzie wytrzymał tylko jeden semestr. Kiedy zrezygnował, od razu capnęli go do wojska, ale tam też nie był długo. Wymówił się podobno chorobą kręgosłupa, ale myślę, że po prostu świrował. Po dwóch latach od matury udało mu się dostać na polonistykę, ale jej także nie skończył. Wyjechał do Francji, gdzie pracował w recepcji hoteliku typu „od 17 do 18”. Wrócił gdzieś tak w 1995, nadal bez wykształcenia, ale za to z bardzo dobrą znajomością francuskiego i jako taką angielskiego.

Bogdan jest gejem i nie kryje się z tym. Osobiście mi to nie przeszkadza, uważam gejów za takich samych ludzi jak innych, choć jego wyznanie mnie zszokowało. Zgłosił się do mnie kilka lat temu, kiedy został bez mieszkania, pracy, gdy rozpadł się jego siedmioletni związek. Postanowiłem dać mu szansę i powierzyłem prowadzenie jednego z moich firmowych salonów piękności. Postąpiłem po trosze

cynicznie, bo wiedziałem, że geje są naszymi ważnymi klientami - zostawiają sporo pieniędzy w kasie i na koncie, wypatrują wszelkich nowości. Klientki i klienci go uwielbiają. To typ nieco zniewieściały, udzielający się w tak zwanym gejowskim środowisku. Jest chory, jeśli nie spędzi sobotniego wieczoru w Utopii, nie ma na sobie spodni Diesla i koszuli z Zary. Godzinami rozmawia przez telefon, zna wszystkie premiery kinowe i teatralne, czyta też wszystko, co głośne. Od kilku dni namawia mnie, żebyśmy poszli na Tajemnicę Brokeback Mountain. Dziś, gdy po południu zajrzałem do niego do salonu, było podobnie.

- Byłeś już chyba na tym? - zapytałem.

- Tak, cztery razy. Ale dla ciebie pójdę po raz piąty. No, to może skoczmy do Arkadii - kusił mnie. - Obejrzymy sobie filmik, a przy okazji zajrzemy do Pepe i Peeka.

- Nie mogę - odpowiedziałem. - Muszę iść na terapię. Bogdan to właśnie ta osoba, która poradziła mi, żebym tam poszedł. Jest ekspertem w sprawach sercowych. Przeżył naprawdę poważny wstrząs, gdy jego siedmioletni związek rozsypał się niczym domek z kart. Obecnie z Jackiem, swoim nowym partnerem, wynajmuje jedno z moich mieszkań. Wynikają z tego drobne komplikacje związane z osobą mojej mamy. Uwielbia Bogdana i często zaprasza go na obiad. On zawsze rewanżuje jej się najświeższymi ploteczkami ze świata gwiazd seriali telewizyjnych i potrafią przegadać na ten temat całe popołudnie. Niestety, mama nie wie, że Bogdan jest gejem, a że mama zajmuje się wynajmem należących do mnie mieszkań (i czerpie z tego dochody), raz w miesiącu pojawia się u Bogdana - jako osoba starej daty nie wierzy w banki, konta, przelewy. Bardzo się bałem, że pewnego dnia otworzy jej Jacek... Poprosiłem więc Bogdana, żeby jego chłopak pod żadnym pozorem nie otwierał drzwi. Jednak pewnego letniego

poranka mama zauważyła Jacka na balkonie. Suszył swoje długie loki.

- Bogdan ma dziewczynę - powiedziała konfidencko. - Ładne włosy, ale jest płaska jak deska. Poproś go, żeby kiedyś z nią do nas wpadł.

Na szczęście nigdy nie wróciła już do tego tematu. Ale Bogdanowi z Jackiem układało się bardzo różnie. I nie wiem nawet, czy tak naprawdę Bogdan nie korzystał z pomocy terapeutów czy psychologów. W każdym razie, widząc pewnego dnia mój podły nastrój, dał mi wycinek z gazety; były w nim namiary na ośrodek organizujący grupy terapeutyczne dla różnych życiowych ofiar.

- Jak ci nie pomaga już ani amfa, ani ecstasy, to może to postawi cię na nogi - zażartował.

Po kilku dniach wahania w końcu zdecydowałem się. Tak trafiłem do „mojej grupy”. Dziś miała być kolejna sesja i chociaż rano czułem się jak nowo narodzony, po południu mój dobry nastrój gdzieś się ulotnił i poczułem, że bez pomocy terapeuty nie dam rady.

- Daj dziś spokój z terapią. Kto to słyszał, żeby t o tak przeżywać? Kinowe arcydzieło i zakupy to najlepsze lekarstwa na stesy, już ja to wiem.

- Na stesy może tak, ale nie na depresję.

- Och, wszyscy teraz cierpimy na depresję. I żadna terapia ci nie pomoże, nie wierz w to. Poczytaj coś, obejrzyj, pogadajmy. Bo tak, to tylko praca, seks, praca, seks, praca...

- A propos... Jaki dzisiaj mamy utarg?

- Rewelacja. Przed chwilą była Maryla Rodowicz i kupiła całe tony najdroższych kremów.

- Dałeś jej kartę dla VIP - ów?

- Oczywiście. Od razu Platinum. A ona dała mi w zamian autograf. Tylko spójrz, gdzie.

Odwrócił się do mnie plecami i pokazał mi autograf Maryli na T - shircie.

- Już nigdy nie będę go prał. A swoją drogą, jaka to wspaniała kobieta, jak świetnie się trzyma. A ta jej ostatnia płyta jest po prostu rewelacyjna. Wszyscy chcą kochać. .. - zaczął śpiewać i kołysać biodrami.

- Przestań. Nie chcę już słuchać o miłości.

- Ty masz naprawdę problem.

- Mam. I dlatego zamiast do kina idę na terapię, bo nie wytrzymam. Cześć.

A na terapii mieliśmy opowiedzieć o swoich ulubionych piosenkach o miłości. Każdy podał coś innego:

Matylda: Mimo wszystko Heya.

Andrzej: Kochać inaczej De Mono.

Anita: Samba przed rozstaniem Banaszak.

Teresa: Love Me Tender Presleya.

Sebastian: Spalam się Kazika (Terapeuta miał wątpliwości, czy jest to piosenka o miłości, ale Sebastian się upierał, że tak).

Helena: Kocham cię, kochanie moje Maanam.

Wiktor: Miłość ci wszystko wybaczy Ordonki.

- Killing Me Softly - rzuciłem pierwszy z brzegu tytuł, bo miałem już dość tego gładzenia o miłości.

Po zajęciach Terapeuta poprosił mnie o rozmowę w cztery oczy i wsiadł do mojego samochodu.

- Adamie - spojrzał mi prosto w oczy. - Nie gniewaj się, ale wydaje mi się, że nie jesteś ze mną szczery... Nie wierzę, że chcesz się zabić.

- Nikt mi nie wierzy - starałem się robić dobrą minę do złej gry. - Ale co ja mogę na to poradzić? Chyba tylko się zabić. Lecz czy na pewno potrafię?

Próbowałem się uśmiechnąć, ale wyszedł mi jakiś żalony grymas.

- Każdy ma powód, tylko nie ty. Helena chce umrzeć, bo boi się, że straci swoje pełne piersi... Matylda przeżywa kryzys twórczy... Sebastian został złapany na dopingu... Andrzej nie ma szczęścia w miłości... Anita nie ma więcej sił, by opiekować się chorą matką... Wiktor stracił ukochaną żonę... Teresa padła ofiarą wirtualnego oszusta... A ty...

No tak, racja... Spójrzmy prawdzie w oczy: ja jestem zdrowym jak byk kolesiem, który super wygląda, ma ekstra robotę, kupę kasy, wspaniałą narzeczoną, niezłą furę. Każdy, kto znalazłby się na moim miejscu, wreszcie... zacząłby żyć, a ja chcę umrzeć.

Niebywałe. Niewytłumaczalne. Niewiarygodne.

- Nie mogę ci pomóc, skoro nie wiem, co ci tak naprawdę dolega.

- Ja też nie wiem. Chciałbym zasnąć i nigdy się już nie obudzić.

- Dlaczego właśnie teraz chcesz umrzeć?

- Nie wiem.

- Musi być jakiś powód.

- Nie ma.

- To jak trafiłeś do naszej grupy? Czy te zajęcia ci pomagają?

- Tak - odpowiedziałem zdecydowanie.

- W jaki sposób?

- Czuję się po nich lepiej.

Zapadła krótka cisza i Terapeuta się poddał.

- Dobrze... Skoro tak... Dziękuję ci...

Wysiadł niezadowolony, bo właściwie niewiele nowego się dowiedział. Nie sądzę, żeby naprawdę wierzył w to, co mówiłem.

Nie mogłem się ruszyć. Cała wczorajsza euforia uszła ze mnie jak powietrze z przebitego balonu.

Nie byłem z nim szczery.

Nie byłem szczery z moimi partnerami z zajęć.

Nie byłem szczery z Iwoną.

Nie byłem szczery z mamą i Bogdanem.

Nie byłem szczery nawet z samym sobą.

Próbuję być, ale nie mogę. To takie trudne. Chce mi się płakać albo śmiać. Gdzie moja pewność siebie, poczucie, że dobrze wiem, czego chcę?

No gdzie?

Zakochałem się jak nigdy przedtem, na życie i śmierć.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ 1

Zastanawiam się, czy to już może jakaś paranoja? Jest dla mnie ratunek czy nie ma?

A wszystko zaczęło się od tego, że... Demi Moore postanowiła firmować swoim nazwiskiem serię nowych zapachów dla kobiet dojrzałych. Dzięki dobrym kontaktom udało mi się podpisać kontrakt z ich producentem. W czerwcu ubiegłego roku stałem się wyłącznym przedstawicielem na Polskę perfum Demi i ich pochodnych - wód toaletowych, dezodorantów i tak dalej. Ich szanse na sukces u klientek oceniałem bardzo wysoko, dlatego postanowiłem, że promocja nowej marki musi być urządzona z pompą.

Skontaktowałem się z agencją reklamową Melon, z którą stale współpracuję.

Zebrałiśmy się u mnie w biurze, żeby przeprowadzić burzę mózgów. Ja, Bogdan - zapraszałem go na takie posiedzenia, bo zawsze miał dużo fajnych pomysłów - moja asystentka Ola oraz Gerard Mech z agencji Melon.

Gerarda znałem od dawna, jeszcze z czasów mojej pracy w poprzedniej firmie. Nie można powiedzieć, że się przyjaźniliśmy, ale na pewno lubiliśmy. Wołałem współpracować ze sprawdzonymi ludźmi, którzy mnie nie zawadzili. Gerard miał inny styl bycia niż ja, raczej nie spotykaliśmy się na gruncie prywatnym, ale jako profesjonaliście nie mogłem mu nic zarzucić.

- To musi być impreza dla całej warszawki! - wykrzyknęła Ola.

- Tylko gdzie ją urządzimy? - zapytałem. - Ostatnia promocja w Sobieskim nie podobała mi się. No i potem Violet słabo się sprzedawał. Teraz musi być inaczej!

- A co powiesz o Marriotcie?

- Nie, hotele odpadają. Mam ich dosyć.

- Już wiem! - wykrzyknął Gerard po chwili namysłu. - Magda Gessler otwiera nową knajpę na placu Trzech Krzyży. Byłem tam niedawno na sesji zdjęciowej Małgorzaty Kożuchowskiej dla „Pani”. Knajpa jeszcze nie jest gotowa, ma być otwarta dopiero w grudniu, ale może Magda już teraz wpuści nas do siebie? To dla niej też będzie świetna reklama.

- Brzmi interesująco. Sprawdź to. Co dalej?

- Nie martw się. Odrobiłem lekcje. Mam już wstępny scenariusz - Gerard odpalił swojego notebooka. - Butelka perfum Demi jest w kształcie tortu, proponuję więc głównym bohaterem imprezy uczynić tort...

- Z którego oczywiście ktoś wyskoczy? - zapytał Bogdan, raczej retorycznie.

- Oczywiście. Najlepiej sprawdzają się pomysły oryginalne albo... sprawdzone. Ten akurat jest sprawdzony. Wszystkim podoba się panienka wyskakująca z tortu!

- Niektórzy woleliby faceta - rozmarzył się Bogdan.

- Jak swoje perfumy wpuści Tom Cruise - ciągnął Gerard - to weźmiemy faceta.

- Nie lubię Toma Cruise'a. Kocham się beznadziejnie w Russellu Crowe... W grę wchodzi ewentualnie Colin Farrell.

- Cicho! - uniosłem się.

Wszyscy zamilkli potulnie. Pomysł z tortem podobał mi się, akceptowałem go. Z reguły podejmuję bardzo szybkie i przeważnie trafne decyzje.

- Dobra, mamy ten tort.

Gerard i Bogdan przybili piątkę.

- Teraz pytanie, kto z niego wyskoczy - ciągnąłem dalej. - Według mnie to nie jest obojętne.

- Najlepsza byłaby Marilyn Monroe - odrzekł Gerard. - Ale Demi Moore też może być. W końcu to jej perfumy.

- Demi odpada. Niestety, jest dla nas za droga. Już to sprawdziłem.

- To może Edyta Górniak wyskoczy i na dodatek coś zaśpiewa? - wtrąciła Ola.

- Tylko w tym roku Edyta wyskoczyła już chyba z czterech tortów - zauważył Gerard. - Dajmy sobie z nią spokój. Załatwię kogoś innego.

- Kogo?

- Kogoś w typie Marilyn najlepiej.

- Ale Marilyn kojarzy się wszystkim z zapachem Chanel N°5 - podzieliłem się swoimi wątpliwościami.

- I co z tego? Bogdan na chwilę zamknął oczy i wyszeptał:

- Już wiem wszystko: ona powinna wyskoczyć z tego tortu w stroju Ewy.

- To świetny pomysł - zauważył Gerard i zastukał w notebooka.

- Może niech będzie w bikini? - zaproponowałem. - Nagość może być szokująca.

- Mój drogi, teraz już nie wystarczy zrobić promocję - zauważył Bogdan. - Teraz trzeba zrobić promocję, która zwróci uwagę na produkt.

Bogdan upierał się, a ja nadal miałem wątpliwości. Myślę, że w tamtej chwili mój Anioł Stróż łopotał mocno skrzydłami, żeby mnie ochronić.

- A jak będzie skandal?

- Tym lepiej - zatarł ręce Gerard.

Ola siedziała cicho. I właśnie dlatego była moją asystentką. Zwolniłem masę dziewczyn, którym się wydawało, że ten, kto mówi dużo, mówi dobrze. Nic bardziej błędnego. Wkurzały mnie dziewczyny paplające bez sensu. A jeszcze bardziej chichoczące.

- To potrwa kilka sekund, potem panna pobiegnie na zaplecze, przebierze się w jakąś ekstra kieckę i będzie z powrotem damą...

Gerard urwał i nad czymś długo się zastanawiał.

- Mam! - krzyknął, kiedy znudzony Bogdan wziął do ręki ostatni numer „Twojego Stylu”. - Ona wyskoczy i powie: „Demi - uwielbiam cię!”.

- Lepsze hasła czytam na moich płatkach śniadaniowych - powiedział Bogdan.

- Tak, tak, to zbyt banalne - potwierdziłem.

- Czekaście, zaraz coś wymyślę... - ciągnął Gerard niezrażony pierwszym niepowodzeniem. - „Demi - moje zmysły oszalały”. Co wy na to?

- Za długo.

- A „Demi - urodzona na nowo”?

- Trochę lepiej, ale to jeszcze nie to.

Przez następne pół godziny Gerard usiłował coś wymyślić. Ola i Bogdan pomagali mu, ale nic z tego nie wychodziło.

- „Demi - na zawsze szalona” - zaproponowałem w końcu.

- Tak, to jest to - rzekli zgodnie Bogdan i Ola.

- Brawo, mistrzu! - Gerard padł przede mną na kolana.

I nie dziwię się. Nie dosyć, że dawałem mu zarobić, to jeszcze wymyśliłem najlepsze hasło.

- Ona powie: „Demi - na zawsze szalona” - Gerard wszystko od razu notował. - I przebiegnie naga, roztaczając między gośćmi zapach Demi.

- Jejku, ale pięknie! - powiedział Bogdan i zaczął gratulować Gerardowi.

Ola także uśmiechnęła się przychylnie. W trójkę zaczęli intensywnie wpatrywać się we mnie.

Pomyślałem nad tym wszystkim trzy sekundy. Za mało, facet, za mało! Nie chciało mi się dłużej z nimi siedzieć, zaczynałem być głodny...

- Dobra. Zgadzam się.

No i podpisałem na sobie wyrok.

- Superowo - Gerard od razu wstał, zamykając notebooka.
- To będzie szalowa impreza. Szalowa i szalona. Będzie o niej mówić cała Warszawa przynajmniej przez tydzień... Jutro rano będziesz miał na biurku szczegółowy scenariusz.

- Oki, zabierajcie się do roboty.

Cieszyłem się, że mam to z głowy i że wszystko poszło w miarę szybko i gładko, chociaż tak naprawdę powinno mi się w głowie zapalić czerwone światełko: właśnie, że tak szybko, że tak gładko...

Dlaczego tak się nie stało?

Może dlatego, że był to bardzo gorący sierpień 2005, a ja jeszcze nie miałem wakacji. W tym roku tradycyjny lipiec w Toskanii mi nie wypalił. Miałem w planach wyjechać zaraz po promocji na odpoczynek: na Kanary, Majorkę albo Krete.

- A co z dziewczyną? - zapytała przytomnie Ola, kiedy zaczęliśmy się rozchodzić. - Zaangażujemy jakąś gwiazdę?

- Nie, raczej nie powinien być to nikt znany - wtrącił Gerard.

- Ja też tak sądzę.

- Załatwię ci jakąś śliczną modelkę, chcesz? - dodał, chociaż wiem, że myślał raczej o sobie.

- Ale taką z charakterem, no i z pełnymi kształtami - prosił Bogdan. - Jeśli z tortu wyskoczy jakiś anorektyczny potwór, twój zapach może się nie spodobać.

Wiedziałem, że Gerard uwielbia szczupłe i wysokie dziewczyny, ale teraz to ja miałem zadecydować. Spojrzał na mnie pytająco.

- Ma być ładna - odpowiedziałem. - I tyle.

- Postaram się ze wszystkich sił, żeby cię zadowolić, przyjacielu...

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się do swoich zajęć. Ja pojechałem spokojnie na lunch.

Gerard postarał się, nie ma co do tego wątpliwości!

Do dziś nie wiem, czy powinienem mu dziękować, czy może go zastrzelić?

Nie wiem dlaczego, ale ubiór ma dla mnie duże znaczenie. Nie obchodzi mnie za bardzo, jak wyglądają inni, ważne, żebym to ja wyglądał elegancko i modnie. Dlatego lekką ręką wydaję dużo na ubrania, przywiązując wagę do marek. Zresztą przekonałem się już, że tylko markowe ciuchy potrafią być trwałe i wygodne, a co najważniejsze są doskonale skrojone. Dlatego na promocyjny wieczór wybrałem dwuczęściowy granatowy garnitur Armaniego, który kupiłem dwa lata temu w Mediolanie, ale nie miałem dotąd okazji go włożyć. Okazało się, że przez te dwa lata trochę przytyłem - jak to możliwe, przecież stale ćwiczę w siłowni? - był lekko przyciasny w pasie, ale znakomicie współgrał z koszulą od Ferre: błękitną, w drobne brązowe paski; ona zaś świetnie pasowała do koloru moich niebieskich oczu. Przez wiele lat uczyłem się, jak skomponować odpowiedni strój, i byłem dumny, że to potrafię. Zresztą jako właściciel firmy z branży perfumeryjnej musiałem to umieć. W końcu perfumy nie są tak odległe od świata mody. Do koszuli pasował też idealnie pomarańczowo - złoty jedwabny krawat wysadzany kryształkami Swarovskiego - gwiazdkowy prezent od Iwony. Do tego dodałem złote spinki z niewielkimi brylancikami, rolex numer 2 (z szafirową tarczą) i buty ze skóry młodej żyrafy robione na zamówienie w firmie Jan Kielman przy Chmielnej, moje ulubione.

Impreza odbyła się na placu Trzech Krzyży w piwnicy pod całkiem niedawno otwartym sklepem Burberry. Już wkrótce miała tam powstać nowa knajpa Magdy Gessler - Ale Gloria! Było tam dużo miejsca, można więc było zaprosić wielu gości, a o to właśnie mi chodziło. Magda nie tylko użyczyła nam swojego pomieszczenia, ale postanowiła osobiście nadzorować wykonanie tortu, który miał być migdałowo -

poziomkowy i duży na prawie 2 metry, tak żeby w środku zmieściła się dziewczyna.

Był to pierwszy poniedziałek września. Wprawdzie nie wszyscy „ważni” wrócili z wakacji, ale mimo to postanowiliśmy wystartować z Demi, bo potem w kalendarzu robiło się ciasno.

Okazało się, że Iwona niestety nie mogła ze mną być. Pojechała na szkolenie do Izraela - jej firma wprowadzała na rynek nowy cudowny lek na cellulitis. Iwona sama była nim bardzo zainteresowana, gdyż narzekała, że na jej udach zaczyna się pojawiać pomarańczowa skórka. Ja niczego takiego nie zauważyłem. Myślę, że faceci tak naprawdę nie dostrzegaliby niedostatków kobiecej urody, gdyby kobiety same o nich nie opowiadały. Każdy facet natomiast nie tylko nie przyzna się do tego, że ma jakieś defekty, ale jeszcze mocno podkoloruje to, co niby ma albo kiedyś miał pozytywnego. Na przykład Gerard grał kiedyś przez miesiąc w drużynie trampkarzy Orła Warszawa, a teraz opowiada, że należał do kadry piłkarzy, ale zrezygnował z kariery ze względu na kontuzję kolana i poświęcił się pracy w reklamie. Wszystkie spalone w solarium laseczki oczywiście mu wierzyły, tym bardziej że pokazywał im spreparowane zdjęcie u boku Jerzego Dudka i innych piłkarzy z kadry.

No, ale wróćmy do feralnej - uprzedzając fakty - imprezy.

Bezpośrednio promocją Demi zajmowała się Ola, ja tylko zgadzałem się na kolejne scenariusze i budżety.

Nie lubiłem tego typu imprez: ani na nich bywać, ani organizować, ale niestety taka była konieczność. Nie lubiłem, bo nie podniecała mnie możliwość darmowej wyżerki, nie interesowały mnie prezenty i gadżety, a przede wszystkim nie elektryzowały mnie flesze fotoreporterów, bo uważałem, że nie jestem fotogeniczny i nie lubiłem oglądać swoich zdjęć w gazetach.

Iwona wprawdzie twierdziła, że jestem podobny do doktora Pawicy z serialu Na dobre i na złe, kiedy jednak obejrzałem odcinek tego serialu, zacząłem się śmiać, gdyż mimo wszystko uważam, że jestem przystojniejszy.

Nie ceniłem gwiazd i gwiazdeczek ze świata filmu, telewizji i rozrywki, bo uważałem, że z ich pracy niewiele wynika pożytku dla świata. Ale własne przekonania a reguły marketingu to dwie różne sprawy. Jeśli chciałem coś wcisnąć ludziom i zarobić, musiałem to odpowiednio opakować.

Czy miałem z tego powodu skrupuły? Nie. Taki jest po prostu świat i trzeba go zaakceptować. Wtedy akceptowałem.

Wieczorem spadła na Warszawę ulewa - czyżby to był jakiś znak? Mimo to kiedy zajechałem taksówką, przed lokalem kłębił się tłumek gapiów i chętnych, żeby wejść na imprezę bez zaproszeń.

Przy wejściu czyhała grupa paparazzich. Akurat przede mną wchodziła Grażyna Szapołowska, więc na mnie nikt nie zwrócił uwagi. Mogłem wejść spokojnie, podziwiając z tyłu kształty pani Grażyny, której do tej pory nie miałem okazji poznać, chociaż nie wiem dlaczego.

Hostessy roznosiły prezenty - próbki Demi. Jedna z dziewczyn podeszła do mnie z tacą.

- Bardzo proszę.

- Skarbie, to wszystko moje - odpowiedziałem jej niezbyt grzecznie, ale zgodnie z prawdą.

Hostessa popatrzyła na mnie jak na wariata i odeszła.

Nie odmówiłem natomiast kieliszka szampana, który roznosili kelnerzy. Wypiłem go szybko dla kurażu.

Denerwowałem się, bo występowałem w końcu jako gospodarz wieczoru, chociaż wszystko było zaplanowane tak, żebym nie musiał powiedzieć ani słowa. Miałem tylko wejść na podium, ukłonić się i zniknąć. Potem był w planie krótki recital Katarzyny Groniec.

Tort miał zostać przywieziony i pokrojony o godzinie jedenastej.

Rozejrzałem się po salach, sprawdzając, kto już przyszedł, a kogo jeszcze nie było. Zakręciło mi się w głowie od znanych twarzy. Schowałem się w jakimś kącie i obserwowałem.

Jest okay i będzie okay, pomyślałem i sięgnąłem po drugi kieliszek szampana. Jakoś bardzo szybko zaschło mi w gardle...

Wszystko szło wyjątkowo sprawnie, dlatego zdziwiłem się, gdy Gerard przywitał mnie zmęczony i przerażony.

- Stary, żebyś wiedział, co ja przeżyłem przez ten tort!

- Co takiego?

- Nigdzie nie mogłem znaleźć dziewczyny, która by z niego wyskoczyła naga. Wszystkie chciały coś ubrać.

- Co ty opowiadasz?

- Jak Boga kocham! W końcu jednak znalazłem... Jest to...

- Przepraszam...

Nie dałem mu dokończyć, bo poszedłem przywitać się z Kasią Skrzynecką, która miała być gospodynią wieczoru. Kasia wyglądała cudownie w złocistej sukni i takich samych szpilkach. Właśnie wróciła z wakacji, była więc bardzo szczupła i opalona.

- Spryskałam się Demi, żeby zrobić ci przyjemność - mówiła, całując mnie z dubeltówki. - Naprawdę nie chcesz wygłosić jakiegoś spiczu?

- Nie, nie. Tylko mnie przedstaw.

- Dobrze, kochanie. Chodź, czegoś się napijemy.

Podeszliśmy do baru. Zaproponowałem jej campari ze świeżym sokiem pomarańczowym. Zanim jednak kelner zdążył je zrobić, Kasię porwał Mateusz Kusznierewicz, żeby przedstawić ją swojej narzeczonej. Wypiłem więc campari

sam. Krążyłem po piwnicznych salach ze szklaneczką, czego bardzo nie lubię. Bardzo mi było brak Iwony.

Przy jednym ze stołów natknąłem się na Bogdana degustującego wina z Tasmanii. Dogadałem się z ich dystrybutorem - moim kumplem z poprzedniej firmy - i przy okazji dużej promocji Demi zrobiliśmy małą promocję jego win, goście mogli je pić za darmo.

Do wina podawano sery. Były też sałatki, pasztety i wędliny. Na gorąco serwowano panierowany mózdzek wieprzowy, pieczone piersi z perliczki oraz dwa rodzaje ryb: maślaną i solę. Do tego przeróżne dodatki.

Nie byłem głodny, więc rzuciłem tylko okiem, czy wszystko jest w najlepszym gatunku. I było.

- Napij się tego wina, jest pyszne - zachęcał Bogdan. Wziąłem kieliszek. Rzeczywiście miało bardzo ciekawą nutę.

Podszedł do nas Jacek, chłopak Bogdana. Miał fatalną fryzurę i trzymał w dłoniach kopiasty talerz różnych potraw, a do tego mnóstwo pieczywa. .

- Kto wypił moje wino?! - wrzasnął.

- Przepraszam... - wychyliłem kieliszek do dna i zostawiłem ich samych.

Akurat obok mnie przechodziła Ola, więc zapytałem ją, czy wszystko w porządku.

- Tak, panie prezesie - odpowiedziała. - Jak się pan bawi?

- W ogóle się nie bawię. Czekam tylko, aż to wszystko się skończy i będę mógł wrócić do domu.

- A tańce? Mają być tańce.

- To nie dla mnie. Jak tylko przyniosą tort, ulotnię się po angielsku. Ale ty oczywiście możesz się bawić do rana.

- Dziękuję, ale jutro przecież normalny dzień pracy.

- Z okazji dzisiejszego święta możesz przyjść jutro do biura później. Powiedzmy o 11.30.

- Fajnie. Dziękuję, panie prezesie. Dlaczego pan niczego nie pije? Może coś panu przynieść?

- Nie, dziękuję. Sam wezmę sok. Strasznie mnie suszy... Chyba przez tę pogodę.

- Tak, jest strasznie gorąco. Tutaj mają piwo...

- Dobrze. Spróbuję.

Poprosiłem o kufelek. Nie lubiłem piwa, ale wypijałem je od czasu do czasu po treningu i saunie, bo to zdrowe na nerki.

To mi nie smakowało - było gorzkie i mocne. Wypiłem jednak do dna, chcąc ugasić pragnienie.

Piwo podziałało. Poczulem się lepiej, więc kiedy Kasia zaprosiła mnie na podium, nie tylko się ukloniłem, ale życzyłem wszystkim „szampańskiej zabawy”.

Żeby dać przykład, chwyciłem jeszcze jedną lampkę szampana. Chciałem coś zjeść, ale goście okupowali stoły i trudno było się do nich dopchać.

Było mi dziwnie wesoło. Myślę, że zawdzięczałem to szampanowi, który bardzo lubiłem. Ten, którym częstowano, to nie był na pewno Dom Perignon, ale mimo to smakował mi.

Wypiłem jeszcze jedną lampkę podczas występu Kasi Groniec, która zebrała rzesiste oklaski. Wręczyłem jej przygotowany wcześniej bukiet czerwonych róż.

Rozmawiałem z kilkoma osobami. Potem nawet trochę flirtowałem z Aldoną Orman. Czas szybko mijał. Nawet nie zauważyłem, kiedy na środku głównej sali pojawił się tort. Gerard wręczył mi nóż. Już miałem kroić główną warstwę, kiedy nastąpiło clou wieczoru. Wierzch uniósł się i ze środka tortu wyskoczyła dziewczyna - taka jak ją pan Bóg stworzył.

Pomogłem jej wydostać się, podając rękę. Poczulem zapach Demi, którymi - zgodnie ze scenariuszem - była obficie skropiona. Zmysłowym głosem wyszeptała wymyślone przeze mnie słowa: „Demi - na zawsze szalona”, i pobiegła na zapiecze.

Nie zwróciłem na nią szczególnej uwagi, bo wszystko trwało dosłownie kilka sekund. Zarejestrowałem tylko wygląd jej pupy - wyjątkowo seksownej - pleców, stworzonych chyba po to, żeby były cały czas odkryte. Obejrzałem się, ale już zniknęła w tłumie.

Pośród aplauzu zebranych gości pokroiłem tort, co trwało i trwało. W końcu oddałem nóż kucharzowi i zmęczony sięgnąłem po drinka - był to dzin z tonikiem.

Niektórzy goście zaczęli się rozchodzić, gratulując mi imprezy. Ja też powinienem iść, ale jakoś mi się nie chciało. Wypiłem drinka do dna i wtedy... urwał mi się film.

Nie mam pojęcia, kto mnie podniósł i wsadził do taksówki, w każdym razie do mieszkania wszedłem sam. Nie zdążyłem nawet się rozebrać, tylko jak długi runąłem na łóżko.

Spałem do godziny szóstej, potem zachciało mi się do toalety. W drodze powrotnej zdjąłem tylko marynarkę i znowu rzuciłem się na łóżko, a nawet przykryłem się kołdrą.

Tuż po dziesiątej obudził mnie dzwonek telefonu. Nie miałem zamiaru odbierać, męczył mnie potworny kac.

Niewiele razy w życiu byłem pijany, cztery, może pięć. Za każdym razem obiecywałem sobie, że sięgam po alkohol po raz ostatni. Teraz też.

Telefon wciąż dzwonił. Świat wirował mi przed oczyma, ale odebrałem.

- Halo? - odezwałem się opryskliwym tonem.

- To ja - powiedział Gerard. - Jak się czujesz?

- Świetnie. A ty?

- Ja... normalnie. Sporo wypilem, ale mam mocną głowę.

Ty chyba nie.

- To prawda. Ledwie żyję. Jak impreza?

- Chyba się udała. Nie uważasz?

- Dla mnie nie. Za dużo wypilem.

- No właśnie... Stary, jeszcze nie widziałem cię w takim stanie.

- Zadzwoń później, dobrze? - wydusiłem z trudem.

- Dobrze, ale chciałem ci tylko powiedzieć, że gdyby ta dziewczyna chciała cię oskarżyć, to ja...

- O czym ty gadasz, człowieku?!

- No przecież chciałeś ją zgwałcić.

- Kogo? - nie bardzo wiedziałem, co do mnie mówi.

- Agnieszkę.

- Jaką Agnieszkę?

- Tę modelkę, która wyskoczyła z tortu.

- Ale ja jej w ogóle nie znam!

- Wczoraj na imprezie dostawiałeś się do niej. Proponowałeś nawet, że się z nią ożenisz...

- Słuchaj, Gerard, łeb mi pęka. Nie będę dłużej słuchał takich bzdur.

Rzuciłem słuchawkę i z trudem podniosłem się z łóżka, dygocząc z oburzenia.

Co temu Gerardowi przyszło do głowy, żeby ze mnie żartować, zastanawiałem się. Czy on nie wie, że ja nie mam poczucia humoru?

Rozebrałem się i wziąłem prysznic. Potem napiłem się gorzkiej kawy. Niewiele to pomogło. Chodziłem jak struty. Na dodatek cały czas myślałem o tym, co powiedział mi Gerard.

Nie wytrzymałem i zadzwoniłem do Bogdana.

- Jak się czujesz? - zapytałem, nie siląc się na oryginalność.

- Koszmar. Strasznie się wstydzę z powodu zachowania...

Zamarłem na chwilę, po czym zapytałem ostrożnie:

- Czyjego? Czyżby mojego?

- Nie, Jacka... Żałuję, że go wziąłem na tę imprezę. No tak, oczywiście. Nie wiem, czemu pomyślałem, że to może chodzić o mnie.

- Słuchaj, Bogdan, wczoraj trochę za dużo wypilem.
- I miałeś rację. Żałuję, że nie poszedłem w twoje ślady.
- Czy twoim zdaniem nie zachowywałem się jakoś skandalicznie?

- Nie... No co ty?

A jednak Gerard robił mnie w konia! Nie daruję mu tego. Nie dam mu więcej zleceń!

Pogadaliśmy z Bogdanem jeszcze przez chwilę o sprawach zawodowych, po czym się rozłączyłem.

Mimo to nie byłem spokojny. Leżałem na kanapie i wszystko jeszcze raz odtwarzałem w swojej głowie.

Niby pamiętałem, co się działo, aż do momentu gdy upadłem na podłogę. To był mój koniec. Nie mogłem niczego zrobić, nie byłem w stanie, byłem zbyt pijany. A jednak czułem jakiś dziwny niepokój. Jeśli Gerard żartował, to nie tylko nie będę już z nim pracował, ale po prostu go zabiję! - postanowiłem. Myślałem, kogo jeszcze mogłem dyskretnie podpytać o wczorajszy wieczór...

Ola!

Szybko wykręciłem do niej numer.

- Dzień dobry, panie prezesie. Przepraszam, że tak chrypię, ale boli mnie gardło po wczorajszym.

- Nie szkodzi, Olu. O której wróciłaś do domu?

- Późno. Około szóstej.

- Mnie urwał się film... - zacząłem dyplomatycznie.

- Wiem.

- Pamiętasz może, co się ze mną działo?

- Zapakowaliśmy pana do taksówki. Chciałam jechać z panem, ale pan twierdził, że sobie poradzi.

- A przedtem?

- Przedtem widziałam, jak pan rozmawiał z tą dziewczyną.

- Z jaką dziewczyną?

- Tą, która wyskoczyła z tortu...

Zrobiło mi się słabo. Nie mogłem dłużej rozmawiać. Pożegnałem się z Olą i rozłączyłem.

Przez kilka godzin leżałem na łóżku. Zjadłem dwie suche bułki, popijając herbatą.

Postanowiłem, że przez cały dzień nie będę nigdzie wychodził.

Na szczęście pani Ula, która sprząta u mnie trzy razy w tygodniu, dzisiaj nie przychodziła. Miałem zamiar zamówić pizzę, gdy będę głodny.

O piątej po południu nie wytrzymałem i zadzwoniłem do Gerarda.

- Słuchaj, powiedz mi, jak naprawdę było z tą wczorajszą imprezą? - zacząłem prosto z mostu.

- Jak Boga kocham, dostawiałeś się do niej.

- Poważnie?

- No. Nawijałeś jej takie rzeczy, że głowa mała - w głosie Gerarda słychać było rozbawienie.

- A ona?

- Nic... Śmiała się.

- No, a ten gwałt? - zacząłem niepewnie.

- Może trochę przesadziłem, to nie był właściwie gwałt. -
A co?

- Tylko klepnałeś ją w pupę, ale jej się to nie podobało.

- Gerard, przysięgam ci, że niczego takiego nie pamiętam, więc jeśli mnie okłamujesz...

- Adam, dlaczego miałbym kłamać? Zadzwoniłem do ciebie, żeby cię ostrzec. Wiem, jakie potrafią być dziewczyny. Raz jedna panna chciała mnie zrobić w dziecko, a ja przecież zawsze się zabezpieczam...

Przestałem go słuchać, za to intensywnie myślałem. Nie pamiętałem żadnej rozmowy z jakąkolwiek dziewczyną poza

Aldoną Orman. Byłem pijany, ale coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Nie, to niemożliwe.

- ... rozdarłeś jej też sukienkę - te słowa Gerarda jednak dotarły do mnie.

- Co?

- Nie martw się. Była pożyczona od Gosi Baczyńskiej.

- Gerard, to nie mogłem być ja! - prawie krzychałem do telefonu.

- A masz brata bliźniaka?

- Nie mam.

- W takim razie to byłeś ty.

- Czy ktoś to widział oprócz ciebie?

- Chyba nie. Impreza już była rozkręcona. Wszyscy zajmowali się sobą.

- No, a ty... - ciekawe dlaczego mnie nie powstrzymał?

- Ja krążyłem wokół was i czekałem...

- Na co?

Zapadła krótka cisza.

- Adam, mogę być z tobą szczerzy?

- Wyłącznie!

- Miałem ochotę na Agnieszkę. Wszedłeś mi po prostu w paradę.

- Sorry. Mam nadzieję, że potem świetnie się bawiliście.

- Nie - wyczułem w jego głosie złość.

- Dlaczego?

- Spłoszyłeś mi ją. Po tym całym zamieszaniu zniknęła jak jakiś pieprzony Kopciuszek.

No i co ja miałem o tym wszystkim sądzić?

ROZDZIAŁ 2

Nazajutrz, w środę, siedziałem u siebie w biurze i popijałem cappuccino, które przyniosła mi Ola. Kac już minął, ale nie czułem się dobrze. Miałem zamiar wypocić wszystkie toksyny na siłowni. Najpierw 5 kilometrów biegu na ruchomej bieżni, a potem 20 kilometrów na rowerze stacjonarnym, postanowiłem. Potem jeszcze sauna - minimum pół godziny, a może nawet więcej, masaż i będę jak nowo narodzony.

Przedemną leżały jakieś papiery, które miałem przejrzeć i podpisać, ale nie chciało mi się.

Wciąż rozmyślałem o pijanym incydencie z prawie nieznaną dziewczyną.

Jak mogłem się tak zachować?! To do mnie zupełnie niepodobne. Alkohol, owszem, najpierw mnie pobudza, a potem wprowadza w depresję. Mogłem być lekko pobudzony, ale nie tak, żeby klepać kogoś po tyłku!

Coś takiego nie zdarzyło mi się nigdy. Nigdy!

Niczego wprawdzie nie pamiętałem, ale Gerard nie mógł zmyślać. Nie podejrzewałem go o aż taką kreatywność.

Jeśli jednak to wszystko było prawdą, to... było mi po prostu wstyd.

I co z tego, że nikt - poza Gerardem - mógł tego nie widzieć?

Miałem nadzieję, że Gerard niczego nie wygada. Zresztą, komu mógłby coś powiedzieć? Iwonie? Nawet jak coś jej chlapnie, to obrócę to w żart.

A dziewczyna?

Może też była pijana w sztok?

Może. Ale nie na pewno.

Co ona o mnie pomyśli?

A, niech myśli, co chce. Czy ja zawsze muszę być ideałem, tak jak chciała mama?

Mama na szczęście tego nie widziała. Dopiero by było!

Czy ja się boję własnej matki?

Nie...

Mam przecież swoje życie. Jestem samodzielny. Mam oddzielne mieszkanie, narzeczoną, zawsze mogłem prowadzić takie życie, jakie chciałem.

Wróciłem myślami do dziewczyny z tortu.

Prawie jej nie pamiętałem. Była na pewno niebrzydka, ale czy zrobiła na mnie aż takie wrażenie? Faktem jest, że zapamiętałem jej pupę.

Czyżby dlatego ją potem po niej klepałem?

Głupia sprawa. Ciekawe, czy ona o mnie myśli? Na pewno wzięła mnie za chama. Obleśnego erotomana.

Nie, nie chciałem, żeby ludzie tak o mnie myśleli! Ktokolwiek by to był.

Co robić? Najlepiej nic. W końcu ta dziewczyna jest nikim. To jakaś modelka, która biega nago. Sama jest winna. Jak biega nago, to nic dziwnego, że dostaje klapsy.

Tylko że ona biegała nago na moje polecenie... Zatwierdziłem scenariusz, podpisałem umowę. Ciekawe jaką? Zlecenie czy o dzieło?

Czy wyskoczenie z tortu może być dziełem?

Też mi pytanie. Już lepiej wezmę się do roboty. Ile tych papierzysk, ja nie mogę.

Rozdarłem jej suknię...

Gerard mówił, że była pożyczona od Gosi Baczyńskiej. Tylko kto ją pożyczył? My czy ona? A jeśli ona, to Gosia obciąży ją kosztami.

Zadzwonię do niej i powiem, że zapłacimy za naprawę sukni.

Może nawet odkupię tę suknię? Tylko po co? Dla Iwony? Nie będzie pasować.

Ta dziewczyna... Była wyższa czy niższa? Chyba trochę niższa. Nie, nie pamiętam.

Odkupię tę suknię i wyrzucę do śmieci. Przynajmniej będę miał czyste sumienie.

A co zrobię z dziewczyną? Powinienem do niej zadzwonić, przeprosić.

Tak zrobię! To zakończy sprawę.

Już miałem dzwonić do Gerarda, żeby mi dał numer jej telefonu, ale w ostatniej chwili się opanowałem.

Nie chciałem wciągać w to Gerarda. Dlaczego? Nie wiem.

„Miałem na nią ochotę”, dźwięczały mi w uszach jego słowa.

Ale jak znajdę tę dziewczynę... Agnieszkę? Chyba tak miała na imię?

Może zlecić to Oli? Tak, tak będzie najlepiej.

Wtedy przypomniało mi się, że przede mną leżą papiery - rozliczenie kosztów promocji. Może wśród nich będzie umową z Agnieszką?

Zacząłem je przeglądać. Znalazłem tylko jedną Agnieszkę - Agnieszkę Guzowską. Była to umowa o dzieło. Opiewała na 500 złotych za „artystyczne wykonanie roli”. Jakiej, nie było napisane.

Zerknąłem na dane dziewczyny. Był wpisany jej adres. Przez myśl mi przeszło, że może lepiej byłoby do niej napisać i załączyć jakiś prezent - na przykład zestaw kosmetyków - ale czy to nie byłoby za dużo z mojej strony?

Z boku, na marginesie umowy, był zapisany ołówkiem numer telefonu komórkowego. Pomyślałem, że to może do niej.

Postanowiłem spróbować.

Zawahałem się, czy zadzwonić z telefonu służbowego czy prywatnego. Uznałem, że zachowałem się jak cham prywatnie, a nie jako prezes własnej firmy, sięgnąłem więc po komórkę. Wystukałem numer i czekając na połączenie, zastanawiałem się, co jej powiem.

- Słucham?
- Czy... Czy to pani Agnieszka?
- O, cześć Adam!

Oszłupiałem. Skąd ona wiedziała, że to ja dzwonię? I na dodatek była chyba zadowolona z mojego telefonu.

- Zastanawiałam się właśnie, czy do mnie zadzwonisz. Co?!

- Skąd wiedziałas, że to ja dzwonię? - postanowiłem dowiedzieć się wszystkiego po kolei.

- Wpisałam twój numer do komórki.

- Ja ci dałem swój numer? - nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

- Tak. Musiałam wstukać go przy tobie. A nawet gdybym go nie wpisała, to i tak poznałabym cię po głosie. Co słyszeć?

- Dziękuję, w porządku. A co u ciebie?

- Też w porządku. Zapadła cisza.

- Słuchaj, chciałem cię przeprosić za swoje zachowanie w poniedziałek.

- O rany, jaki byłeś zabawny! Ja - zabawny? Coś podobnego!

Byłem starym, potwornym nudziarzem, który nie zapamiętuje żadnego dowcipu i ma bardzo mało tematów do rozmów.

Dziewczyna musiała mnie z kimś pomylić. A może ona bierze mnie za Gerarda? Ale skoro twierdzi, że poznała mnie po głosie...

Coś mi tu śmierdziało. Miałem do niej wiele pytań.

- Możesz teraz rozmawiać?

- Nie bardzo.

- To może umówimy się gdzieś na kawę? - pomyślałem, że załatwię to w cztery oczy.

- Bardzo chętnie.

- Masz czas dzisiaj?

- Mam.
- Więc spotkajmy się w Cawie na rogu Nowego Światu i Foksal. Siedemnasta może być?
- Ale ja jestem teraz w Krakowie.
- Tak? A co tam robisz? - zapytałem zaskoczony.
- Mieszkam. Już nie pamiętasz?
- A, racja... Zapomniałem. Przepraszam. Oczywiście nic takiego nie zarejestrowałem w swojej głowie. Zaczynałem się powoli obawiać o swoje zdrowie psychiczne.
- A kiedy będziesz w Warszawie?
- W przyszły weekend. Mam tam pracę.
- Nowe zlecenie?
- Dokładnie. Będę zajęta wieczorami, ale w dzień powinnam mieć czas.
- To w takim razie umówmy się wstępnie na następny weekend. Zadzwoń jeszcze do ciebie.
- Dobrze.
- Dzięki za rozmowę.
- Dzięki za telefon. Fajnie, że zadzwoniłeś. Rozłączyłem się i przez kilka minut dochodziłem do siebie po tej rozmowie. Postanowiłem zabrać się do roboty i nie myśleć już o tym wszystkim. W przyszłym tygodniu zadzwonię do niej i powiem, że nie mogę się spotkać, bo coś mi wypadło. I już. Nie będę się spotykał, nie będę przeproszał, bo ona najwyraźniej się nie gniewa. Dałem jej numer telefonu? Byłem niegrzeczny, bo przecież to ona powinna mi dać. Nie będę jej za nic przeproszał, bo ona najwyraźniej się na mnie nie gniewa. „Byłeś taki zabawny”, dźwięczało mi w uszach. Gerard oskarżał mnie prawie o gwałt, a jej się podobało moje zachowanie!
- I komu tu wierzyć?

Nie, nie będę więcej myślał o tej sprawie. Zadzwonię do niej w piątek wieczorem i powiem, że wyjeżdżam na bardzo długo.

A co, jeśli ona będzie do mnie wyzywająca?

Wtedy nie będę odbierać albo nawet zmienię numer telefonu. Kropka.

Zabrałem się do papierzysk, gdy wtem przyszedł do mnie SMS. Odczytałem go prędko.

„Jeśli chcesz, mogę przyjechać do ciebie dzisiaj, ale będę bardzo późno. A”.

To była ona!

Co miałem jej odpisać? Nie, nie chcę, nie przyjeżdżaj? Jednak wolę spotkać się w następny weekend?

A może jednak niech przyjedzie dziś? Będę miał to z głowy. Położę się spać wieczorem lekki i wolny.

Zaczynałem pisać odpowiedź, ale trzęsły mi się ręce, prawdopodobnie z oburzenia. Litery przeskakiwały, zamieniały się w cyfry. Miałem tego dosyć. Wybrałem rozmowę.

- Dobrze, przyjeźdź - zacząłem prosto z mostu. - O której możesz być?

- Najwcześniej o dwudziestej pierwszej.

Późno, ale jeśli powiedziało się A, to trzeba powiedzieć B.

- W takim razie zapraszam cię na kolację.

- Jak się umówimy?

- Przyjedziesz pociągiem? - Tak.

- Będę czekał na ciebie na dworcu.

- Fajnie.

- Do zobaczenia.

Przyznam, że nie poznawałem samego siebie. Zaprosiłem na kolację dziewczynę z Krakowa. Dziewczynę, którą klepałem po pupie i dla której byłem zabawny.

Spojrzałem na zegarek. Była prawie trzecia. Zobaczymy się za sześć godzin...

Odważyłem szybko papierkową robotę i pojechałem do domu, żeby się przygotować na spotkanie.

Pani Ula właśnie sprzątała. Zdziwiła się, że wróciłem tak wcześnie. Na szczęście dla niej nie zastałem jej na jakiejś kompromitującej czynności - po prostu odkurzała.

Przydzieliłem jej zadania na piątek i kazałem iść do domu.

O dziwo, wcale nie wpadłem w popłoch. Chciałem załatwić to spotkanie jak kolejną z rzędu transakcję.

Najpierw zamówiłem stół w restauracji. Wybrałem Smaki Warszawy, na rogu Poznańskiej i Nowogrodzkiej, bo było to po pierwsze blisko dworca, a po drugie miało coś warszawskiego. Nie był to wprawdzie krakowski Wierzynek, ale też coś sprawdzonego i dobrego.

Ubrałem się normalnie: dżinsy, sportowa koszula, marynarka i mokasyny na białe stopy - wciąż było bardzo ciepło.

Ponieważ Agnieszka fatygowała się, żeby do mnie przyjechać, postanowiłem jednak dać jej jakiś prezent.

Chwyciłem tester Nakano i włożyłem do jakiejś ozdobnej torebki.

Była dopiero osiemnasta. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić z czasem. Chciałem mieć to z głowy, więc zabieranie się do roboty nie miało sensu.

Pojechałem na trening. I to był błąd. Zdarzyła się bowiem rzecz niewiarygodna: pod prysznicami nie było ciepłej wody. Podobno była to awaria niezależna od hotelu. Próbowałem więc wziąć zimny prysznic z nadzieją, że bardzo dobrze mi zrobi. Woda jednak była lodowata i nie wytrzymałem długo. Wyglądało więc na to, że na spotkanie pójdę spocony. Trudno, i tak nie będę do niej podchodził za blisko.

Pojechałem na dworzec. Według rozkładu pociąg miał przyjechać o 20.50.

Krażyłem chwilę między peronami. Od dawna nie korzystałem z usług PKP. Wszędzie było brudno, śmierdziało, ohyda.

Może to się zmieni, kiedy otworzą Złote Tarasy? Zastanawiałem się, czy nie przeniosę tam swojego biura.

Kwiaciarki na dworcu miały piękne róże. Może kupić bukiet? Tak byłoby szarmancko. W końcu to kobieta.

Ja z kwiatami? Wykluczone. Owszem, bywam wobec kobiet szarmancki, ale kupowanie kwiatów dziewczynie, którą ledwo znam, to już przesada. Co za dużo, to niezdrowo. Z drugiej strony spotykam się z nią tylko po to, żeby przeprosić, więc może jednak?

Znalazłem kompromis - kupiłem jedną różę i zszedłem na peron.

Gdyby teraz widziała mnie Iwona! Ale Iwona na szczęście nadal była w Izraelu.

Boję się Iwony? Dlaczego? To, że się spotykamy od czasu do czasu, nie znaczy, że mam wobec niej jakieś zobowiązania? Ona też może mnie zdradzać.

Muszę wyluzować. W zupełnie niezrozumiały dla mnie sposób gubiłem się jak dziecko, zachowywałem jak przyszczaty nastolatek na pierwszej randce.

Pociąg się zatrzymał. Wysiadł z niego tłum ludzi. Przyglądałem się twarzom. Nie byłem pewny, czy ją poznam.

Nagle ktoś zaczął się do mnie uśmiechać. To ona?

O rety, ale ładna.

I jaka młoda.

Nie pamiętałem jej wcale z promocji - wydawało mi się, że widzę ją po raz pierwszy.

Ona chyba zapamiętała mnie lepiej, bo podeszła od razu i pocałowała w policzek.

- Cześć.

- Cześć... - nieśmiało podałem jej różę. Podziękowała. Zaczęliśmy iść w milczeniu w kierunku ruchomych schodów, którymi potem wyjechaliśmy na górę.

Uświadamiałem sobie stopniowo, jaki fatalny błąd popełniłem, zgadzając się na to spotkanie. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, byliśmy dwojgiem kompletnie obcych osób.

Ona chyba też tak pomyślała. Zerknęła na mnie ukradkiem, a kiedy ją na tym przyłapywałem, uśmiechała się niepewnie.

- Dokąd idziemy?

- Niedaleko jest miła restauracja. Podejźmy tam, bo samochód zostawiłem na parkingu.

Chyba niedobrze zrobiłem, bo było mi wstyd za Warszawę, kiedy prowadziłem ją brudnymi Alejami Jerozolimskimi. Na dodatek na Poznańskiej, przy Polonii, kręciły się prostytutki.

- Zaraz będziemy na miejscu - odezwałem się. - Pewnie nie lubisz Warszawy?

- Niespecjalnie. Wolę Kraków.

- Ja nie przepadam za Krakowem. Urodziłaś się tam?

- Nie w samym Krakowie, ale całkiem niedaleko: w Babicach.

- To tak jak ja - urodziłem się niedaleko Warszawy. Pochodzę spod Grójca.

Rozmowa znowu się urwała, ale na szczęście byliśmy na miejscu.

- Dobry wieczór państwu - kelner otworzył nam drzwi. - Macie państwo rezerwację?

- Dobry wieczór. Mamy. Na nazwisko Kamiński.

- Bardzo proszę.

Zaprowadził nas do najlepszego stolika przy oknie i podał karty dań i win.

- Może czegoś się państwo napiją na początek?
Spojrzałem na Agnieszkę.

- Zdaję się na ciebie - powiedziała.

Poprosiłem o szampana. Agnieszka zajrzała do karty.

- Strasznie tutaj drogo.

- Ale smacznie, sprawdziłem to wiele razy. Jesteś głodna?

- Przyznam, że tak.

- Ja też. Więc zrobmy sobie ucztę.

- Tylko że ja nie mam pojęcia, co wybrać. Rzadko jadam w restauracjach.

- Ja ci pomogę, dobrze? Zamówię dla ciebie to samo, co dla mnie, zgoda?

Wydawało się, że jest bardzo nieśmiała, gdy nagle zebrała się na odwagę:

- A może zrobmy inaczej? Ty zdasz się na swój nos, a ja na intuicję. Wybierzemy różne potrawy, a potem się nimi podzielimy.

Na przystawkę poprosiłem pasztet z dzika z borówkami, Agnieszka - bliny z łososiem i kawiozem. Zgodnie zrezygnowaliśmy z zup. Jako główne danie wybrałem stek, a Agnieszka comber z sarny. Zagalopowałem się i zamówiłem chilijskie wino, a przecież przyjechałem samochodem.

Miałem nie pić więcej alkoholu, ale uznałem, że odrobina nie zaszkodzi. Poza tym miałem nadzieję, że wino rozwiąże nam języki, bo do tej pory dukaliśmy coś bez sensu.

- Mieszkaś w centrum Krakowa? - zapytałem, chcąc zacząć jakoś rozmowę.

- Nie, ale bardzo blisko. Wynajmuję trzy pokoje w bloku.

- Sama.

- Tak. Po prostu tak się trafiło, że mam trzy pokoje w cenie kawalerki.

- Co porabiasz? Studiujesz?

- Nie. Już nie.

- Co skończyłaś?
- Niczego nie skończyłam. Wyrzucili mnie. Zamieniłem się w słuch, ona zaś mówiła dalej.
- Studiowałam aktorstwo w krakowskiej szkole teatralnej, ale zaliczyłam tylko jeden rok.
- O, szkoda, bo tam chyba ciężko się dostać? Co się stało? Nie radziłaś sobie?
- Nie, to nie to. Na początku było bardzo dobrze. Krystian Lupa mówił, że jak mnie widzi, to czuje się, jakby otwierał się przed nim cały świat.
- No to dlaczego...
- ... wyrzucili mnie? Bo byłam głupia. Po prostu.
- Niewiele wiedziałem na temat studiów aktorskich. Pomyślałem, że oprócz nauki gry aktorskiej są tam także przedmioty teoretyczne.
- Nie radziłaś sobie z teorią?
- Z tym rzeczywiście było gorzej, ale też nieźle. Na czwórkę. To chodziło o coś innego...
- Zauważyłem, że mówienie o tym przychodzi jej z trudem, ja zaś nie byłem aż tak ciekawy, więc zaproponowałem:
- Jeśli nie chcesz, to nie mów.
- Nie, dlaczego... Po pierwszym roku, który zaliczyłam na piątki i czwórki, dostałam propozycję od jednego teatru offowego...
- A, takiego niezależnego? - zapytałem niepewnie, bo teatr zdecydowanie nie był moją mocną stroną.
- Tak. Wystawiali właśnie sztukę Shopping & Fucking i szukali dziewczyny do głównej roli kobiecej. Właściwie to byłam jedyną dziewczyną w tym przedstawieniu i oczywiście zgodziłam się ją zagrać, wniebowzięta, że dostałam pierwszą zawodową propozycję. Pierwszą i ostatnią.
- Dlaczego?

- Premiera była zaraz po wakacjach. I od razu wybuchł skandal. Profesorowie ze szkoły oburzyli się, że gram w czymś takim. Profesor Anna Gawrońska, specjalistka od impostacji głosu, postawiła wniosek, żeby mnie skreślić z listy studentów, chociaż u niej też miałam piątkę z interpretacji Fredry. Nastąpiło głosowanie. Okazało się, że większość profesorów była za tym, żeby mnie skreślić.

- Rozumiem. Słyszałem, że Kraków jest bardzo konserwatywny. Nie próbowałaś dostać się gdzieś indziej?

- Nie. To już nie miało sensu.

- Czemu tak łatwo zrezygnowałaś?

- Bo... muszę się utrzymywać.

- Pracujesz?

- Dorywczo. Ciężko znaleźć coś ciekawego. Ciężko znaleźć cokolwiek, zwłaszcza w Krakowie, w dodatku bez studiów.

- A nie chciałaś studiować czegoś innego?

- Chciałam, ale nie bardzo mogę. Mam dysgrafię. Popatrzyłem na nią zdumiony. Stale mnie czymś zaskakiwała i mimowolnie coraz bardziej wciągała w swoje życie.

- Ledwie skończyłam liceum ekonomiczne. Na maturze miałam zaświadczenie, że nie jestem w stanie nauczyć się pisać, dlatego mogłam ją zdać z tyłoma błędami. Na studiach byłoby dużo gorzej. Aktorstwo było dla mnie idealne, bo prawie nie trzeba pisać. Kiedy dostałam się do szkoły, wydawało mi się, że złapałam Pana Boga za nogi, a tu...

Urwała. Miała łzy w oczach, widziałem wyraźnie, ale szybko się uśmiechnęła.

- Lubisz teatr? - zapytała.

- Nie bardzo - odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Nie widziałem powodu, żeby ją okłamywać.

- Rozumiem. A kino? - wypytywała delikatnie.

- Też mnie nie pociąga.

- Literatura?
- Wydaje mi się, że rzadko teraz powstaje coś naprawdę ciekawego. Wszystko już chyba było?
- Nie, to nieprawda. Ja stale odkrywam coś, czego nie znałam. Na przykład Michel Houellebecq. Czytałeś go?
- Nie... Ostatnio przeczytałem Życie Pi - skłamałem beczelnie.
- O! - ucieszyła się. - Piękna książka. Chociaż ja wolę Houellebecqa.
- Na pewno go przeczytam.
- Masz jakieś hobby?
- Szczerze mówiąc, cały wolny czas zabiera mi prowadzenie firmy.
- Wiem, pamiętam. Mówiłeś mi na promocji Demi. Skoro była właśnie mowa o feralnej promocji, postanowiłem działać.
- Jeśli już o tym mówimy... - sięgnąłem po prezent. - Słuchaj, chciałem cię przeprosić za swoje zachowanie...
Agnieszka zrobiła wielkie oczy.
- Ależ nie masz mnie za co przepraszać. Rozmawiało mi się z tobą bardzo miło. Byłeś fantastyczny. Uroczy, miły, elokwentny, dowcipny. Potraktowałeś mnie... no, tak normalnie. Bo wiesz, faceci czasami bywają nachalni. Wydaje im się, że jak już mają trochę kasy, to mogą wszystko. I na początku, gdy Gerard cię przedstawił, pomyślałam, że skoro jesteś prezesem jakiejś firmy, to zaraz zaczniesz się puszyć i napinać. A ty okazałeś się zupełnie zwyczajny. I zabawny. Od razu cię polubiłam.
- Naprawdę? - zapytałem z niedowierzaniem.
- Tak! W przeciwnym wypadku nie przyjechałabym na spotkanie z tobą.
Byłem skołowany. Czułem, że Agnieszka nie kłamie, że chyba naprawdę mnie polubiła. Z drugiej strony trudno mi było sobie wyobrazić siebie jako wyluzowanego gościa, który

sypie anegdotkami jak z rękawa. Raczej pasowałam do modelu nieco nudnego, ale pewnego siebie prezesa. A może Agnieszce podobało się klepanie po pupie i rozrywanie sukienek? Albo była już tak pijana, że wszystko jej się poplątało. Istniała jeszcze możliwość, że mnie zwyczajnie naciąga... Nie, było coś szczerego, niezwykłego w jej entuzjazmie do mojej osoby. Tak czy inaczej, Gerard musiał przesadzać. Wyglądało na to, że nie byłem niegrzeczny. Mama powinna być zadowolona. Żeby ostatecznie zamknąć sprawę, wręczyłem Agnieszce torebkę z perfumami.

- To dla ciebie.

- Jesteś strasznie miły.

Wyjęła buteleczkę i rozpromieniła się.

- Marzyłam o Nakano, ale nigdy bym sobie ich nie kupiła.

Mam ważniejsze potrzeby. Dziękuję!

Pocałowała mnie w policzek, a ja się zawstydziłem. Jak mogłem podarować jej tester! Co za idiota ze mnie.

Na szczęście przyszła pora na desery. Zamówiliśmy tort pistacjowy i bezę, dzieląc się nimi sprawiedliwie po połowie.

- To z czego się utrzymujesz? - zapytałem przy kawie.

- Różnie bywa. W swoim zawodzie ekonomistki nie mogłam znaleźć pracy z wiadomych powodów. Pracowałam jako kelnerka i sprzedawczyni w sklepie z indyjskimi ciuchami, ale to nie wystarczało mi na opłaty.

- Rodzice ci pomagają?

- No coś ty? Ja mam już dwadzieścia pięć lat. Muszę radzić sobie sama. Zresztą rodzicom też się nie przelewa.

- Czym się zajmują?

- Tata jest górnikiem, a mama księgową. Nie ma się czym chwalić.

- Masz jakieś rodzeństwo?

- Mam. Siostrę i dwóch braci. Wszyscy młodszy ode mnie. To oni potrzebują pomocy rodziców. Wątpię zresztą, żeby do czegoś w życiu doszli.

No tak. Pochodziliśmy z zupełnie różnych światów, ale jak na razie - co dziwne - w ogóle mi to nie przeszkadzało. Zazwyczaj unikałem takich kontaktów, bo uważałem, że są z gruntu niebezpieczne. Przecież mogło się okazać, że dla kobiety, z którą się spotykam, moim największym atutem są pieniądze.

Najbardziej zaskoczył mnie wiek Agnieszki. Była ode mnie trzynaście lat młodsza, a dla mnie trzynastka to liczba szczęśliwa. Byłem zaskoczony nie dlatego, że Agnieszka wyglądała poważnie, tylko dlatego, że była jakaś taka dojrzała. To dziwne, że potrafiłem z nią rozmawiać. Dotychczas umawiałem się raczej ze swoimi rówieśniczkami. Nie byłem amatorem młodziutkich, słodziutkich dziewczynek tylko dojrzałych kobiet sukcesu.,

- Pracujesz jako modelka?

- Raczej biorę, co się trafi. Czasem nawet występuję w teatrze.

- A jednak?

- Stary Teatr gra czasami Fausta w reżyserii Jerzego Jarockiego. Mam zastępstwo w tym przedstawieniu.

- Kogo grasz?

- Nie gram. Pokazuję się tylko naga w scenie Nocy Walpurgi.

To mnie trochę otrzeźwiło.

- Nie wstydzisz się swojej nagości?

- Nie. Chyba nie wyglądam najgorzej?

Uśmiechnęła się. Ja nie potwierdziłem, choć może powinienem. Agnieszka była bardzo ładna, ale miałem wrażenie, że obnoszenie się ze swoją nagością do niej nie pasuje.

- Często to robisz? - zapytałem niepewnie. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to nienaturalnie. - To znaczy rozbierasz się publicznie... - jednak zabrzmiało.

- Różnie bywa. Czasami są zlecenia, czasem nie ma. Wolałabym robić coś innego, ale nie zawsze można robić to, co się chce.

- A teraz masz jakieś propozycje?

- Tak. Być może wystąpię w przedstawieniu Jerzego Grzegorzewskiego Halka Spinoza.

- Grzegorzewski chyba nie żyje?

- Tak, ale wznawiają jego przedstawienia na festiwal jego twórczości „Planeta Grzegorzewski”. Jeśliby mi się udało załapać, bo to jeszcze nic pewnego, to w następną sobotę i niedzielę występowałabym w Teatrze Narodowym. Może przyjdiesz zobaczyć?

- Bardzo chętnie.

Musiała wyczuć coś w tonie mojego głosu, bo powiedziała:

- Dobrze, nie przychodź, nie będę cię zmuszać. Pomyślałem, że czas się zbierać. Przywołałem kelnera i poprosiłem o rachunek. Przyniósł go wraz z dwoma kieliszkami wiśniówki domowej roboty.

- O której godzinie masz pociąg?

- Najbliższy? O szóstej rano...

Co? Byłem w szoku. Myślałem, że pociągi do Krakowa jeżdżą przez całą noc.

- ... ale ja musiałabym pojechać tym o ósmej.

Co? Co?! Co?!!! I co ja mam z nią zrobić? Włączyć się przez całą noc? Zabrać do dyskoteki? A może do klubu go-go, który był niedaleko?

Rany boskie, co robić? Ulokować ją w hotelu i za niego zapłacić? Blisko była Polonia, zaraz potem Merropol, naprzeciwko Metropol - Novotel, to znaczy dawny Forum...

- Gdzie mieszkasz? - zainteresowała się.
- Na Saskiej Kępie - odruchowo odpowiedziałem, poszukując w myślach jakiegoś rozwiązania.
- Piłeś wino, nie będziesz mógł prowadzić.
- Zamówię taksówkę.

Tak też zrobiłem. Podczas oczekiwania zapytałem ją, czy może chce jeszcze gdzieś pójść. Miałem nadzieję, że coś wymyśli. Czułem się jak w pułapce.

- Nie. Jestem już zmęczona. Jedźmy do ciebie.

Oślupiałem do reszty. Dziewczyna zwała mi się na głowę. To ja ją zaprosiłem. Nie przewidziałem konsekwencji. Co za osioł. Zastanawiałem się, czy jest przygotowana na nocleg w Warszawie (kosmetyki? bielizna na zmianę?), potem jednak o tym kompletnie zapomniałem. I do dziś tego nie wiem. Czułem się głupio, wprowadzając ją do mieszkania. Sytuacja była dziwna. Nie znaliśmy się. To znaczy ona twierdziła, że mnie polubiła i że jestem super, i takie tam. A ja jej uwierzyłem i od razu zabrałem ją do swojego mieszkania. Nie tak mnie mama wychowała. W dodatku Agnieszka nie kryła, że nie podobał jej się jego wystrój. Mnie też nie, ale co zrobić.

- Chyba nie chciałabym tu mieszkać - zawyrokowała. - Za duże dla mnie. I nie ten styl. Poza tym nie lubię apartamentowców. Lubię stare kamienice.

No to przynajmniej miałem cień nadziei, że nie zagnieździ się u mnie na stałe.

- Chyba łatwiej o pracę byłoby ci w Warszawie? - zapytałem ostrożnie, podając gazowaną wodę mineralną, o którą poprosiła. - Nie chciałabyś się tu przenieść?

- Nie - odrzekła krótko. - Lubię Kraków i nie wyobrażam sobie, że mogłabym na dłużej zamieszkać gdzie indziej.

I bardzo dobrze! Tak. Tylko czemu zrobiło mi się trochę smutno?

- Przygotuję spanie - postanowiłem.

- Dobrze.

Zamierzałem oddać jej sypialnię z łóżkiem na dwa metry dwadzieścia z superwygodnym silikonowym materacem. Sam postanowiłem przełamać się na kanapie.

Co za szczęście, że dziś pani Ula zmieniła pościel. Zdjąłem z łóżka narzutę. Przygotowałem też ręczniki.

- Wszystko gotowe. Łazienka jest tutaj. Może napijesz się jeszcze czegoś?

- Tak, możesz przynieść jeszcze wody.

Poszedłem do kuchni, nalałem jej wody Evian z butelki. Sobie przygotowałem dla kurażu whisky z colą. Nie wiedziałem, co mam robić, jak się zachować. Nigdy nie pozwalałem nocować tutaj żadnej kobiecie. Nawet Iwonie...

Wróciłem do sypialni. Agnieszka siedziała na łóżku. Była jakaś smutna.

- Usiądź obok mnie - poprosiła.

Usiadłem jak na szpilkach. Na własnym łóżku!

- Dziękuję ci - powiedziała, uśmiechając się lekko.

- Za co? - zaskoczyły mnie jej słowa.

- Za spotkanie, kolację, rozmowę... tylko czuję, że jesteś jakiś spięty. Inny.

- No cóż... - bąknąłem. - Nie ma za co.

- Skrępowany - ciągnęła dalej. - Coś się stało?

- Nie. Skąd - zaprzeczyłem. - Tylko... Jak by ci to wytłumaczyć... Może wtedy w poniedziałek to nie byłem ja?

- Nie ty?

- No właśnie. Może jestem inny?

- Nie. Ja się znam na ludziach. To teraz jesteś inny. Idź już.

- Dobranoc - powiedziałem, podnosząc się z ulgą.

- Pocałuj mnie na dobranoc. Tak jak wtedy. Zbliżyłem się do niej. Poczulem jej zapach i zakręciło mi się w głowie.

Zapraǳnałem ją pożreć, rzucić się na nią, ale coś w jej oczach mnie powstrzymało. Pocałowałem ją delikatnie w usta. Poczułem jej kształtne wargi, zapraǳnałem wpić się w nie bez opamiętania. Odsunęła mnie delikatnie.

- Dobranoc - powiedziała.

- Dobranoc - poczułem ulgę, że jednak się opanowałem. Wziąłem szybki prysznic i położyłem się na kanapie. Byłem zmęczony. Bardzo zmęczony. Jutro rano pożegnamy się ostatecznie, pomyślałem.

Nie mogłem jednak zasnąć. Przewracałem się z boku na bok, wierciłem się. Wyrzucę tę cholerną kanapę, skoro jest taka niewygodna, stwierdziłem ze złością. Ale tak naprawdę nie mogłem zasnąć, bo zamykając oczy, ciągle czułem zapach Agnieszki... Tęskniłem. W końcu wstałem i poszedłem do kuchni napić się czegoś. Po chwili dołączyła do mnie.

- Nie możesz spać - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Uhm - potwierdziłem.

- Przepraszam.

- Za co?

- Za to, co powiedziałaś - zbliżyła się do mnie.

- Nic nie szkodzi. Nie gniewam się. Wiesz, ja też cię lubię - wyznałem nieoczekiwanie dla samego siebie. Przytuliła się do mnie, poczułem jej ciało tak blisko. Jej zapach wrócił do mnie. Przyciągnąłem ją do siebie i zacząłem całować. Co mnie opętało? Feromony? A może po prostu to, że Agnieszka nie stawiała oporu.

Było mi bardzo dobrze. Nie miałem ochoty się od niej odrywać, ba, ścisakałem ją coraz mocniej... a ona mnie.

Całowaliśmy się długo, krótko, wpychając i wypychając swoje języki, wręcz zaplatając je w ustach i czując jednocześnie, że nasze ciała oddzielają się od umysłów. Obcałowywałem ją całą: usta, oczy, nos, piersi. Ona robiła to samo.

W końcu zabrakło nam oddechów, ale nie mogliśmy wytrzymać bez siebie długo.

- Dobrze jest? - zapytałem głupio.

- Teraz pocałuj mnie tak, jak lubisz - poprosiła. Chyba nie byłem w tym mistrzem, bo szybko mnie od siebie odsunęła.

- Za mocno to robisz.

- Przepraszam. To teraz ty mi pokaż, jak lubisz...

Wpiła się w moje usta tak, jakby chciała przekazać mi jakiś pokarm. Było to cudowne uczucie. Czułem, że kręci mi się w głowie, a jednak mógłbym tak bez końca.

- Chcesz się ze mną kochać? - zapytała. Było to pytanie z rzędu retorycznych...

Potem leżeliśmy nago, splecieni ze sobą, ani na chwilę nie tracąc kontaktu. Kiedy ścierpły nam ramiona lub szyja, odwracaliśmy się na drugi bok, ale cały czas blisko siebie, cały czas trzymając się za ręce. Nawet we śnie ciągle razem. Budziłem się, gdy tylko Agnieszka odsuwała się ode mnie, i przyciągałem ją z powrotem do siebie.

Tak też było, kiedy o siódmej odezwał się budzik w jej telefonie komórkowym. Miałem ochotę wyrzucić go przez okno.

Otworzyliśmy jednocześnie oczy i popatrzyliśmy na siebie.

Bąłem się tego spojrzenia. Bąłem się, że ta noc to tylko seks, a kiedy się obudzimy, dopadnie nas poczucie winy i rozstaniemy się chyłkiem.

Na szczęście nic takiego się nie stało. Wytrzymaliśmy spojrzenia. Co więcej, uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Muszę już iść - powiedziała pierwsza.

- Nigdzie cię nie puszcę! Jest mi z tobą dobrze.

- Mnie też.

- Więc nigdzie nie jedź.

Objęliśmy się tak mocno, że mocniej już nie było można bez narażenia na złamanie żeber.

- Muszę.

- Pojedziesz później. Zjemy razem śniadanie. Potem odwiozę cię na dworzec. O której masz następny pociąg?

- Muszę jechać tym o ósmej. Mam próbę w teatrze.

Natychmiast otrzeźwiałem. Praca to praca. Sam mógłbym nie iść dzisiaj do biura, ale w końcu pracowałem we własnej firmie.

Chciałem wstać, a zamiast tego przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem.

- Smakujesz mi jak nikt, wiesz?

- Jak nikt?

- Masz kogoś? - zapytałem zadziornie niczym jakiś młodociany kochanek.

- Nie. A ty?

- Mam, ale to nic poważnego. Nie przejmuj się - poczułem, że to była prawda o moim związku z Iwoną.

- W porządku. Wierzę ci.

Ciągle nie mogliśmy się od siebie oderwać.

Nie zrobiłem jej śniadania. Nie odwiozłem na dworzec, bo nie miałem samochodu w domu, wezwałem tylko taksówkę.

Kiedy odjechała, czas się nie zatrzymał, nie było mi żal. Wręcz przeciwnie - czułem się bardzo dobrze.

Nie, nie dlatego, że się jej pozbyłem. Dlatego że wiedziałem, że znowu się spotkamy. Byliśmy umówieni na następny weekend, kiedy Agnieszka miała występować w Warszawie.

Przeszłość nie była ważna, liczyła się tylko przyszłość. Po raz pierwszy nie bałem się tego, co ma być.

Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że wszystko cudownie się ułożyło.

ROZDZIAŁ 3

Nie wytrzymałem do następnego weekendu, kazałem jej przyjechać już w ten najbliższy. Przyjechała.

Od tamtej pory zawsze spotykaliśmy się w weekendy.

Nigdy nie robiliśmy niczego specjalnego, ale zawsze było między nami wspaniale. Okazało się, że potrafię być dowcipny, otwarty i radosny, że Agnieszka miała rację. Nie potrzebowałem już alkoholu, żeby tak było, potrzebowałem jej.

Scenariusz naszych spotkań zawsze był podobny: czekałem na nią na dworcu, potem szliśmy coś zjeść. Lubiłem jej pokazywać coraz to nowe warszawskie knajpy, których nie znała.

Po kolacji zawsze jechaliśmy do mnie. W samochodzie milczeliśmy. Za to w mieszkaniu prawie natychmiast po zamknięciu drzwi kochaliśmy się. Tak, kochaliśmy - to jest idealne słowo na to, co robiliśmy: raz przed pójściem spać, a potem drugi raz rano.

Po śniadaniu szliśmy razem na basen lub zakupy. Wchodziliśmy do znanych mi butików. Miałem straszną frajdę, kiedy kupiłem jej coś pięknego.

Dałem jej wiele prezentów, chociaż o żaden nie prosiła. Nigdy też nie odmawiała. Wiem, że sprawiałem jej radość. Sobie chyba jeszcze większą.

Po dobrym obiedzie szliśmy do kina lub teatru. Pozwalałem, żeby to Agnieszka wybierała film lub przedstawienie. Nie zawsze mi się podobało, ale mieliśmy przynajmniej o czym dyskutować.

Kiedyś mocno spieraliśmy się po tym, jak Agnieszka zabrała mnie do jakiegoś teatrzyku offowego, gdzieś na Pradze.

Aktorzy wrzeszczeli na scenie, biegali nago, pieprzyli się jak króliki, garściami brali narkotyki, obrzucali wyzwiskami

swoich rodziców, wyśmiewali się z symboli religijnych, biadolili, że czują się samotni, zagubieni i tak naprawdę potrzebują miłości...

A na koniec zadowoleni wychodzili do oklasków. Widzowie, chyba znajomi, rzucali im pod nogi kwiaty.

Patrzyłem na to zdegustowany. Za to Agnieszce aż ręce puchły od klaskania.

- Podobało ci się to?

- Tak. Dla mnie to rewelacja. Zaczekaj. Pójdę na chwilę za kulisy.

Okazało się, że w przedstawieniu grał kolega z roku Agnieszki, który skończył już studia i przeniósł się do Warszawy, żeby występować w serialu Samo życie. W serialu grał grzecznego prawiczka, a na scenie był gejem i latał z gołym siusiakiem.

- Łatwo obrzucić wszystkich gównem, trudno zrobić coś pozytywnego. Świat nie jest taki jak ta sztuka - powiedziałem, kiedy byliśmy już w samochodzie i jechaliśmy na kolację do Sense na Nowym Świecie.

- A jaki?

- Inny. Różny... - nie wiedziałem, jak precyzyjnie wyrazić to, o co mi chodziło.

- Co ty możesz wiedzieć o świecie?

- Wbrew pozorom wiem o nim więcej niż ci chłoptasie. Mam prawie czterdzieści lat.

- I jesteś starym zgreдем. Tak. A oni będą forever young - zaśmiała się, mierzwiąc mi włosy.

To prawda, że patrzyłem na świat z okien swojego jaguara i siedmiocyfrowego konta w banku, ale to nie znaczy, że nie poznałem życia, że nic o nim nie wiedziałem. Miałem prawo odrzucać wizję świata, jaką mieli ci domniemani artyści i luzacy.

Gdy byliśmy w domu, zerkaliśmy od czasu do czasu w telewizor, ale głównie przytulaliśmy się, całowaliśmy, pieściliśmy. Zdarzało się, że Agnieszka miała w Warszawie pracę i zostawała nawet do poniedziałku. Nigdy nie pytałem jej, co robi. Byłem przekonany, że pracuje w teatrze. Aż w końcu zaprosiła mnie na Halkę Spinozę. Przedstawienie nie podobało mi się. Nudziłem się jak mops już po minucie. Czekałem tylko na występ Agnieszki. Właściwie nie miała za wiele do roboty. Stała nago na scenie. Na szczęście w oddali. Mimo to na jej widok publiczność ożywiła się, a na koniec Agnieszka dostała rzęsiste brawa.

Wtedy po raz pierwszy poczułem klucie w sercu.

- I jak ci się podobało? - zapytała, kiedy po przedstawieniu poszliśmy na kolację do La Boheme.

- W porządku - powiedziałem. - Ale wolałbym, żebyś robiła coś innego.

- Nie podoba ci się, że się rozbieram?

- Nie! - odparłem kapryśnie jak jakiś zazdrośnik.

- Przecież właśnie dzięki temu się poznaliśmy.

- Wiem, ale wolałbym, żebyś miała inną pracę.

Nie była to wcale kłótnia, tylko wymiana zdań. Na poważnie nie pokłóciliśmy się ani razu.

Czułem się z Agnieszką dobrze między innymi dlatego, że mogłem z nią być całkowicie sobą. Mogłem robić, co chcę, i mówić, co chcę. Ją zachęcałem do tego samego.

Jeszcze tego samego wieczoru powiedziałem do niej:

- Jak ci mówiłem, nie przepadam za Krakowem i nie mam tam zbyt wielu znajomych. Ale gdybyś chciała, mógłbym załatwić ci pracę tutaj, w Warszawie.

Chciałem i mogłem jej pomóc.

- Gdzie?

- Choćby w mojej firmie - odparłem bezmyślnie.

- I co bym tam robiła?

- Zajmowała się sprzedażą kosmetyków. - To już był szczyt głupoty. Muszę to przyznać.

- Nie potrafię.

- To nic trudnego. Szybko nauczyłabyś się. Ja bym cię nauczył.

- Chyba wolę być niezależna.

- Rozumiem, że nie chcesz pracować w mojej firmie. Cóż, mam wielu ustosunkowanych znajomych. Mogę ci załatwić pracę gdzie indziej. Nawet taką związaną z aktorstwem.

Rzeczywiście miałem wielu znajomych w tej branży i mogłem wreszcie te znajomości jakoś wykorzystać.

- Mogłabyś na przykład grać w jakimś serialu. Co ty na to?

- Nie mam nic przeciwko pracy w serialach, ale wolałabym dostać się tam, kiedy ktoś mi to zaproponuje lub gdy wygram casting. Nie chcę osiągać czegoś dzięki znajomościom.

- Czemu?

- Bo nie - odpowiedziała wyraźnie nadąsana.

- To typowo polskie myślenie. Gdzie indziej znajomości, koneksje to podstawa. Zatrudnia się tych ludzi, których się zna, ceni, którym się ufa. Polacy zaś uważają, że wykorzystywanie znajomości to coś złego.

- A ty nie jesteś Polakiem?

- Jestem, ale to nie znaczy, że się zgadzam na wszystko, co się tutaj dzieje.

- A co sam dla Polski robisz?

Co to, cholerna lekcja patriotyzmu?

- Na przykład płacę bardzo wysokie podatki, daję ludziom pracę... - odpowiedziałem niepewnie.

- Niech ci będzie, że to jest coś. Ale dla mnie niczego więcej nie musisz robić, bo i tak mi dużo dajesz.

Była ambitna i bezkompromisowa. Podobało mi się to, ale nie do końca. Nie chciałem, żeby była taka naiwna.

- Ile dostajesz za udział w takim przedstawieniu jak dzisiaj?

- 200 złotych.

- A ile kosztuje bilet do Krakowa?

- Zwracają mi za bilet.

- Mimo wszystko uważam, że to bez sensu. Gdybyś jeszcze miała swoje mieszkanie w Krakowie... Wynajmować możesz też tutaj.

- W Krakowie wszystko jest tańsze - czułem, że jej opór wzrasta, ale postanowiłem nacierać dalej.

- Ale chyba nie za wiele?

- Kocham Kraków.

Nie docierały do niej żadne argumenty. Ja wolałbym mieć ją bliżej, ale nie miałem odwagi powiedzieć tego wprost.

Weekendy z Agnieszką też miały swój urok.

Przed wszystkim od poniedziałku do piątku starałem się zrobić wszystko, co miałem do zrobienia, żebym w piątek wieczorem był wolny. Kiedyś wydawało mi się, że to niemożliwe, ale teraz okazało się dosyć proste.

Agnieszka przyjeżdżała zawsze w piątek wieczorem, zawsze pociągiem, który był na Centralnym o 20.50. Zawsze też odjeżdżała tym o 10.05. Byliśmy ze sobą przez 37 godzin i 15 minut. Tyle czasu musiało wystarczyć, żeby się nią nasycić.

Te godziny mijały szybko, szybko też mijał tydzień.

W niedzielę, zaraz po tym jak InterCity z Agnieszką odjeżdżał z peronu czwartego, jechałem na mszę do Magdalenki, na obiad z mamą i wujkiem Marcinem.

Po obiedzie umawiałem się z Iwoną. Wypijaliśmy razem kawę w Cavie lub czekoladę u Wedla. Potem mały spacer w parku Ujazdowskim i Łazienkach i powrót do domu.

Iwona była bardzo zapracowana, często służbowo wyjeżdżała za granicę. Nie wiem, dlaczego wciąż się z nią spotykałem. Może dlatego że Agnieszka nigdy o nią nie pytała? A może dlatego że wciąż nie umiałem, nie chciałem odpowiedzieć sobie, co tak naprawdę czuję do Agnieszki? Było mi z nią po prostu dobrze jak nigdy przedtem i nigdy potem. Czuję, że moje życie dopełniło się, jakby ktoś wstawił w mój obrazek ostatniego, brakującego puzzla.

Wiedziałem, że nie będzie to trwało w nieskończoność, ale nie myślałem za bardzo o przyszłości.

Sytuacja była dla mnie na tyle nowa, że chciałem się nią cieszyć tak długo, jak się da.

Na razie wszystko szło dobrze. Nikt nie miał do nikogo większych pretensji.

W połowie listopada szykował mi się wyjazd do Barcelony. Służbowy, ale nie za bardzo naszpikowany spotkaniami. Postanowiłem, że zabiorę ze sobą Agnieszkę.

Zgodziła się z entuzjazmem. Okazało się nawet, że nigdy nie leciała samolotem i poza Czechami nie była jeszcze za granicą.

Wzruszyło mnie to. Postanowiłem, że zapewnię jej i sobie luksusowy pobyt w stolicy Katalonii.

Zarezerwowałem więc bilety w business class oraz apartament w pięciogwiazdkowym hotelu Arts znajdującym się tuż przy plaży w Port Olimpic, oczywiście z widokiem na morze.

Agnieszce wszystko się podobało, zwłaszcza lot. W podróży była dla mnie oparciem, bo ja za każdym razem przeżywam reiseieber.

W Barcelonie sprawy służbowe zabrały mi tylko kilka godzin - jeden business lunch - resztę czasu mieliśmy dla siebie.

Był to najdłuższy pobyt razem. Trwał od czwartku do poniedziałku. Cztery noclegi w hotelu, cztery cudowne dni.

Najpierw śniadanie do łóżka. Jedliśmy je, patrząc przez otwarte okno na statki pływające po Morzu Śródziemnym. Po śniadaniu spacer plażą. Jeden raz - w sobotę - kapaliśmy się w morzu. To Agnieszka mnie namówiła.

Na obiad zamawialiśmy z reguły ryby i owoce morza. Ja jadłem pyszne mule w białym winie, Agnieszka olbrzymie krewetki z grilla.

Po obiedzie zwiedzaliśmy miasto. Najwięcej czasu spędzaliśmy w Ebcample. Oglądaliśmy tam budowle Gaudiego. Agnieszka była nimi zachwycona, ja też, chociaż nie mogłem zrozumieć, dlaczego facet tyle rzeczy zaczął i żadnej nie skończył. No i zginął w tak absurdalny sposób: pod kołami pojazdu.

Siadywaliśmy przed kościołem Sagrada Familia i robiliśmy zdjęcia, trochę szwendaliśmy się po sklepach, ale zakupy bardzo mnie rozczarowały. Postępująca globalizacja sprawia, że wszędzie jest to samo. Udało mi się tylko kupić genialną marynarkę z czarnego zamszu, idealną na wiosnę.

Agnieszka nie miała żadnych specjalnych życzeń. Zgadzała się na wszystko, co zaproponowałem, co mnie bardzo cieszyło. Zastanawiałem się, czy nie poświęca się dla mnie, ale nic na to nie wskazywało. Trochę była wprawdzie smutna - uchwyciłem to na kilku zdjęciach, które oglądałem później - ale generalnie na nic się nie skarżyła.

Cieszyłem się, że sprawiam jej radość. Sam czułem się bardzo szczęśliwy, mogąc się nią opiekować.

Tak, po raz pierwszy w życiu byłem szczęśliwy. Powiedziałem to Agnieszce.

- A ty jak się ze mną czujesz?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym sięgnęła po swoją komórkę.

- Widzisz?

Pokazała mi zdjęcie małego chłopca.

- Kto to jest?

- Synek mojej siostry. A mój chrześniak.

- Moja siostra ma też syna w podobnym wieku;

- Lubisz dzieci?

- Chyba nie.

Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem. Przecież uwielbiałem swoich siostrzeńców. Z drugiej strony do tej pory nie myślałem poważnie o własnych dzieciach, ale w jakiejś nieokreślonej przyszłości na pewno chciałbym je mieć. Wprawdzie miałem już trzydzieści osiem lat, ale dla faceta to przecież niewiele.

Agnieszka pokazała następne zdjęcie. Przedstawiało malutką dziewczynkę.

- A to kto? - zapytałem.

- Córka kuzynki. Fajna, prawda?

Agnieszka wpatrywała się w ekran telefonu z czułością. Ja zaś popatrzyłem na fotografię bez przekonania.

- Normalna. Moim zdaniem wszystkie dzieci są takie same. To tylko rodzice dopatrują się w nich niezwykłości.

Większość moich znajomych rówieśników od dawna miała potomków, a mnie doprowadzały do szału przechwałki na temat ich cudowności. Nic dziwnego - tresowane były od dziecka na geniuszy.

W związkach, w których byłem, nie miałem jeszcze ochoty na dzieci i starannie się zabezpieczałem. Raczej nie groziła mi wpadka. Ojciec niewiele mnie w życiu nauczył, ale jako ginekolog był pod tym względem bardzo dobrze poinformowany.

Jeśli chodzi o Agnieszkę, to... zachowywałem się raczej bez troski.

Zaraz na początku naszego współżycia zapytałem ją wprost:

- Zabezpieczasz się?

- Tak. Nie martw się.

- Nie chcesz mieć dzieci?

- Nie. Sama chyba jeszcze jestem dzieckiem... To mi wystarczyło.

W Barcelonie wprowadziliśmy nowy element do naszego życia seksualnego - masaż.

Właściwie od początku o tym myślałem, ale trochę wstydzilem się zaproponować. Ponieważ jednak kupiłem świetny lawendowy olejek do masażu, poleciłem Agnieszce położyć się na łóżku i poddać moim dłoniom.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami masaż szybko przeobraził się w erotyczną grę zakończoną orgazmami, gdyż Agnieszka nie chciała być dłużna i także kazała mi się położyć. Przyznała, że masowała kogoś po raz pierwszy. Było to rozkoszne doświadczenie.

Wieczorami zawsze wychodziliśmy na drinka do słynnego Boadas i innych lokali na starym mieście. Zaliczaliśmy kluby bez specjalnego planu, dlatego raz trafiliśmy do baru topless, a innym razem do teatrzyku erotycznego.

Agnieszka nie była oburzona, przeciwnie, prosiła, żebyśmy zostali i oglądali widowisko.

Erotyka w naszym związku od początku była mocną stroną. Rozmawialiśmy o wszystkim swobodnie, bez tabu, ale też bez szczególnego analizowania naszych doznań.

Nie musieliśmy bez przerwy zapewniać się, że jest nam ze sobą dobrze, bo każde z nas to czuło. W każdym razie ja na pewno.

A gdzie w tym wszystkim miłość?

To prawda. Słowa „kocham cię” nie padły jeszcze ani z moich ust, ani z ust Agnieszki. Często natomiast powtarzaliśmy słowa: „jest mi z tobą bardzo dobrze”.

Zdarzyło mi się, że mówiłem już „kocham, kocham, kocham”. Niezbyt często szafowałem tymi słowami, ale jednak były mi one znane.

Tym razem nie miałem takiej potrzeby. Jeszcze niczego nie zaklinałem, niczego nie rozpamiętywałem. Cieszyłem się tym, co jest.

Dziś wiem, że to właśnie była miłość...

W dniu powrotu nie mieliśmy zbyt dobrego samopoczucia. Szybko przyzwyczailiśmy się do tego, co dobre, a teraz trzeba było wracać do rzeczywistości.

Samolot miał małe opóźnienie. Agnieszka była zdenerwowana, bo bała się, że nie zdąży na ostatni pociąg do Krakowa. Mnie to było na rękę. Miałem nadzieję, że zatrzymam ją na jeszcze jedną noc u siebie. Ciężko się było rozstać.

Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Agnieszka wskoczyła do pociągu w biegu. Zadzwoiłem do niej z samochodu.

- Może w ten weekend ja przyjadę do ciebie? - zaproponowałem.

- Świetnie. Przyjeźdź.

Umówiliśmy się na piątek. Miałem być w Krakowie po południu, około osiemnastej.

W firmie ubierało się trochę roboty, uwijałem się, żeby wszystko mieć za sobą.

W czwartek wieczorem zadzwoniłem do Agnieszki.

- Mam już bilet - powiedziałem ucieszony, że ją słyszę. - Przyjadę pociągiem.

Pomyślałem, że jakoś to przeżyję. Pociągiem jechało się o połowę krócej niż samochodem. Poza tym Kraków wydawał

mi się mały, sądziłem, że samochód nie będzie mi tam potrzebny.

- Świetnie - ucieszyła się Agnieszka. - Pokażę ci Kraków, jakiego nie znasz. Zobaczysz, ty też pokochasz to miasto.

W piątek rano jednak zadzwoniła i oznajmiła mi.

- Niestety, nie możesz do mnie przyjechać.

- Dlaczego?

- Bo teraz mieszka ze mną moja siostra. Okazało się, że musiała wyprowadzić się z akademika i spadła mi na głowę.

- Mówi się trudno - z trudem ukryłem rozczarowanie.

- Nie martw się, ja przyjadę do ciebie.

- Tak jak zwykle. - Tak.

I przyjechała. Noc była wspaniała, ale trochę gorsza niż zwykle. Może dlatego, że rozstaliśmy się stosunkowo niedawno i nie zdążyliśmy zatęsknić?

Śniadania jadaliliśmy w domu. Staralem się coś przyrządzać. Raz była to jajecznica, innym razem płatki. Agnieszka twierdziła, że umie gotować i sama przygotowuje sobie posiłki, ale ja nie pozwoliłem jej niczego ruszyć. Szkoda mi było czasu na gotowanie. Może kiedyś, jak będziemy się ze sobą nudzili, ale na pewno nie teraz.

Tym razem w domu nie miałem niczego, bo nastawiłem się na wyjazd do Krakowa, zatem pojechaliśmy na śniadanie do Holidaya.

Agnieszka niewiele zjadła. Poprosiła o tost, sok pomarańczowy i kawę. Sam przynosiłem jej wszystko do stolika, bo obowiązywał szwedzki stół. Milczała. Zastanowiło mnie to.

- Jesteś zmęczona? - zapytałem.

- Nie. Zastanawiam się tylko.

- Nad czym? - spytałem, sięgając po tost.

- Dostałam propozycję zdjęć od „CKM - u”.

- Jakaś reklama?

- Nie. Typowa sesja dla tego pisma.
- Czyli? - odłożyłem sztucce, czując, jak zalewa mnie fala gorąca.

- Nago.

Teraz ja zamilkłem. Nie podobało mi się to.

- Nie rób tego - poprosiłem po chwili.

- Zapłacą mi 15 tysięcy. Może nawet 20... Dla mnie to sporo pieniędzy. Mogę za to żyć przez pół roku.

- Kto ci to zaproponował?

- Znajomy mi załatwił.

- Mówiłaś, że nie chcesz się podpierać znajomościami! - prawie krzyknąłem, bo nie mogłem już ukryć zdenerwowania.

- Tak, ale to co innego. Z nim mnie nic nie łączy.

Odnutowałem w pamięci te słowa, które mnie mile polechtały, bo w ten sposób Agnieszka przyznawała, że jednak odgrywam jakąś rolę w jej życiu. Tym mocniej miałem zamiar protestować przeciwko tej sesji.

- Po co ci ta sesja?

- Już mówiłam: dla pieniędzy. Poza tym może po niej posypią się jakieś ciekawe propozycje.

- Jakie?

W odpowiedzi wzruszyła tylko ramionami.

- Na tych zdjęciach będziesz całkiem naga - odsunąłem talerze. Odechciało mi się jeść.

- I co z tego? Już tyle osób widziało mnie nago.

- Teraz zobaczy cię cała Polska - poczułem się cholernie zazdrosny. Cholernie.

- Nie myślę o tym.

- A pomyślałaś o swojej rodzinie? Co oni na to powiedzą?
- próbowałem użyć najmocniejszego argumentu.

- Nie obchodzi mnie to. Oni nie płacą za mnie czynszu. Już kilka razy chciałem jej to zaproponować, ale się bałem. Teraz nie widziałem innego wyjścia.

- Agnieszko, jeśli chodzi o pieniądze... Nie przejmuj się nimi.

- Tobie łatwo mówić.

- Chciałbym ci pomóc - zacząłem delikatnie, żeby jej nie spłoszyć.

- Już mi pomagasz.

- Chciałbym jeszcze bardziej - nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć.

- Czyli jak?

- Mogę ci płacić co miesiąc pensję - wydusiłem z siebie.

- Za co? - Agnieszka nie kryła zaskoczenia.

- Za to, że się spotykamy. Zamilkła. Wiedziałem, że ją uraziłem.

- Nie traktuj mnie jak... - wysyczała. Nie pozwoliłem jej dokończyć.

- Nie traktuję! Po prostu uważam, że mogę cię wspierać finansowo.

- Nie chcę! - teraz to ona prawie krzyczała.

- Zrozum, nie będziesz miała żadnych trosk. Będziesz mogła robić, co chcesz. Na przykład iść na studia.

- Nie dam rady - zobaczyłem łzy w jej oczach.

- Nie musisz się tym stresować. Po prostu tylko spróbujesz.

- Nie, to wszystko między nami popsuje.

- A te zdjęcia nie popsują? - teraz to ja byłem wzburzony.

- Wiedziałaś, czym się zajmuję. Mówiłaś zawsze, że ci to nie przeszkadza.

- Bo nie, ale też nie cieszy.

- Tyle aktorek przecież się rozebrało: Skrzynecka, Gabryjelska, Wójcik, Paschalska, nawet Kora... Za parę złotych każdy mógł sobie popatrzeć, jakie mają cycki.

- I co z tego?

- Nic. Mnie też się nic nie stanie. Spojrzałem Agnieszce prosto w oczy.

- Powiedz, tylko szczerze, czy ty to lubisz? - zapytałem.

- Nie.

- Jeśli się przyznasz, wcale nie będę na ciebie zły. Chcę tylko znać prawdę.

- Nie lubię, ale nie mam innego wyjścia.

- Masz: mnie.

- Chcę ciebie, a nie twoich pieniędzy. Tym wyznaniem zakończyło się nasze śniadanie. Jeśli w naszej znajomości był taki moment, że podejrzewałem Agnieszkę o interesowność, to na pewno nie teraz. Co prawda, do tej pory trochę jej pomagałem: płaciłem rachunki w restauracjach, kupowałem ciuszki i kosmetyki, nawet trochę biżuterii, ale to było dla mnie oczywiste. Bez wahania byłem gotowy zapewnić jej beztruską przyszłość u swojego boku. Nie wiedziałem jeszcze wprawdzie, w jakim charakterze, ale byłem przekonany, że chcę z nią być.

- Wiesz, że mam kilka mieszkań - odezwałem się w samochodzie. - Jedno właśnie się zwalnia. Mogłabyś je zająć.

- Już ci mówiłam. Nie przeniosę się do Warszawy - wyczułem rozdrażnienie w jej głosie.

- Nigdy?

- Raczej nie.

Chciałem wrócić do domu, ale Agnieszka zaprotestowała.

- Wysadź mnie gdzieś w centrum. Muszę iść na rozmowę w sprawie tych zdjęć.

- Więc jednak się zdecydowałaś? - byłem zawiedziony.

- Najpierw porozmawiam.

- Okay. Gdzie cię podrzucić? - udawałem, że nic się nie stało, ale wewnątrz gotowałem się ze złości. .

- Wysadź mnie tutaj. Dalej pojedę sama.

- Jak chcesz...

Wysadziłem ją przy Galerii Centrum.

- O której wrócisz?

- Wieczorem.

Ale nie wróciła. Wysłała mi tylko SMS - a, że wraca do Krakowa. Nie byłem na to przygotowany. Było mi jej brak, tęskniłem. Napisałem jej to w swoim SMS - ie.

„Nie martw się. Odbijemy to sobie w przyszłym tygodniu”, odpowiedziała.

Nie odbiliśmy. Zadzwoiła do mnie w piątek i oznajmiła:

- Nie mogę do ciebie przyjechać w ten weekend. Muszę przygotować się do zdjęć. Trochę poćwiczyć w siłowni, opalić się w solarium, wybrać ciuszki...

- A kiedy będzie ta sesja?

- Za dwa tygodnie.

- To znowu się nie zobaczymy.

- Zobaczymy. Sesja będzie trwała jeden dzień. Potem przyjadę do ciebie.

Trochę mi ulżyło. Zacząłem odliczać dni. Przez ten czas nie wydarzyło się nic specjalnego. Praca, praca, praca.

W ów feralny dla mnie piątek Agnieszka była w Warszawie. Gdzieś całkiem niedaleko stała naga przed obiektywem aparatu fotograficznego, a ja zagryzałem palce z zazdrości.

Przyjechała do mnie taksówką bardzo późno w nocy, skonana. Nie kochaliśmy się, nie miałem sumienia jej o to prosić. Miałem nadzieję, że odbijemy to sobie rano.

Rano przyszedł do niej SMS. Była godzina ósma.

Niech piekło pochłonie wynalazcę telefonu komórkowego!

Agnieszka wyskoczyła z łóżka, żeby odebrać SMS - a. Obserwowałem jej twarz. Była przerażona.

- Coś się stało?

- Tak. Moja mama jest w szpitalu. Tato ją wczoraj uderzył. Spadła ze schodów. Może mieć wstrząśnienie mózgu.

- Kto ci to napisał? - nie wiedziałem, że jej ojciec jest damskim bokserem.

- Siostra.

Natychmiast do niej oddzwoniła. Przyznam, że trochę podsłuchiwałem. Po drugiej stronie na pewno był kobiecy głos.

- Muszę jechać do Krakowa - powiedziała mi po zakończeniu rozmowy. - Z mamą jest źle.

Nie miałem innego wyjścia, jak podwieźć ją na dworzec, żeby zdążyła na pociąg o 7.05.

Kiedy wróciłem do domu i kładłem się z powrotem do łóżka, otrzymałem od niej SMS - a o treści:

„Co za pech. W przyszłym tygodniu nacieszymy się sobą. Postaram się przyjechać wcześniej. Buziaki”.

Nie wiedziałem, co mam jej odpisać, więc nie odpisałem. Po południu zadzwoniłem.

- Gdzie jesteś? - zapytałem.

- W szpitalu.

- Co z mamą?

- Lepiej. Przepraszam, ale nie mogę tutaj rozmawiać. Muszę wyłączyć telefon.

I wyłączyła. Na trzy dni.

Na coś takiego nie byłem w ogóle przygotowany.

Jakkolwiek to zabrzmiało, po prostu odchodziłem od zmysłów.

Było mi coraz gorzej bez Agnieszki.

W niedzielę, żeby zabić jakiś czas, umówiłem się na drinka z Gerardem. Akurat nie miałem nikogo innego pod ręką. Iwona wyjechała ze swoimi rodzicami na zakupy do Berlina. Mama wybrała się z koleżankami do Grand Hotelu w Sopotcie - spotykały się tam co roku jesienią. Wujek Marcin

wyjechał do wujka Leona, Bogdan zaś był z Jackiem na paradzie gejów w Amsterdamie.

Spotkaliśmy się z Gerardem w Cinnamonie. Dałem się mu namówić na tequilę w nadziei, że odrobina alkoholu poprawi mi humor.

- Pamiętasz tę laseczkę z promocji Demi? - zagał rozmowę Gerard.

Serce mi zamarło. Najwyraźniej mówił o Agnieszce!

- Nie... Którą?

Udałem głupiego, bo co innego mogłem zrobić?

- No, tę, która wyskoczyła z tortu.

- A, tak - bąknąłem.

- Dziwne, że jej nie pamiętasz, skoro się do niej dobierałeś.

Jeszcze dziwniejsze było to, że Agnieszka nigdy nie potwierdziła wersji Gerarda, ale ja też jej zbytnio nie naciskałem w tej sprawie.

- Poszczyściło się dziewczynie.

- Tak? - udawałem obojętnego.

- Szybka kariera w Hollywood!

Myślałem, że zemdleję. Gerard wiedział o Agnieszce więcej niż ja.

- Jak ona się nazywa?

- Agnieszka Guzowska. Pewnie będzie musiała przybrać pseudonim artystyczny. Ja jej zaproponowałem Agnes Gus - uśmiechnął się lubieżnie, sącząc drinka.

- Ty? - dobrze, że siedziałem, bo inaczej bym leżał. Spociłem się jak mysz.

- Tak. Pomagam jej w karierze.

- Dlaczego? Coś was łączy?

- Tak... Wpadła mi w oko.

- Jesteście ze sobą? - chciałem, żeby to zabrzmiało naturalnie, niedbale.

- Tak jakby.

Więc Agnieszka cały czas mnie oszukiwała. Grała na dwa fronty.

- Załatwiłem jej sesję w „CKM - ie”, bo mam tam kumpli
- ciągnął Gerard już niepytany.

- A co z tym Hollywood?

- Mam nadzieję, że dziewczyna tam trafi. Na razie jest u Jacka Newmana.

- A kto to taki?

- Specjalista od filmów dla dorosłych.

- Porno? - wydusiłem.

- Nie, nie, tylko taki sofcik dla amerykańskich kablówek.

- Gdzie te zdjęcia? W Stanach?

Pytałem, choć wszystko mi się już zgadzało. Jej mama nie miała żadnego wypadku. Agnieszka pojechała kręcić film!

- Nie, w Pradze. Facet kręci tam, żeby było taniej. No i zatrudnia dziewczyny z Europy Wschodniej. Naturalne, a nie te amerykańskie silikonowe lale.

Nie byłem w stanie dokończyć drinka. Odstawiłem szklanekę i wsiadłem do jednej z taksówek stojących przed lokalem.

Wróciłem do domu i rzuciłem się na łóżko.

Wtedy po raz pierwszy poczułem, że nie chce mi się żyć.

Potem było już tylko gorzej.

ROZDZIAŁ 4

Przez cały czas próbowałem dodzwonić się do Agnieszki, ale zawsze włączała się poczta głosowa. Wysyłałem do niej SMS - y, ale w ogóle nie dochodziły.

I całe szczęście.

Najpierw kończyłem w nich znajomość z Agnieszką, potem jej wszystko wybaczałem, a na koniec błagałem o jakikolwiek znak.

Wszystko na próżno.

Nie byłem w stanie skupić się na niczym innym, tylko na dzwonieniu do niej i pisaniu SMS - ów. Wysyłałem je bez przerwy, bo tylko dzięki komunikatom zwrotnym o ich dostarczeniu lub nie mogłem wiedzieć, czy Agnieszka włączyła telefon.

W tym czasie już na dobre odchodziłem od zmysłów. Z jednej strony poczułem się zdradzony i upokorzony, a z drugiej przypominałem sobie to wszystko, co razem przeżyliśmy...

Nie, ona tego nie mogła udawać!

Jednak to, co mówił Gerard, świadczyło przeciwko Agnieszce.

Podjeżdżałem, że w tajemnicy przede mną wyjechała na plan filmowy do Pragi, a telefon pozostawiła w Polsce. Tak zrobiła, kiedy wyjechaliśmy do Barcelony. Miała telefon na kartę, bez roamingu, więc za granicą był nieprzydatny.

Tak minął jeden dzień, drugi, trzeci, a ja nie wiedziałem, co dalej robić.

W końcu postanowiłem, że... wynajmę detektywa Rutkowskiego. Niech on mi znajdzie Agnieszkę.

Kiedy wydałem polecenie Oli, żeby skontaktowała mnie z Rutkowskim, Agnieszka zadzwoniła jak gdyby nigdy nic.

- Cześć...

- Cześć - nieomal udławiłem się jogurtem z muesli i dużymi kawałkami owoców. Tylko tym się ostatnio żywiłem, tylko to mogłem przełknąć.

- Co się z tobą działo?

- Ach, zepsuł mi się telefon. Musiałam kupić nowy, a to trochę trwało.

To akurat była prawda. Dzwoniła z całkiem innego numeru. Przypomniało mi się, że jej poprzedni telefon rzeczywiście szwankował i czasem nasze rozmowy były przerywane. Miał też starą baterię, która szybko się rozładowywała. W ogóle była to jakaś słabiutka, tania marka.

- Wszystko w porządku? - zachowywałem wyjątkowy spokój. - Co z twoją mamą?

- Wyszła już ze szpitala. Czuje się lepiej, ale nadal jest na zwolnieniu lekarskim.

- A ty... Co robiłaś przez ten czas?

- Byłam w domu. To znaczy u rodziców. Pomagałam im.

- Aha - udałem, że jej wierzę. - Pogodzili się? - Tak.

Zapadła cisza. W końcu zapytałem:

- To kiedy się znowu spotkamy?

- A kiedy chcesz?

- W piątek, tak jak zwykle? - czekałem w napięciu na odpowiedź.

- Dobrze, przyjadę do ciebie.

Już za dwa dni miałem znowu zobaczyć się z Agnieszka!

Od razu nabrałem ochoty do życia.

Okłamała mnie, trudno, myślałem sobie. Na pewno nie chciała się przyznać do filmu, żeby nie zrobić mi przykrości, bo jednak trochę jej na mnie zależy. Szkoda, że tylko trochę. A może bardzo? Wszystko wyjaśnimy sobie już wkrótce - w cztery oczy.

Starałem się myśleć pozytywnie i szukać w tym wszystkim dobrej strony.

Przede wszystkim chciała się ze mną nadal spotykać - to było najważniejsze. Cała reszta się nie liczyła. No, prawie nie...

Zastanawiałem się, czy powiedzieć Agnieszce, że wszystko wiem. Postanowiłem, że tak. Ten związek miał dla mnie sens, pod warunkiem że będzie w nim panowała absolutna szczerść.

Sobota, kiedy jedliśmy obiad w Polskiej Tradycji, to według mnie był ten odpowiedni moment.

- Agnieszko, powiedz mi prawdę - zacząłem po deserach, a przed kawą. - Gdzie byłaś przez ten weekend?

- U rodziców, już ci mówiłam.

- Na pewno?

- Na pewno. Przysięgam.

Nie prosiłem, żeby przysięgała, ale skoro to zrobiła... tym bardziej jej nie wierzyłem. Postanowiłem zaatakować ją z innej strony.

- Jak długo znasz Gerarda Mecha? - zapytałem.

- O jeden dzień dłużej niż ciebie - odpowiedziała bez wahania. - Jego agencja załatwiła mi pracę na twojej promocji.

- Nie mówiłaś mi, że utrzymujesz z nim kontakt.

- A powinnam? Ty też mi nie opowiadasz o sprawach zawodowych. A nas z Gerardem łączą tylko takie relacje. Po prostu od czasu do czasu przypominam mu o sobie i czekam na nowe zlecenia.

- Jak było w Pradze? - zapytałem znienacka, licząc, że uda mi się ją zaskoczyć.

- Co?!

Była autentycznie zdziwiona. A może tak dobrze udawała. W końcu uczyła się aktorstwa.

- Agnieszko, wiem, że byłaś na zdjęciach u Jacka Newmana.

- Nie byłam!

- Gerard twierdzi co innego.
- Kłamie - odpowiedziała obrażona.
- Powiedział mi, że załatwił ci pracę w filmie erotycznym.
- Dał mi tylko telefon do Newmana. Nawet do niego nie zadzwoniłam. Nie miałam kiedy.

- A zadzwonisz?

- Chyba tak. Zapytam, o co chodzi.

Poczułem ukłucie w sercu, bo liczyłem na inną odpowiedź.

- Kiedy ukaże się „CKM” z twoim zdjęciami? - zadałem jej kolejne, sprawiające mi ból, masochistyczne pytanie.

- Chyba w lutym.

- Zapłacili ci? - pytałem, jakby to miało dla mnie jakieś znaczenie. Do lutego oszaleję, myślałem zazdrosny o to, że każdy będzie mógł zobaczyć ją nago. Nawet moja mama... Nie, mama przecież nie przegląda tego typu pism.

- Na razie pierwszą ratę.

Podano kawę. Wtedy zaatakowała mnie Agnieszka.

- Jak się czuje twoja dziewczyna? Ma na imię Iwona, prawda?

- Iwona właściwie nie jest moją dziewczyną. Przyjaźnimy się tylko. Przecież o tym wiesz, ale zakończę tę znajomość, jeśli zechcesz.

- Nie, w porządku, przepraszam - powiedziała już wyraźnie skruszona. - To rzeczywiście nie ma znaczenia. Ale ustalmy, że na tym etapie nie interesujemy się życiem osobistym, nie ingerujemy w nie. Zrozum, pewne decyzje muszę podejmować sama. Zaufaj mi. Ja naprawdę nie mogę inaczej.

- Okay - postanowiłem zmienić temat, aby nie psuć pozostałych chwil. Czułem, że jesteśmy ze sobą tak blisko, jak to tylko możliwe. Kiedy była...

Przy rozstaniu w niedzielę podarowałem jej złoty zegarek Cartier. Bardzo się z niego ucieszyła. Już z pociągu wysłała mi rozkosznego, wprowadzającego w euforię SMS - a: „Kochany, dziękuję, że jesteś. Dziękuję za wszystko”.

Przyznam, że przechowywałem w komórce prawie wszystkie SMS - y od Agnieszki, oprócz tych najbardziej prozaicznych typu: „Już jadę” albo „Pociąg się spóźnia”. Kiedy mi było źle, czytałem je sobie i od razu czułem się lepiej.

Tych zachowanych wiadomości zbierało się już ponad 100. Na szczęście moja wypasiona komórka mogła ich przechowywać w archiwum 1000.

Minał wrzesień, minął październik, minął listopad, zaczął się grudzień.

Kolejny grudniowy weekend miał także należeć do nas. O 20.50 czekałem na dworcu, jak na wiernego kochanka przystało.

Tym razem wybraliśmy się na kolację do hotelu Sobieski. Tamtejszy kucharz od dawna mnie zapraszał, dłużej nie mogłem mu odmawiać, bo obraziłby się na mnie.

Już w samochodzie Agnieszka zachowywała się jakoś dziwnie. Milczała także podczas kolacji, co było raczej do niej niepodobne.

- Co się dzieje? - zapytałem od razu.

- Mam do ciebie prośbę.

Uwielbiałem, gdy mnie o coś prosiła. Jeszcze nie było takiej rzeczy, której nie potrafiłbym dla niej zrobić.

Tylko raz poprosiła mnie o pieniądze - dokładnie o 100 złotych. Brakowało jej na bilet powrotny do Krakowa. Oddała następnym razem.

Jej dojazdy do Warszawy powodowały, że miałem straszne skrupuły. Bilet na ekspres lub InterCity był dosyć

drogi nawet w drugiej klasie, a ona przecież tak mało zarabiała.

Mówiła mi o wszystkim, co robiła zawodowo. Były to raczej drobne rzeczy. Z trudem udawało jej się uzbierać w ciągu miesiąca 1800 - 2200 złotych. Za wynajmem mieszkania płaciła 900. Do tego opłaty... Na tak zwane życie zostawało jej bardzo mało, prawie nic, ale zawsze kategorycznie odmawiała przyjmowania ode mnie pieniędzy.

- Większość Polaków tak żyje - mawiała. - To ty jesteś wybrykiem natury.

- To co mam zrobić? Rozdać wszystko, co mam, bezdomnym na Centralnym?

- A czy ja mówię coś takiego?

Tak mniej więcej wyglądały nasze przekomarzenia.

Agnieszka pozwalała mi jedynie na doładowywanie telefonu. Przynajmniej raz w miesiącu dostawała ode mnie 150 złotych na rozmowy, dzięki czemu zyskiwała 30 złotych w ramach promocji za doładowanie w bankomacie.

- To na telefony i SMS - y do mnie - tłumaczyłem jej, kiedy chciała zaprotestować.

Na szczęście bez sprzeciwów przyjmowała wszystkie prezenty ode mnie, czym nie psuła mi radości z ich kupowania i ofiarowywania.

Podarowałem jej nie tylko zegarek, ale sprawiłem też porządną kosmetyczkę. Poprosiłem Ołę, żeby wypełniła ją, tak by niczego w niej nie brakowało. Kosmetyki kupiłem, nie wziąłem ich ze swojego magazynu - nie chciałem popełnić już gafy, jaka mi się przydarzyła na początku naszej znajomości, gdy podarowałem jej tester. Potem miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. Obiecałem sobie, że już nigdy nikogo tak nie potraktuję!

A Agnieszka cieszyła się jak dziecko, kiedy dostała kosmetyczkę wypełnioną najlepszymi produktami.

Zauważałem z satysfakcją, że stopniowo wyglądała coraz lepiej. Miała lepsze ubrania, używała dużo lepszych kosmetyków niż kiedyś. No i przynajmniej przez dwa dni w tygodniu, gdy była ze mną, lepiej się odżywiała. Przedtem, jak mi się przyznała, zdarzało jej się jadać frytki w McDonalddie i KFC! Oduczyłem ją tego raz na zawsze. Błagałem, żeby unikała fast foodów i podejrzanych barów, namawiałem, żeby piła dużo soków naturalnych, jadała więcej warzyw i produktów najwyższej jakości.

Dzięki temu naprawdę promieniała. Na ulicy, w sklepach, w restauracjach ludzie zwracali na nią uwagę. Była po prostu młoda i naturalnie piękna.

Zadowolony wpajałem jej do głowy wiele innych rzeczy. Na przykład dobieranie kolorów, wybór zapachów i makijażu, a nawet zasady zachowania przy stole.

Agnieszka była zahukaną młodą dziewczyną, wywodzącą się - jak się domyślałem - z bardzo prostego domu, stąd na niektóre sprawy nikt dotąd nie zwrócił jej uwagi. Nic dziwnego, że na początku naszej znajomości zdarzało się, że używała rano perfum przeznaczonych na wieczór. Wkładała też bieliznę innego koloru niż reszta ubrania, co mnie lekko irytowało.

- Przecież tego nie widać - śmiała się, gdy zwracałem jej na to uwagę.

- I co z tego? Musisz się nauczyć, że nie należy robić niczego na pokaz. Ważne, żebyś ty czuła się dobrze.

- Ale ja czuję się dobrze w brązowych majtkach.

- Kiedy włożysz błękitne, pasujące do granatowej spódnicy, będziesz czuła się lepiej. Tylko spróbuj.

Dostosowywała się do moich rad. Z czasem nie musiałem jej niczego mówić. Sama odgadywała moje pragnienia.

Przyznam, że trochę się obawiałem, czy nie zanadto wchodzę w rolę profesora Higginsa, a Agnieszka nie okaże się

moją Elizą Doolittle, ale moje wszystkie poprzednie związki były przekombinowane - teraz postawiłem na szczerłość.

Niech będzie, co ma być, mówiłem sam do siebie, kiedy ogarniały mnie wątpliwości.

Lubiłem też mówić do siebie: co ma wisieć, nie utonie.

To bardzo dziwne, ale przy Agnieszce czułem się jak... mężczyzna. To ona obudziła we mnie faceta. Do tej pory trafiałem na kobiety, które szybko chciały nade mną dominować. Tłamsiły mnie, tak jak tłamsiła mnie Iwona. To dlatego zaczynałem wcześniej czy później wycofywać się z tych układów, najpierw psychicznie, a potem także fizycznie. Koniec zawsze był taki sam - to one mnie zostawiały, a ja... oddychałem z ulgą i byłem sam do czasu, aż zaczęło mi się wydawać, że marnuję życie, że przecieka mi ono przez palce.

Co z tego, że miałem fajną pracę i niezłe zarobki, skoro nie mogłem się tym z nikim dzielić?

Z Agnieszka było inaczej. Była młoda. Doceniała to, że jestem od niej starszy i bardziej doświadczony. Ulegała mi, a ja potrafiłem to docenić. Przynajmniej tak mi się wydawało.

- Kiedy w twoim życiu było najlepiej? - zapytałem Agnieszkę w Sobieskim, gdy delektowaliśmy się pysznymi ostrygami, pijąc bez umiaru szampana Moet.

- Teraz jest - muszę przyznać, takie odpowiedzi wprowadzały mnie w stan szczęśliwości.

- Posłuchaj, mam do ciebie prośbę... - powtórzyła jakoś dziwnie. - Chciałabym pójść dzisiaj na urodziny Gerarda.

- Co? - z wrażenia zapomniałem doprawić ostrygę sokiem z cytryny, dlatego nie smakowała mi tak jak poprzednie. Na pewno nie tylko dlatego...

- To dla mnie bardzo ważne - tłumaczyła.

Okazało się, że dokładnie tego dnia, 2 grudnia, Gerard Mech obchodził swoje trzydzieste urodziny. Był więc o ponad 8 lat ode mnie młodszy - zarejestrowałem to w myślach nie

bez zazdrości. Między nim a Agnieszką było tylko 5 lat różnicy, a nawet jeszcze mniej, bo Agnieszka urodziła się 13 lutego 1980 roku - znowu pojawia się ta szczęśliwa dla mnie trzynastka! - czyli na dzień przed walentynkami.

Nigdy nie zapytałem jej, czy woli trochę starszych mężczyzn, bo wydawało mi się to niedelikatne.

Urodziny Gerarda odbywały się w Fabryce Trzciny. Zaproszonych było ponad dwieście osób. Gerard naprawdę zaszalał. Z okazji jego trzydziestki miała wystąpić z krótkim recitalem, złożonym ze standardów jazzowych, sama Diana Krall!

Oczywiście ja i Iwona również byliśmy zaproszeni. Iwona wybierała się na tę imprezę z wielką ochotą. Ja nie miałem wątpliwości, że wolę spędzić piątek w towarzystwie Agnieszki, byłem pewny, że Agnieszka też.

Powiedziałem Iwonie, że wujek Leon jest chory i na weekend lecę do Mediolanu. Uwierzyła mi jak zwykle, ale sama nie miała zamiaru rezygnować z zabawy.

- To leć - powiedziała. - Ja wpadnę na chwilę do Fabryki. Zanosilo się na to, że będzie tam także Agnieszka. Nie podobało mi się to ani trochę. Agnieszka musiała to zauważyć.

- Możemy tam pójść razem - zaproponowała, chcąc wyraźnie załagodzić kryzys, jaki wywołała jej prośba.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Przecież Gerard to twój kolega.

- Bo będzie tam Iwona.

- Rozumiem, że nie chcesz się tam pokazać ze mną? Ale wcale nie musimy wejść tam razem.

- Nie o to chodzi. Powiedziałem Iwonie i Gerardowi, że nie ma mnie w Warszawie. Właściwie już teraz jestem dla niej w Mediolanie.

- Obiecałeś mi kiedyś, że nie będziesz jej już okłamywać - spojrzała mi głęboko w oczy.

- Staram się... Okłamuję ją coraz mniej - bąknąłem, wyraźnie zbity z pantafelku. - Wiem, nie powinienem tego robić, przepraszam.

- W porządku. To przecież twoja sprawa, ale naprawdę wolałabym, żebyś postępował z nią uczciwie. Chociaż właściwie nie mogę tego od ciebie wymagać - zamyśliła się.

A ja dużo bym dał za to, żeby wiedzieć, co jej chodziło po głowie. Bałem się tego milczenia. Obiecałem sobie, że porozmawiam szczerze z Iwoną, to było moje noworoczne postanowienie. Już dawno czułem, że powinienem to zrobić, ale - czy z przyzwyczajenia, czy z lenistwa - odkładałem to na później. Inna sprawa, że gdyby Agnieszka mnie o to poprosiła... ale ona złościła się tylko, że Iwonę okłamuję. Teraz siedziała wyraźnie nieobecna, głęboko zamyślona. Postanowiłem przerwać to milczenie.

- Musisz tam iść? - chwyciłem Agnieszkę za rękę i patrzyłem na nią prosząco. - Myślałem, że spędzimy ten weekend razem.

- W takim razie zajrzę tam tylko na chwilę - uśmiechnęła się.

- Skoro masz na to ochotę...

- Nie mam, ale skoro Gerard mnie zaprosił, nie chcę mu sprawić zawodu. Dzwonił dzisiaj do mnie, kiedy jechałam pociągiem, zatem wie, że jestem w Warszawie. Będzie niezadowolony, gdy nie przyjdę.

- Przejmujesz się tym? - zdziwiłem się.

- Adasiu, on mi dużo pomógł...

Serce mi miękło. Agnieszka była pierwszą osobą w moim życiu, która zwracała się do mnie „Adasiu”. Robiła to i w rozmowach, i w SMS - ach. Bardzo mi się to podobało.

- ... dzięki niemu przecież się poznaliśmy.

To była niestety prawda. Wolałbym poznać Agnieszkę w inny sposób. W jaki? Na pewno bardziej romantyczny. Nie

przypuszczałem, że ten cholerny Gerard będzie zawsze stał między nami.

- Dobrze, jedź, jeśli chcesz - odrzekłem wspaniałomyślnie, ale w głębi duszy byłem rozczarowany.

- Obiecuję, że nie będę tam długo. Złożę mu tylko życzenia i wręcę prezent.

Prezent? Ciekawe, co to mogło być? Ja nie dostałem od Agnieszki żadnego prezentu, bo jak dotąd nie było ku temu okazji. Urodziny miałem w sierpniu. Imieniny dopiero się zbliżały.

- Nie podrzucę cię ani nie odbiorę, chyba rozumiesz...

- Poradzę sobie sama, nie martw się - była wyraźnie ożywiona.

- O której będziesz z powrotem?

- Najpóźniej o trzeciej.

I to miała być chwila? Ładne rzeczy! Głośno jednak nic nie powiedziałem.

- Dobrze. Będę na ciebie czekał. Nie zamknę drzwi. Znasz kod do bramy i klatki schodowej. Proszę obudzić mnie pocałunkiem.

- Rozkaz, mój panie.

Mimo żartobliwego tonu końca tej rozmowy pozostałą część wieczoru spędziliśmy niemal w milczeniu. Agnieszka sama zamówiła sobie taksówkę i pojechała na Pragę.

A ja wróciłem do domu.

Było dopiero wpół do dwunastej. Włączyłem telewizor i zastanawiałem się, co robić dalej. To, że nie zasnę, było bardziej niż pewne.

Patrzyłem w telewizor, a przed oczyma miałem całkiem inne obrazy.

Najczęściej Agnieszkę tańczącą w objęciach Gerarda. Zazdrościłem im też recitalu Diany Krall. Kiedyś przypadkiem trafiłem na jej koncert w słynnym wiedeńskim

hotelu Sacher, w którym mieliśmy zorganizowane sympozjum kosmetyczne, i byłem nią zachwycony. W domu miałem kilka płyt Diany, włączyłem więc jedną z nich, żeby ukoić nerwy i zabić czas. Przy Smoke Gets in Your Eyes nie wytrzymałem jednak i wyłączyłem CD. W ubraniu położyłem się na chwilę na łóżku i... zasnąłem.

Kiedy otworzyłem oczy, była już siódma rano, a Agnieszki nie było. Sięgnąłem po komórkę, która leżała na nocnym stoliku, żadnej wiadomości. A przecież kiedy się żegnaliśmy, obiecała napisać SMS - a, jak się bawi.

Nie wiedziałem, co robić. Czy dalej czekać, czy może zadzwonić? Wiedziałem, że i tak nie zmruję oka.

Zadzwoniłem. Po kilku sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka.

„Wszystko w porządku?” - napisałem w SMS - ie. Wiadomość dostarczono, jak doniósł mi komunikat zwrotny, wiedziałem więc, że telefon miała włączony. Może na imprezie było tak głośno, że nie słyszała dzwonka telefonu?

Czekałem na odpowiedź, ale się nie doczekałem.

Tak minęła ósma, dziewiąta, dziesiąta...

Dzwoniłem do niej mniej więcej co pół godziny. Najpierw poczta głosowa włączała się po pięciu sygnałach, potem włączała się od razu. Wyglądało na to, że Agnieszka miała dosyć mojego wydzwaniania i wyłączyła telefon.

Cholera, zakląłem, jednak postanowiłem uzbroić się w cierpliwość i poczekać na jej telefon. Nie odrywałem wzroku od komórki i telefonu stacjonarnego. W końcu zadzwoniła komórka.

- Impreza była fantastyczna - usłyszałem głos Iwony, która zadzwoniła na komórkę, bo dla niej byłem przecież w Mediolanie. - Bawiliśmy się świetnie - dodała chyba po to, żeby mnie dobić.

- Szkoda, że nie mogłem z wami być - wydusiłem z siebie po chwili. - Jak czuł się nasz jubilat?

- Gerard nie zabawił długo na swoich urodzinach...

- Jak to? - zdziwiłem się, zamieniając się natychmiast cały w słuch.

- Musiał odwieźć dziewczynę - kiedy to usłyszałem, serce chciało wyskoczyć mi z klatki piersiowej.

- Kogo?

- Jakaś Agatę czy Agnieszkę. Nie pamiętam.

- Odwieźć? Dokąd?

- Chyba do Krakowa.

- Do Krakowa? A co jej się stało? - nie potrafiłem ukryć zdenerwowania.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Duchem Świętym nie jestem! Co ty tak mnie wypytujesz o Gerarda? Lepiej powiedz, jaka pogoda w Mediolanie?

- W porządku. Ciepłej niż w Polsce.

- Tak? A w telewizji właśnie pokazują, że są u was zasypane śnieżne.

- A tak, jest ich trochę, ale mnie to nie przeszkadza. Chyba wiesz, że uwielbiam śnieg - plotłem trzy po trzy, bo serce mi pękało, gdy wyobraziłem sobie Agnieszkę z Gerardem w samochodzie. A może nawet w łóżku...

- Bo ty masz wszystko inaczej niż wszyscy - zauważyła Iwona. - Wiesz?

- Wiem - potwierdziłem, odnosząc bardziej do sytuacji, w jakiej się znalazłem. Agnieszka po prostu zwała przede mną.

- I chyba dlatego tak cię lubię - szczebiotała Iwona. - Jak się czuje wujek Leon?

- Słabo - odparłem, ale raczej odnosiło się to do mojego samopoczucia.

- Ojej, jaka szkoda. Pozdrów go ode mnie.

- Dziękuję.

- Kiedy wracasz, misiu?

- W niedzielę po południu. Może umówimy się wieczorem na kolację?

Postanowiłem ocieplić stosunki z Iwoną, bo nagle bardzo jej potrzebowałem. Ktoś powinien mnie pocieszyć.

- Nie mogę. Umówiłam się już z Bernardem.

- Z Bernardem? Jak to? Nadal się spotykacie? - Czyżby Iwona też chciała puścić mnie kantem? Tego było już za wiele.

- On też był w Fabryce Trzciny. Razem się bawiliśmy. Umówiłam się z nim na niedzielę na kino i kolację, bo nie wiedziałam, czy ty już wrócisz. Mogę to odwołać, jeśli ci bardzo zależy...

- Nie, idź. Nie ma sprawy.

Wyglądało na to, że nie miałem nikogo: ani Agnieszki, ani Iwony.

- Bernarda zostawiła dziewczyna - ciągnęła dalej Iwona. - Muszę go pocieszyć.

A kto pocieszy mnie? No kto??? Przez całą sobotę nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Jak na złość nie miałem nic do roboty. W firmie był absolutny porządek, a to dlatego, że już za tydzień miałem lecieć do Tokio, do Nakano, i w dodatku lecieć sam.

Moja przyszłość zapowiadała się jako kompletnie nieokreślona. Podczas tego weekendu, po moim powrocie z Tokio, mieliśmy postanowić z Agnieszką, co będzie dalej. Czyli co robimy ze świętami, sylwestrem i Nowym Rokiem.

Ale Agnieszka mnie rzuciła. Byłem o tym przekonany, chociaż wydawało mi się, że przynajmniej powinna powiedzieć mi to wprost. Widocznie nie starczyło jej odwagi.

Nie odezwała się przez całą sobotę. Nie odezwała się w niedzielę rano.

Byłem na tyle żaloszny, że sam do niej wydzwaniałem, wysyłałem SMS - y, ale zawsze włączała się u niej automatyczna sekretarka lub przychodził komunikat, że wiadomości nie dostarczono.

Byłem pewny, że Agnieszka spędza upojny weekend w Krakowie z Gerardem. Nagle przyszła mi do głowy myśl, że skoro nie mogę się dodzwonić do niej, to mogę spróbować do niego pod pretekstem spóźnionych życzeń urodzinowych. Niestety, jego komórka też nie odpowiadała. Wszystko zatem wydawało się jasne.

Agnieszka pojechała z Gerardem do Krakowa jego samochodem. To jego zaprosiła do swojego mieszkania, a mnie nie. Wiele razy chciałem przecież przyjechać do niej, ale za każdym razem Agnieszka wymawiała się siostrą, która rzekomo zagnieździła się u niej.

Teraz siostra jakoś jej nie przeszkadzała. Widocznie Gerard był dla niej ważniejszy niż ja.

Trudno, pomyślałem. Było miło, ale nadeszła pora, żeby z tym skończyć.

Chwilę potem wpadłem w czarną rozpacz. Chciałem wsiąść w jaguara i rozbić się o jakieś drzewo.

Wziąłem kluczyki i zszedłem do garażu. Wyjechałem na Wał Miedzeszyński i gnałem przed siebie, ile wlezie, niczym pirat drogowy, ale nigdzie nie było odpowiedniego drzewa. Szybka jazda na tyle jednak mnie uspokoiła, że zmieniłem kierunek i pojechałem do Magdalenki.

Kiedy przyjechałem do naszego domu, oprócz mamy zastałem w nim także wujka Marcina. Razem poszliśmy na mszę, potem na spacer, zjedliśmy pyszny domowy obiad. Zrobiło się ciepło i przyjemnie jak za dawnych dobrych czasów.

Mama podała placek drożdżowy - tylko ona potrafi zrobić taki dobry - włączyliśmy telewizor, akurat leciało Na dobre i na złe. Poczulem, że jestem wyleczony.

Wujek Marcin wziął gitarę i zaczął śpiewać ballady. Mama przyłączyła się do niego. Oboje mieli bardzo dobre głosy. Ja po ojcu byłem kompletnie niemuzykalny.

Zbiegły się wszystkie koty z podniesionymi ogonami. Bezczelnie wskakiwały mi na kolana, a kiedy je głaskałem, mruzczały wniebowzięte. To wtedy zrozumiałem, dlaczego Iwona ma w domu kotkę, a moja mama dokarmia tę całą gromadkę.

Wieczorem poszliśmy z wujem na krótki spacer. To nam bardzo dobrze zrobiło przed snem.

Po kolacji poszedłem do „swojego” pokoju, bo postanowiłem, że zostanę na noc w Magdalence i stamtąd rano pojedę do biura.

Leżąc już w łóżku, wziąłem do ręki komórkę i napisałem ostatniego, według mnie, SMS - a do Agnieszki.

„Agnieszko! Dziękuję ci za wszystkie wspólnie spędzone chwile. Nigdy cię nie zapomnę i zawsze będę cię kochał”.

To wszystko była prawda. Postanowiłem twardo, że nie będę niczego żałował i postaram się dostrzec w tej historii same dobre strony. Już wiedziałem, że potrafię być szczęśliwy, że mogę znaleźć na świecie swoją drugą połówkę jabłka. Byłem przekonany, że teraz będę wiedział, czego i kogo szukać w życiu. I nagle coś mnie tknęło. Prezent! Agnieszka powiedziała, że chce mu dać jakiś prezent. A wcześniej mówiła, że Gerard zadzwonił do niej, kiedy była w pociągu. Skąd więc miała prezent? Znów ogarnęła mnie czarna rozpacz. Uzmysłowiłem sobie, że potrafię być szczęśliwy tylko z Agnieszką.

ROZDZIAŁ S

Odezwała się do mnie w poniedziałek rano i od razu zburzyła cały mój spokój. Jak gdyby nigdy nic wysłała mi SMS - a ze starego telefonu: „Nie mogę do ciebie zadzwonić, mam zawałone gardło. Zadzwonź za kilka dni. Aga". Nic z tego nie rozumiałem, węszyłem kolejne kłamstwo, podejrzewałem następny jej podstęp. Do głowy cisnęły mi się tysiące pytań.

Czemu napisała ze starego numeru?

Dlaczego nie może zadzwonić?

Z jakiego powodu mam się odezwać dopiero za kilka dni?

Wszystko wskazywało na to, że była za granicą, pewnie w Pradze. Najprawdopodobniej wyjechała tam z Gerardem, kręcić film u Newmana.

Postanowiłem zignorować jej prośbę i zadzwonić. Nic nie mogło mnie od tego powstrzymać, nawet nawał obowiązków w pracy.

- Halo? - odezwała się cichym, chrapliwym głosem.

- To ja... - zacząłem nijako, bo byłem zaskoczony. Jej słaby głos wybił mnie z równowagi.

- Ach, cześć... - wydawała się zdziwiona.

- Gdzie teraz jesteś?

- W Krakowie - mówiła dziwnie cicho.

- Co się z tobą dzieje? - spytałem. - Możesz rozmawiać?

- Przepraszam, ale nie bardzo - wydusiła z siebie.

- Dlaczego?! - mój ton był dosyć opryskliwy.

- Jestem chora. Mam zapalenie gardła.

Zrobiło mi się jej żal, ale tylko na chwilę. Przecież kiedy widzieliśmy się ostatnio, była zdrowa. Z tyłu głowy zapaliło mi się czerwone światełko.

- Dlaczego nie wróciłaś do mnie w piątek? - chyba stawałem się natarczywy.

- Nie mogłam.

- Jak to nie mogłaś? - pytałem coraz bardziej nachalnie.

- Na tej imprezie całkiem urwał mi się film.
- Upiłaś się? - stawałem się arogancki i nieprzyjemny.
- Nie wiem... Chyba tak...
- Nie pamiętasz?
- Wypiłam na pewno jednego drinka, a potem... Wydaje mi się, że coś w nim musiało być.

- Ale co?! - już prawie krzyczałem.
- Chyba jakiś narkotyk. Możliwe, że ktoś wrzucił jej coś do drinka. Takie rzeczy zdarzały się ostatnio dosyć często. A może tylko tak się tłumaczy? Ktoś, na pewno Gerard, mógł ją poczęstować narkotykiem, a ona wzięła go z premedytacją, żeby się lepiej bawić.

Przy mnie Agnieszka na pewno niczego nie brała, bo ja nie tolerowałem narkotyków. Nie paliła też papierosów, nie lubiła specjalnie pić alkoholu. Pijała słabe drinki, przeważnie wódkę z colą. „Jak możesz pić coś tak koszmarnego?“, pytałem za każdym razem, gdy to zamawiała. W końcu namówiłem ją, żeby przestawiła się na Mojito na bazie ginu. Nie pamiętam, żeby zamówiła kiedykolwiek więcej niż jeden.

- W pewnym momencie poczułam się koszmarnie - ciągnęła dalej ściszym, chrapliwym głosem. - Prawie straciłam przytomność.

- Ale chyba potem ją odzyskałaś? Dlaczego nie przyjechałaś do mnie?

- Bo byłam już w Krakowie.

- A to jakim cudem? - nie da się ukryć, że wciąż byłem wobec niej obcesowy.

- Gerard mnie odwiózł.

- Ach, Gerard... - wszystko wskazywało na to, że to, co powiedziała Iwona, było prawdą.

- Zapakował mnie do samochodu i odwiózł pod sam dom.

- To miłe z jego strony - nie kryłem ironii.

- Tak, zaopiekował się mną, gdy zobaczył, w jakim jestem stanie - to dziwne, ale Agnieszka chyba nie wyczuła mojego sarkazmu.

- Szkoda, że po prostu nie wzięłaś taksówki i nie przyjechałaś do mnie. Ja też bym się tobą zaopiekował.

- Nie byłam w stanie. Gerard się wszystkim zajął. Nie chciałam mówić, że przyjechałam do ciebie. Tym bardziej że wszystkim powiedziałeś, że jesteś w Mediolanie.

No tak, racja! Sam byłem po części winien, co jednak nie zmniejszało mojej zazdrości.

- Gerard myślał, że przyjechałam na imprezę z Krakowa, dlatego tam mnie odwiózł.

Wszystko wyglądało i logicznie, i absurdalnie. Trudno mi było powiedzieć to Agnieszce przez telefon, ale nie miałem zamiaru udawać, że jej wierzę.

- Gerard spał u ciebie? - pozbyłem się już zupełnie taktu.

- Oczywiście, że nie.

- Na pewno? - w ogóle jej nie wierzyłem.

- Nie wszedł nawet na górę. Powiedziałam mu, że jest u mnie siostra, bo akurat była.

- Byłaś już wtedy przytomna? - przerwałem jej.

- Tak. Po drodze zrobiło mi się lepiej.

Na moment zapadła cisza. Miałem wrażenie, że Agnieszka się rozłączyła.

- Halo? Co się dzieje?! - wołałem do komórki.

- Jesteś tam? - odezwała się po chwili Agnieszka. - To ten telefon przerywa.

- No właśnie! Dlaczego się do mnie nie odezwałaś? Nie wysłałaś choćby SMS - a?

- Bo zgubiłam gdzieś telefon.

Zaczynały mnie bawić te wszystkie kataklizmy, które wydarzyły się piątkowej nocy podczas urodzin Gerarda.

- ... nie mogłam do ciebie zadzwonić, bo miałam twój numer w komórce, która została w Warszawie. Dopiero dzisiaj sobie przypomniałam, że mam twoje namiary w tym starym telefonie.

- Czemu kazałaś mi zadzwonić dopiero za kilka dni?

- Bo nie mogę mówić. Chyba słyszysz, jak charczę? Mam zapalenie gardła. Chyba złapałam jakiegoś wirusa.

- Byłaś u lekarza? - zapytałem z udawaną troską. W gruncie rzeczy wcale nie wierzyłem w to, co mi opowiadała.

- Tak.

- Co ci przepisał?

- Antybiotyk.

- Jaki? - to już nie była rozmowa, tylko przesłuchanie.

- Dalacin C. Mam go brać przez pięć dni. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Chciałem złapać ją na kłamstwie, ale ona miała odpowiedź na każde pytanie, tylko jej głos stawał się coraz cichszy.

- Przepraszam, ale nie mogę już mówić. Zadzwonię za kilka dni. Przepraszam... - wyszeptała i rozłączyła się.

A ja zostałem ze swoimi wątpliwościami. Wierzyć jej czy nie? Czy to możliwe, żeby człowieka dopadło tyle nieszczęść?

Wtedy przypomniała mi się promocja Demi. Mnie wtedy też powaliła jakaś niewidzialna siła. Zacząłem współczuć Agnieszce. A co, jeśli to wszystko była prawda? Zachowałem się jak okrutnik. Moje biedactwo...

Pomyślałem, że na imprezach takich jak urodziny Gerarda częstowano narkotykami jak gumą do żucia. Agnieszka mogła odmówić, a ktoś złośliwie wrzucił jej do drinka tabletkę amfy lub ecstasy... Potem jej osłabiony organizm dopadła jakaś infekcja.

Nie przepadałem za Gerardem, ale musiałem przyznać, że zachował się szarmancko, tego niestety nie można mu

odmówić. Mimo że miał gości, nie zastanawiał się, tylko pognął z chorą Agnieszką do Krakowa.

Ciekawe, czy ja na jego miejscu zachowałbym się podobnie? Gdyby chodziło o Agnieszkę, na pewno tak. A co by było, gdyby chodziło o jakąś zwykłą dziewczynę? Przecież jego i Agnieszkę nic nie łączyło.

Tylko czy aby na pewno?

Agnieszki nie chciałem już męczyć, za to mogłem do niego zadzwonić.

- Hej, Adam, jak to miło, że dzwonicz! - odezwał się wesołym głosem.

- Chciałem ci złożyć spóźnione życzenia urodzinowe. Nie mogłem być na imprezie, bo akurat byłem za granicą.

- Tak, wiem, chory wujek.

- No właśnie. Iwona mówiła, że impreza była super - wyczekująco zawiesiłem głos.

- Tak, ale nie dla mnie.

- Co się stało? - udawałem zdziwienie.

- Ach, jednej panience zrobiło się niedobrze i musiałem odwieźć ją do domu.

- Chyba nie trwało to całą noc? - zachichotałem dwuznacznie.

- Stary, musiałem jechać aż do Krakowa - Gerardowi nie było do śmiechu.

- Co za poświęcenie z twojej strony. Straciłeś urodziny.

- Ale zyskałem coś innego - natychmiast wyczułem, że się ożywił.

- Co?

- Superdymanko.

- Moje gratulacje - wycodziłem przez zęby bliski zawału.

A jednak miałem rację. Agnieszka mnie okłamała.

- Dzięki.

Miałem ochotę rozbić telefon o podłogę. Stać mnie było tylko na to, żeby zmienić temat.

- A co z występem Diany Krall? Nawet nie mogłeś posłuchać, jak śpiewa ci Happy Birthday.

- Wszyscy dali się nabrać! To nie była prawdziwa Diana Krall tylko drag queen Daruma, która ją zręcznie naśladowała.

- Aha... - rzekłem smętnie, zastanawiając się, co dalej pocznę ze swoim marnym życiem.

- Zresztą, niczego nie żałuję. Jednak co Kraków, to Kraków. Świętuję tu swoją trzydziestkę już trzeci dzień.

- To ty jesteś teraz w Krakowie? - wypaliłem kompletnie zdruzgotany.

- Tak, właśnie siedzę na Kazimierzu i jem późne śniadanko - w tle faktycznie słychać było „knajpiane” odgłosy.

- Nie zatrzymałeś się w jakimś hotelu? - starałem się, żeby zabrzmiało to od niechcienia.

- Coś ty, z byka spadł? Nocuję u jednej panny.

- Czy to jest... - Agnieszka, chciałem zapytać, ale Gerard nie dał mi dokończyć.

- Sorry, Adam, muszę kończyć, bo mi komórka pada. Odezwę się. Nara!

I rozłączył się.

I kto tu mówił prawdę? Agnieszka czy Gerard? Przez następne kilka dni pomimo zakazu dzwoniłem do Agnieszki, sprawdzając, jak się czuje. Chciałem nawet do niej przyjechać, ale nie pozwoliła mi się sobą zaopiekować. Dało mi to wiele do myślenia. Bez specjalnego powodu dzwoniłem do agencji Melon, gdzie za każdym razem informowano mnie, że szef przebywa na urlopie. Wcale mnie to nie uspokajało.

No tak, Gerard bzykał sobie w Krakowie. Zastanawiałem się tylko kogo. Niczego tak nie zazdrości jeden facet drugiemu facetowi jak udanego życia seksualnego!

Czas mijał, ale ciągle nie wiedziałem, co wydarzyło się w piątkową noc w Fabryce Trzciny, a później może trwało w Krakowie.

Z tymi wszystkimi wątpliwościami wyjeżdżałem w interesach do Japonii na spotkanie z przedstawicielami Nakano.

Nie dosyć, że lot do Tokio był koszmarnie długi - piętnaście godzin - to jeszcze musiałem wybrać się w podróż bez potrzebnego zastrzyku energii, który przez ostatnie tygodnie dostarczała mi Agnieszka. Owszem, pożegnała się ze mną sympatycznie przez telefon, ale nic ponadto.

Wylatywałem 9 grudnia, wracałem 19. Miałem spędzić w Japonii dziewięć nocy, przebywając głównie na konsultacjach w laboratoriach Nakano, które mieściły się 80 kilometrów od Tokio.

Nie miałem ochoty lecieć, chciałem odwołać wyjazd, ale wszystko było zarezerwowane z dużym wyprzedzeniem. Japończycy czekali na mnie, gdybym nawalił, mógłbym stracić tę prestiżową markę. Jej sprzedaż stanowiła około 25 procent dochodów mojej firmy, więc w żaden sposób nie mogłem ich lekceważyć.

Płaciłem za ten wyjazd z własnej kieszeni, chciałem zaoszczędzić i kupiłem bilet w economy class. Za to nocować miałem w piekielnie drogim tokijskim Hyacie, gdzie jednak miałem kartę stałego klienta, a co za tym idzie dużą zniżkę.

Nie przepadam za Dalekim Wschodem. W Japonii byłem kilka razy. Zwiedziłem też południe Chin z Hongkongiem, Tajlandię, Singapur i Bali. Ludzie, których wszędzie było pełno, wydawali się tacy sami, skrętno - uprzejmo - nudnawi. Wszędzie drapacze chmur upstrzone reklamami, dyszącymi ciężko klimatyzatorami i suszącym się praniem. Co krok sklepy z podróbkami i garkuchnie z okropnym azjatyckim żarciem.

Leciałem airbusem. Moje miejsce wypadło w środku kadłuba. Przyzwyczajony do pierwszej lub biznesowej klasy nie wiedziałem, że w samolocie tak cholernie trzęsie. Były momenty, że się po prostu bałem. Jedzenie było podłe, obsługa ślamazarna.

Pech mnie nie opuszczał, w hotelu zrobiono mi rezerwację w jakimś nędznym pokoiku, którego okna wychodziły na tyły innego hotelu. Musiałem zrobić awanturę, żeby przeniesiono mnie gdzie indziej, ale kosztowało mnie to sporo nerwów.

Negocjacje z przedstawicielami Nakano były żmudne i śmiertelnie nużące. Oglądałem nowe produkty, chodziłem na pokazy makijaży, testowałem kosmetyki - Nakano wypuszczał niebawem nową serię dla mężczyzn. Obowiązkowe były kolacje, na których głównie słuchałem i potakiwałem, pozerając przy okazji mnóstwo sushi podlewane dużą ilością ciepłego sake.

Właściciele Nakano byli ze mnie zadowoleni. Podkreślali, że przelewy, jakie ode mnie otrzymują, są największe z całej Europy Wschodniej, niewiele mniejsze niż z Francji i Niemiec, gdzie kupuje się dużo więcej markowych kosmetyków.

Byłem więcej niż pewny, że przedłużą ze mną umowę. I tak też się stało, choć pertraktacje potrwały kilka dni.

Wieczorami wracałem skonany do hotelu, gdzie wszystko było mniejsze niż w Europie. Nawet prezerwatywy, które znalazłem w nocnej szafce przy swoim łóżku.

Nie zrobiłem z nich użytku nie tylko dlatego, że były dla mnie za małe, ale nie miałem najmniejszej ochoty na seks.

Jak zwykle przy takich okazjach gospodarze oferowali mi rozmaite wycieczki po całej Japonii, ale odmawiałem, tłumacząc się nadmiarem pracy, co zostało przyjęte ze zrozumieniem. Uważałem, że samotne zwiedzanie, bez

Agnieszki, nie sprawi mi przyjemności. Czym innym jest patrzeć na to samo we dwoje...

Tokio by night strasznie mnie przygnębiało. Dziesięć razy więcej światła, na ulicach dziesięć razy więcej ludzi niż gdzie indziej mówiących dwa razy więcej i szybciej.

Miałem kłopoty z zaśnięciem. Żeby jakoś zabić czas, przesiadywałem w kawiarenkach internetowych czynnych całych dobę. Przywiozłem ze sobą notebooka i teoretycznie mogłem się łączyć ze swojego pokoju, ale nie chciało mi się tego robić.

Mój nowy pokój znajdował się na 44 piętrze. Z okien niby roztaczała się panorama całego miasta, ale tak naprawdę widok zasłaniały kolejne budynki. Mogłem tylko obserwować, jak w oknach naprzeciwko niczym mrówki krzątali się ludzie.

Ciągle byłem przygnębiony sytuacją z Agnieszką. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, po moim powrocie miało do nich zostać raptem pięć dni. Miałem nadzieję, że mimo wszystko spędzimy je razem. Odpowiedzi na SMS - y, które jej wysłałem, szybko pozbawiły mnie złudzeń.

- Jak spędzasz święta?

- Z rodziną.

- A sylwestra?

- Jak zwykle na Rynku w Krakowie.

Pytałem też oczywiście, jak się czuje, ona zaś była ciekawa, czy poznałem jakieś gejsze. Jeśli nawet był to żart, to niezbyt dla mnie sympatyczny.

Na szczęście pobyt dobiegł końca. Japończycy odwieźli mnie na lotnisko i pożegnali zdawkowo. Z ulgą stwierdziłem, że miałem wracać jumbo jetem. Niestety, leciało się nim jeszcze gorzej niż airbusem. Wprawdzie miejsce miałem przy skrzydle, nie trzęsło tak bardzo, ale nie czułem się przez to lepiej. Panował tłok, bo wszystkie miejsca były zajęte. Kolejki do toalety, długie czekanie na posiłki. Pasażerowie marudzili,

dzieci płakały, obsługa kręciła się we wszystkie strony. Powoli ogarniała mnie psychoza tłumy. Zaczynałem życzyć sobie, żeby samolot rozbił się gdzieś nad Himalajami. Miałbym wreszcie święty spokój.

Zamknąłem oczy i zacząłem się zastanawiać, do czego tak naprawdę wracam?

Do brudnej, zawałonej śniegiem, zimnej Warszawy? Do mojego nieprzytulnego mieszkania w apartamentowcu? Do pretensjonalnej narzeczonej? Zaborczej matki? Niedomagających wujków? Czy może do firmy, która tak naprawdę dopiero się rozkręcała, wymagała jeszcze wielu nakładów?

Jeszcze nie tak dawno mogłem wracać do Agnieszki, ale teraz nie byłem niczego pewien.

Niewątpliwie coś między nami zaczynało się psuć.

Dlaczego tak się działo? - na to pytanie nie umiałem odpowiedzieć.

Chciałem mieć do Agnieszki pełne zaufanie, nawet bardzo tego chciałem, ale nie potrafiłem już jej wierzyć. Między nami powstała najpierw rysa, później szczelina. Teraz robiła się z niej przepaść, wszystko zmierzało ku kompletnemu rozpadowi.

Czy coś mogło go powstrzymać?

Na pewno prawda. Nie darmo przecież mówią, że najgorsza prawda jest lepsza od niepewności.

Dlaczego uważałem, że Agnieszka nie mówi mi całej prawdy? Bo tak po prostu podpowiadała mi intuicja. Powszechnie uważa się, że tylko kobiety mają intuicję, ale według mnie to bzdura.

Mnie intuicja rzadko myliła. Najczęściej wykorzystywałem ją w sprawach zawodowych. Miałem dobrego nosa. Wiedziałem, jaka marka się dobrze sprzeda,

jakie akcje przyniosą zysk, jaki człowiek będzie dla mnie dobrze pracował.

Dlaczego z Agnieszką moja intuicja mnie zawodziła?

Od samego początku coś mnie do niej ciągnęło - na pewno nie tylko fizyczne pożądanie. Niedawno coś mnie zaczęło od niej odpychać.

Nienawidzę kłamstwa. Tak, wiem, sam też się nim posługiwałem, ale nie było mi z tym dobrze.

A może ja już się nią nasyciłem, znudziłem i tylko szukałem pretekstu, żeby się jej pozbyć? Taka myśl także przychodziła mi do głowy.

Najszybciej nudzi się człowiekowi seks. Ale z Agnieszką to nie był seks, to była namiętność i... chyba miłość? Na pewno nigdy przedtem nie czułem do nikogo czegoś podobnego.

A może wszystko musi powoli wygasać?

Nie chciałem, żeby to, co było między nami, wygasło! Nie da się jednak ukryć, że ten niegdyś olbrzymi płomień, który zapłonął między nami, teraz zaledwie się tlił.

Czy będziemy w stanie na nowo go rozpaścić? Czy moje podejrzenia były tylko urojeniami? Może jednak uda nam się wszystko wyjaśnić i zacząć od nowa.

Z takimi myślami biłem się podczas lotu do Amsterdamu, gdzie czekała mnie jeszcze przesiadka na samolot do Warszawy.

Piętnaście godzin lotu... Przez taki czas można przeżyć duchową przemianę. Mnie się wydawało, że czegoś takiego doświadczyłem.

Zaproszę Agnieszkę na święta do siebie, postanowiłem. Szczerze ze sobą porozmawiamy, wszystko wyjaśnimy. A Nowy Rok przywitamy razem!

Niestety, okazało się, że były to tylko moje pobożne życzenia.

ROZDZIAŁ 6

Święta spędziłem z rodziną w Magdalence. Przyjechali obaj wujowie - Leon z Włoch i Marcin z Chomiczowki - siostra Dorota z mężem Erwinem i dziećmi. Wszyscy pod jednym dachem przez trzy dni.

Moja mama była z tego powodu bardzo szczęśliwa. Ja też powinienem się cieszyć, ale nie potrafiłem.

W pracy same sukcesy. Przedświąteczny utarg był dużo wyższy niż rok temu. Bogdan uwijał się, żeby obsłużyć wszystkich VIP - ów, którzy przyszli odwiedzić nas przed Gwiazdką. Wyglądało na to, że firma zakończy ten rok na dużym plusie. Przyszedł do mnie jakiś enigmatyczny list od Guerlaina. Czyżby szukali nowego dystrybutora na Polskę? Postanowiłem, że zajmę się tym zaraz po Nowym Roku.

W mieszkaniu na Brukselskiej sprowadzono i zamontowano marmurową umywalkę, na którą czekałem prawie pół roku. Ukończyliśmy wreszcie całkowity remont willi w Magdalence. Wszystkie pokoje były odświeżone i umeblowane. Mogliśmy z mamą zapraszać gości. Po raz pierwszy byliśmy praktycznie w komplecie.

Iwona spędzała święta ze swoimi rodzicami. Spotkałem się z nią w wigilię Wigilii. Dostałem od niej dwa prezenty: na święta i imieniny, które przypadają tego samego dnia, więc od dziecka byłem w związku z tym pokrzywdzony. Było mi miło, że nie wymigała się jednym większym prezentem, jak robiła większość moich bliskich.

Pierwszym prezentem - świątecznym - była srebrna cukiernica, która idealnie pasowała na środek mojego stołu w jadalni na Brukselskiej. Drugim - imieninowym - był portfel ze skóry krokodyla, bardzo piękny i funkcjonalny. Ja podarowałem Iwonie pasek do spódnicy wysadzany bursztynami. Ona też była nim zachwycona.

Nie było jej żal, że nie spędzamy świąt razem, bo zaraz po nich mieliśmy wyjechać do Zakopanego na sylwestra. Miał być to nasz pierwszy wspólny sylwester i Iwona bardzo ten fakt przeżywała. W związku z tym święta zeszły na plan dalszy.

Podczas świąt królowała moja mama. Wszystko było tak, jak sobie zaplanowała. Wspaniałe choinki w domu i w ogrodzie, wyszukane prezenty. Ze względu na dzieci Erwin tak dobrze przebrał się za Świętego Mikołaja, że sam prawie go nie poznałem. Do tego oczywiście dwanaście dań na wigilię, pyszne potrawy przez całe święta. Wszyscy prócz dzieci poszliśmy na pasterkę. Grześ i Olek spali, zostawiliśmy ich samych, czym się trochę martwiłem.

- Nic im nie będzie - rozwiąła moje wątpliwości Dorota.

Lubiłem patrzeć, jak Dorota wychowuje swoich synów. Młodsza ode mnie, ale bardziej stanowcza, niewątpliwie odziedziczyła charakter po mamie. Była tak samo bardzo wymagająca, ale też lepiej czuła, co mi się podobało. Erwin grał w tym małżeństwie drugie skrzypce, ale chyba nie narzekał.

Moja siostra miała wielu adoratorów, ale wybrała jego, bo - jak mówiła - najlepiej ze wszystkich tańczył. Dorocie, tak samo jak mojej mamie, nie bardzo chciało się pracować, zostawiła więc zarabianie pieniędzy na życie Erwinowi, chociaż była bardzo dobrze wykształcona - skończyła, tak jak ja, prawo (ale w Polsce) i dziennikarstwo. Była na stażu w „Polityce”, ale z tego, co wiem, napisała w życiu tylko jeden tekst - wywiad z Waldemarem Pawlakiem, ówczesnym premierem.

- Rozmawianie z takimi ludźmi jest poniżej mojej godności - powiedziała naczelnemu i już nigdy nie pojawiła się w redakcji.

Za starych dobrych czasów lubiliśmy wyskakiwać z Dorotą na zakupy do Berlina, a raz nawet zawitaliśmy do Nowego Jorku, bo oboje mieliśmy amerykańskie wizy. Wracaliśmy na przykład z pudełkiem butów na kolanach lub fajną bielizną w reklamówce Gucciego.

W pierwszy dzień świąt praktycznie nie wstawaliśmy od stołu, tyle było do zjedzenia i... opowiedzenia. Śpiewaliśmy kolędy, przy których obaj wujowie jak zwykle się pokłócili, który z nich ma lepszy głos. Po raz kolejny słuchaliśmy z przyjemnością o tym, jak to z dwojga braci Leon miał być księdzem, ale kiedy Marcin, który uczęszczał do konserwatorium, poderwał śliczną i ognistą Włoszkę Sarę, tamten postanowił mu ją odbić. I tak zrobił! Poślubił Sarę, śpiewaczkę operową, i pojechał razem z nią do Włoch. Zrozpaczony wuj Marcin wstąpił do seminarium - jako młody chłopak zastanawiałem się, czy nie iść w jego ślady. Bywają dni, gdy tego żałuję.

Małżeństwo Sary i Leona było bardzo szczęśliwe, ale krótkie. Sara, która uwielbiała bardzo szybkie auta, zginęła w wypadku samochodowym, kasując swoje ferrari. Leon nie ożenił się powtórnie, ale miał wiele kochanek. Od czasów włoskich studiów byłem jego faworytem, obiecywał, że po jego śmierci mnie przypadnie jego majątek.

Wuj Marcin długo nie mógł wybaczyć bratu tej wyjątkowej nielojalności i tym mocniej poświęcił się pracy duszpasterskiej. I z tego, co wiem, był bardzo dobrym kapłanem. W stanie wojennym pracował w otoczeniu księdza Popiełuszki, którego zabójstwo bardzo przeżył. Zawsze był dla mnie jak ojciec, w każdej sytuacji mogłem na niego liczyć. Uwielbiał słuchać chorałów gregoriańskich i... ciszy. Czasem mówił mi, że żałuje, że nie został zakonikiem.

Obaj wujowie nie odzywali się do siebie aż do śmierci swojego ojca, a mojego dziadka, który długo chorował na raka

jelit. Teraz sami narzekali na zdrowie. Marcin miał kłopoty z żołądkiem z powodu wilczego apetytu, a Leon z kolanem - rezultat częstych wypadów na narty do Madonna di Campiglio. Niby wszystko było okay, ale tak naprawdę czegoś, a raczej kogoś mi brakowało.

Pogoda dopisała, więc w drugi dzień świąt urządziliśmy kulig. Dzieci ulepiły bałwana, rzucaliśmy w siebie śnieżkami. Ponieważ było bardzo zimno, mama pozwoliła zmarzniętym kociskom wygrzewać się w domu. To wtedy nabrałem podejrzeń, że podczas mojej nieobecności mama pozwalała im tam urzędować.

Pod koniec świąt ustaliliśmy, że Wielkanoc będziemy obchodzić u wujka Leona. Zaraz po Nowym Roku miałem zarezerwować dla wszystkich bilety lotnicze do Mediolanu.

Wujowie i Dorota z rodziną rozjechali się do siebie zaraz po świątach, ja zaś postanowiłem pozostać w Magdalence do sylwestra.

Nie spieszyło mi się do siebie, gdyż w mieszkaniu na Brukselskiej wszystko przypominało mi chwile spędzone z Agnieszka. Na poduszce, na której zwykle kładła głowę, wyczuwałem jej delikatny zapach. Często oglądałem zdjęcia, które zrobiłem Agnieszce w Barcelonie.

Czemu ona była taka smutna? - pytałem siebie, patrząc na ulubione zdjęcie. Może wcale nie czuła się ze mną dobrze?

Agnieszka spędzała święta także z rodziną w swoich Babcicach. Po moim powrocie z Tokio nie udało nam się spotkać, chociaż bardzo tego chciałem. Liczyłem na to, że święta lub sylwestra spędzimy razem. Niestety, wyczułem w Agnieszce opór, chyba nie podobały się jej moje plany. W końcu przyznała, że musi pracować - przebrana za Królową Śnieżkę rozdawała cukierki w Galerii Kazimierz. Świąteczne życzenia złożyliśmy sobie przez telefon. Mówiła, że sylwestra spędzi w Krakowie, z tłumem na Rynku.

Nie sprawdzałem, gdzie spędzi sylwestra Gerard. Jego agencja zaprosiła mnie na tradycyjną wigilię, ale wymówiłem się brakiem czasu. Sam dla swoich pracowników urządziłem skromne przyjęcie w Kredensie. Sylwestra miałem spędzić z Iwoną i jej paczką w Zakopanem. Zapowiadał się interesująco, ale zakończył się katastrofą.

Spędziliśmy go w trzy pary: ja i Iwona, Bernard i jego nowa narzeczona Magda, specjalistka od public relations, oraz Kacper Haremza, modny dentysta, i jego girlfriend Ewelina, która niedawno wróciła z Londynu i ciągle mówiła po polsku z akcentem jak jakaś prostytutka. Te dwie ostatnie pary były całkiem świeże, po raz pierwszy spotykały się „na wyjeździe” i raczej nie zaliczą tej próby na plus.

To był prawdziwy koszmar! Dość powiedzieć, że wymknęliśmy się z wynajętej willi z Iwoną chyłkiem tuż przed północą.

Otworzyłem Dom Perignon - kupiony w strefie wolnocłowej na lotnisku w Tokio - pod skocznia, gdzie zgromadziło się sporo ludzi. Piliśmy go z butelki.

Przez nieuwagę nie zabrałem ze sobą komórki, więc o północy nie mogłem wysłać Agnieszce SMS - a z życzeniami, jak robili wszyscy dokoła. Ona jednak o mnie pamiętała, o czym przekonałem się, kiedy wróciłem zmarznięty do pokoju, który dzieliłem z Iwoną.

Tymczasem nasi współtowarzysze już pogodzeni taplali się nago w jaccuzi, zachęcając, żebyśmy poszli w ich ślady, i kusząc napoczętymi szampanami. Widziałem, że Iwonie zaświeciły się oczy, ale ja byłem nieubłagany.

- Jak chcesz, to się kąp, ja idę spać.

Iwona była wobec mnie lojalna, ale chyba trochę tego żałowała, bo w drodze powrotnej do Warszawy - a wracaliśmy nazajutrz moim jeepem - stale miała do mnie jakieś uwagi: albo jechałem według niej za szybko, albo za wolno.

Tak mnie zdenerwowała, że miałem ochotę ją wysadzić na „zakopiance”, pojechać do Krakowa, zatrzymać się pod domem Agnieszki i... oświadczyć się jej!

I byłbym tak zrobił, ale nie wiedziałem, gdzie mieszka. Znałem tylko jej adres stałego zameldowania.

Mogłem wprawdzie zadzwonić i zażądać: „Powiedz mi zaraz, gdzie mieszkasz, a będę u ciebie za piętnaście minut z pierścionkiem zaręczynowym”.

Niestety, byłem na to zbyt grzeczny. No i nie miałem pierścionka. Pewnie mógłbym kupić jakieś świecidełko pod Sukiennicami albo zabrać jeden z pierścieni Iwonie.

Za Krakowem Iwona zrobiła się tymczasem słodka jak miód. Tulila się do mnie i ćwierkała niczym wróbelek.

- Było miło, prawda? - pytała przymilnie. - W przyszłym roku Bernard chce jechać do Chin i wznieść toast noworoczny na Wielkim Murze. Oczywiście zaprasza nas. Co ty na to?

Niedoczekanie, pomyślałem, ale głośno odpowiedziałem:

- Ciekawa propozycja. Zastanowię się nad nią.
- Dlaczego nie powiedziałeś: zastanowimy?
- To zwykłe przejęzyczenie.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy wysadziłem ją na Płockiej. Co prawda obiecałem sobie, że w Nowy Rok porozmawiam szczerze z Iwoną, ale w gruncie rzeczy moje kontakty z nią uległy - delikatnie mówiąc - rozluźnieniu, nie było takiej potrzeby. W końcu Iwona była wobec mnie lojalna. Miała swoje wady i potworne przyzwyczajenia, ale nigdy nie potraktowała mnie tak jak Agnieszka. Mimo to po pobycie w Zakopanem jeszcze bardziej tęskniłem za Agą. Gdy znalazłem się w domu, natychmiast do niej zadzwoniłem.

- Przyjedziesz do mnie w piątek? - zapytałem wprost.

- Dobrze - odpowiedziała bez wahania. To była cała nasza rozmowa.

Co tam sylwester, Nowy Rok. Dla mnie rok 2006 miał się tak naprawdę zacząć w najbliższy weekend.

I znowu czekałem o 20.50 na drugim peronie. Tak jak chciałem, wszystko zaczynało się od nowa.

Spotkanie było cudowne. Postanowiłem cieszyć się nim najmocniej, jak się da. Chociaż obiecałem sobie, że szczerze porozmawiam z Agnieszką, byłem jednak tak szczęśliwy, że ją widzę, że odłożyłem tę rozmowę na później. W końcu znów byliśmy razem. Prawie nie wychodziliśmy z łóżka. No, chyba tylko po to, żeby odebrać zamówioną telepizę. Przez dwa dni karmiłem się pizzą, a na dodatek popijałem ją coca - colą (inaczej nie dałbym rady jej przełknąć) .

- No, nareszcie jemy coś normalnego! - cieszyła się Agnieszka.

Posłałem jej mordercze spojrzenie.

- Żartowałam! - wybuchnęła śmiechem, obejmując mnie za szyję. - Ty mój ponuraku, uśmiechnij się.

I choć wcale nie byłem pewny, czy rzeczywiście żartowała, nie miałem zamiaru być starym zgredem i czepiać się szczegółów.

Kiedy w sobotę wieczorem rozboleł ją żołądek, triumfowałem:

- A widzisz? Do tego właśnie prowadzi złe odżywianie. Żarcie się nam nie udało, za to pod względem seksu było nam dobrze jak nigdy.

W niedzielę rano Agnieszka wymknęła się z mojego samochodu, niczym Kopciuszek z balu, i wpadła do Intercity do Krakowa, tego o 10.05.

Natychmiast poczułem jej brak, ale i tak uważałem, że rok zaczął się rewelacyjnie. Chciałem, żeby to trwało w nieskończoność.

Płonne to były nadzieje! Zadzwoiła do mnie w czwartek rano.

- Nie mogę do ciebie przyjechać - zaczęła. - Jadę do Brukseli.

- Po co?

- Na Eurotargi.

- Jakie znowu Eurotargi?! - poczułem to samo ukłucie zazdrości, które już poznałem wcześniej.

- Złotej biżuterii. Będę tam hostessą.

- Kto ci to załatwił? - wiedziałem, na jaką odpowiedź mogę liczyć.

- Nieważne - zbyła mnie.

- Gerard? - Tak.

Miałem ochotę rzucić telefonem o ścianę. Zamiast tego zacisnąłem tylko usta.

- Ile zarobisz na tych targach?

- Jeszcze nie wiem, ale chyba sporo. Może nawet 1000 euro.

- Posłuchaj - zacząłem gorączkowo - dam ci dwa razy tyle, żebyś nie jechała. Co ja mówię! Nie dwa, ale cztery, dziesięć, sto razy.

- Adaś, przecież wiesz, że nie o to chodzi?

- A o co? - prawie warknąłem

Nie odpowiedziała na moje pytanie.

- Nie chcę, żebyś tam jechała - naciskałem.

- Nie rozkazuj mi. Nie jestem twoją własnością - rzuciła gniewnie.

- Wobec tego: bardzo cię proszę, nie rób tego. Dam ci pieniądze.

- Nie traktuj mnie jak dziewczkę, którą można kupić - prawie krzyczała.

- Jak dziewczkę? Ja traktuję cię jak dziewczkę? Chyba jak królową - poczułem się urażony, jak mogła tak o tym pomyśleć!

- Nie kłóćmy się. Nie mogę dłużej rozmawiać.

- Dlaczego? - wcale nie miałem zamiaru odpuścić.

- Kończą mi się pieniądze na karcie.

- Zaczekaj, zaraz do ciebie oddzwonię.

Zrobiłem to dopiero po chwili, bo do mojego gabinetu weszła Ola, prosząc o jakiś bzdurny podpis. Kiedy Agnieszka odebrała rozmowę, w tle słyszałem gaworzenie dzieci.

- Co tam się u ciebie dzieje? - zapytałem rozdrażniony do granic możliwości.

- Nic. To telewizor - odparła zmieszana.

- To wyłącz go, dobrze?

- Poczekaj chwilę.

Chyba przeszła do innego pomieszczenia, a może rzeczywiście wyłączyła - teraz nie miałem do tego głowy. Byłem wściekły z powodu tej Brukseli.

- Nie pojedziesz? - brzmiało to bardziej jak groźba niż pytanie.

- Pojadę.

Co mogłem jeszcze zrobić? Rozłączyć się. Nie mogłem. Skapitulowałem.

- Kiedy to jest?

- W piątek - oboje wyraźnie spasowaliśmy.

- Jaki masz plan podróży?

- Wszystko już jest załatwione, hotel i bilety na samolot - odpowiedziała rzeczowo.

- Skąd lecisz? - w mojej głowie zrodził się pewnie plan.

- Z Warszawy.

- W takim razie spotkajmy się jutro. A może już dziś przyjedziesz do Warszawy - zapytałem wyraźnie podekscytowany.

- Nie mogę.

- Jutro, o której? - kontynuowałem, nie zważając na jej opór.

- Nie mogę się z tobą jutro spotkać. - Bo?

- Bo będzie na mnie czekał Gerard - wydusiła z siebie w końcu.

- To on też jedzie??? - mało mnie szlag nie trafił.

- Tak. To jego agencja organizuje te targi. Wygrali przetarg.

No tak, coś o tym słyszałem. Chyba chwalili się tym, kiedy zapraszali mnie na swoją wigilię.

Byłem gotowy położyć się przed samolotem, byle tylko Agnieszka nie leciała do Brukseli z Gerardem.

- Będziesz mieszkała w hotelu razem z Gerardem?

- Skąd ci to przyszło do głowy? Wykluczone.

- To z kim? Sama? - chyba stawałem się chorobliwie podejrzliwy.

- Nie. Z koleżanką.

Nie miałem już siły ciągnąć tego dalej. Zresztą nawet nie wiedziałem, co jej powiedzieć.

- Czemu się tak denerwujesz? - pytała. - Przecież możemy się spotkać, gdy wrócę.

- A kiedy wracasz? - odzyskałem nadzieję.

- W poniedziałek.

- O której?

- O 13.45 lądujemy na Okęciu.

- Będę czekał na lotnisku - zacząłem notować datę i godzinę w kalendarzu.

- Wracam też z Gerardem. Chcesz, żeby nas zauważył?

- Dobrze. Zaczekam obok lotniska - odłożyłem długopis.

- Podejrzewam, że Gerard będzie chciał mnie podrzucić.

- Dokąd? Znowu do Krakowa? - tego już było za wiele.

- Nie, na dworzec.

- No to będę na ciebie czekał na Centralnym. Jak zwykle, na drugim peronie. Pamiętaj.

- Dobrze. Pa - pożegnała się wyraźnie uspokojona.

- Pa. Aha, bierzesz telefon?

- Biorę, ale będzie przez cały czas wyłączony. Nie mam przecież roamingu.

- Słuchaj, dam ci swój telefon. Chcę być przez cały czas w kontakcie z tobą.

- Nie wygłupiaj się. Przecież jesteśmy umówieni. Czekać, na pewno będę.

I czekałem niczym pies. Przyjechałem na dworzec o czternastej. Wiedziałem, że Agnieszka nie wyjdzie z samolotu i nie dojedzie do Centrum przez piętnaście minut, ale wolałem być przed czasem.

Czekałem.

14.45 - i nic.

15.45 - i nic.

16.45 - i nic.

17.45 - i nic.

18.45, 19.45, 20.45 - to samo.

Dzwoniłem, ale po pierwszym sygnale włączała się automatyczna sekretarka - jej komórka najwyraźniej padła...

Jak ja wytrzymałem na dworcu tyle godzin?

Myślę, że to wtedy zaczęła się moja choroba.

Odchodziłem, ale wracałem po paru krokach. Dzwoniłem na lotnisko. Sprawdzałem loty. Sprawdzałem pociągi. Zaglądałem w oczy pasażerom, jakbym w nich miał rozpoznać Agnieszkę. Byłem pewny, że za chwilę zgarnie mnie policja.

Chyba wyglądałem na wariata. Być może to wariaci wyglądają tak jak ja.

Kiedy Agnieszka pojawiła się na peronie o 21.30, myślałem, że widzę ducha.

- Ty tutaj? - zapytała. Myślę, że się mnie przestraszyła. Sam bym się przestraszył.

- Czekam na ciebie, jak obiecałem - byłem już potwornie zmęczony.

- Lot był opóźniony, bo była mgła.

- Sprawdzalem na lotnisku, nie bylo zadnych opoznień - próbowałem ją złapać na kłamstwie.

- Jak to nie? Dopiero godzinę temu wylądowaliśmy.

- Wszystkie samoloty LOT - u wylądowały o czasie - recytowałem jak spiker z lotniska.

- My nie lecieliśmy LOT - em, ale liniami Wizz Air. Ten samolot był z Brukseli. To tam była mgła.

Niby wszystko co mówiła, się zgadzało. Tylko co to mogło znaczyć? Może po prostu to, że mamy pecha. Ale czy ten pech nas już nigdy nie opuści?

- Jedziemy do domu, chodź - chwyciłem ją za rękę i zacząłem prowadzić ku schodom. Wyrwała się mi.

- Ale ja muszę jechać do Krakowa.

- Po co?

- Dostałam SMS - a. Mama kazała mi przyjechać - odpowiedziała niby spokojnie, ale wyczułem, że była zmieszana.

- Znowu mama?

- Przyszło do mnie jakieś wezwanie z urzędu skarbowego. Mam tam się stawić jutro w południe - odzyskała pewność w głosie.

- Zadzwoń tam jutro.

- Nie mam telefonu do urzędu.

- Zadzwoń do mamy, to ci poda - bagatelizowałem sprawę.

- Muszę jechać. Zaraz mam pociąg.

- W nocy nie ma pociągów do Krakowa - próbowałem jej wytłumaczyć.

- Nie ma ekspresów i InterCity, ale jest pospieszny, o 21.45. Zaraz tu podjedzie.

- Ile godzin będziesz jechać?

- Pięć i pół, ale to nic, zdrzemnę się.

- Chodź, odwiozę cię do Krakowa samochodem, skoro to takie pilne. Po drodze zadzwonisz do mamy i zapytasz o szczegóły wezwania. Urząd skarbowy to nie policja. Zresztą tak naprawdę policję można olać.

Agnieszka wyglądała na przerażoną.

- Przestań się bać. To naprawdę prosta sprawa. Przez głośniki zapowiedziano pociąg pospieszny do Krakowa przez Radom i Kielce.

Wyciągnąłem rękę do Agnieszki i czekałem, aż poda mi swoją, ale tego nie zrobiła.

- Jedziesz ze mną czy nie? - spytałem łagodnie.

- Nie. Pojadę pociągiem.

- Jeśli wsiądziesz do pociągu, to uznam, że nie jesteś ze mną szczerą. Podejrzewam, że od dawna mnie okłamujesz...

- Nie! Przysięgam.

- Jeśli wsiądziesz do tego pociągu, to z nami koniec. Rozumiesz? - powiedziałem cicho.

Pociąg wjechał na peron. A ja stałem wciąż z wyciągniętą ręką.

Agnieszka patrzyła to na mnie, to na pociąg, który miał za chwilę ruszyć. Konduktorzy zamykali drzwi. Chwyciła torbę, wskoczyła do pociągu i odjechała.

Wróciłem do domu. Rzuciłem się na łóżko. W poduszkę, z której dochodził zapach Agnieszki, wsiąkały moje łzy.

Tak, to był koniec. Nie chciało mi się żyć. Jakie to melodramatyczne, pomyślałem przez chwilę. Ale było mi to obojętne, naprawdę czułem pustkę.

ROZDZIAŁ 7

Następnego dnia obudziłem się dziwnie lekki. Otworzyłem oczy, wyjrzałem przez okno. Akurat świeciło piękne, marcowe słońce. Wystawiałem twarz, żeby złapać trochę jego promieni.

Więc już jest po wszystkim? - ucieszyłem się. Jestem wolny. Trochę nerwów, parę łez i po krzyku? Fajnie!

W bojowym nastroju wskoczyłem pod prysznic. Zimny!

Na śniadanie zjadłem tost z serem, wypilem świeży sok grejpfrutowy i pojechałem do firmy.

Od razu porozstawiałem wszystkich po kątach, bo ostatnio byłem za dobry dla bliźnich, pokrzyczałem przez telefon na menedżerów perfumerii, które zalegały mi z płatnościami. Poczuję się lepiej.

Nie czekałem do końca pracy, tylko pognałem do siłowni. Ustawiłem na bieżni dystans 5 km z prędkością 13,5 km/h i... pobiłem swój rekord.

Byłem w życiowej formie!

Wskoczyłem do basenu, przepłynąłem spokojnie sześć odległości. Super! Potem sauna, sucha i parowa.

Ale już w suchej saunie stało się ze mną coś bardzo dziwnego. Prawie zemdlałem. Brakowało mi oddechu i sił. Wyczłapałem z niej na czworakach - na szczęście nikt mnie nie widział - i długo odpoczywałem na ławce ze skurczonym penisem na wierzchu, bo nawet nie przykryłem się ręcznikiem, nie miałem siły. Pot kapał ze mnie jak ze starej kobyły.

Weszli jacyś hałaśliwi Węgrzy, najprawdopodobniej goście hotelowi. Wskakiwali do sauny w kąpielówkach i patrzyli na mnie, jakbym im w czymś przeszkadzał.

- How are you? - zapytał ze strasznym akcentem najstarszy i najbrzydszy z nich.

- Fine. Thanks - odpowiedziałem i powlokłem się do recepcji.

- Można się zapisać na masaż? - zapytałem recepcjonistki.

Godzina masażu relaksacyjnego pozwoliła mi dojść do siebie. Powoli, nie przekraczając 40 km/h, jakoś dojechałem do domu. Zostawiłem samochód w podziemnym garażu i wszedłem na górę. Na szczęście mieszkałem na parterze.

Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Byłem potwornie zmęczony, ale nie mogłem zasnąć.

Serce mi waliło strasznie, a na dodatek myślałem, że pęknie mi głowa. Pociłem się obficie, więc co chwilę brałem prysznic.

O czwartej nad ranem zaparzyłem sobie melisę, ale herbata niewiele pomogła. Nazajutrz zamiast do biura pojechałem taksówką do lekarza w Centrum Damiana na Wałbrzyskiej, gdzie się leczyła moja rodzina i moi pracownicy.

Od dawna się nie badałem, chyba od kilku lat. Teraz internista kazał mi zrobić wszystkie badania. Krew, mocz, zdjęcie rtg i te wszystkie sprawy.

Musiałem odczekać kilka dni, żeby to zebrać, po czym zapisałem się na ponowną konsultację.

Przez ten czas jeździłem normalnie do pracy, ale z siłowni zrezygnowałem.

W domu głównie leżałem na kanapie.

Czasem brałem do ręki książkę, Życie Pi, prezent od Bogdana, albo Pod mocnym aniołem Jerzego Pilcha, którą kupiłem kiedyś - nie wiedzieć czemu - na Dworcu Centralnym, czekając na Agnieszkę, ale nigdy nie przebrnąłem przez pierwszych pięć stron.

Wydawało mi się, że jestem bardzo chory. Podejrzewałem nawet, że złapała mnie grypa. Wsadzałem termometr pod pachę, ale wskazał niezmiennie 36,5 stopnia.

- Jest pan zdrowy jak byk - zawyrokował lekarz, kiedy przejrzał moje wyniki. - Wszystko jest w najlepszym porządku.

- To dlaczego się czuję tak fatalnie? I na nic nie mam siły?

- Może dlatego że jest zima?

- Zima jest co roku, a ja nigdy nie czułem się tak jak teraz.

- Może ma pan depresję? - spojrzał na mnie z większym zainteresowaniem.

- Co?

- W dużym skrócie: psychiczny dołek. Ma pan coś takiego? - energicznie wstał zza biurka, przeszedł kilka kroków, jakby chciał rozprostować kości. Może też miał depresję?

- Nie! - zaprzeczyłem chyba trochę za energicznie.

- To w takim razie brakuje panu słońca. Proszę iść do solarium i łykać witaminy.

- To wszystko?

- Tak, to wszystko. Dziękuję.

Wyszedłem od lekarza i poszedłem w stronę metra. Tego dnia nie miałem siły prowadzić samochodu, nie chciało mi się nawet zadzwonić do jakiejś korporacji, żeby zamówić taksówkę.

Mijał dzień za dniem. Codziennie rano przychodziłem do pracy, ale zamykałem się w swoim gabinecie i rozmyślałem o niebieskich migdałach. Większość spraw załatwiałem przez Internet i telefon, wysługiwałem się też swoimi pracownikami. Internet służył mi również do zabicia czasu. Z nudów wchodziłem na różne przedziwne strony. Na przykład na blog niejakiego Manuela Oczki, szesnastolatka z Mławy. Opisywał szczegółowo swój każdy dzień i nie było to nic ciekawego.

11 lutego: „Pojechałem do Warszawy. Na Miodowej spotkałem dramaturga Michała Walczaka, który jest moim idolem. Poszliśmy do Poziomki na piwo i dyskutowaliśmy długo o współczesnej polskiej dramaturgii”.

To wszystko, co wydarzyło się 11 lutego u Manuela Oczki.

A co wydarzyło się u mnie?

Chyba jeszcze mniej.

W metrze patrzyłem na mijające stacje, na wsiadających i wysiadających ludzi i było mi dziwnie dobrze.

Od skończenia liceum nie jeździłem transportem miejskim. Po maturze wujek Leon podarował mi fiata i od tamtej pory nie skasowałem ani jednego biletu. Metro, otwarte gdzieś około 1995 roku, było mi kompletnie obce.

Nagle je pokochałem. Jeśli bywały sytuacje, kiedy czułem się w miarę dobrze, to właśnie wtedy, gdy byłem sam w tłumie.

Nie tylko zacząłem jeździć metrem, ale spacerowałem po zatłoczonych ulicach: Marszałkowskiej, Alejach Jerozolimskich i Chmielnej, włóczyłem się po centrach handlowych, nie wchodząc jednak do sklepów. Jak ognia unikałem miejsc, w których byliśmy razem z Agnieszką. Wiedziałem, że nie jest to normalne i coś z tym trzeba zrobić.

Męczyłem się. W nocy nie mogłem spać. Przewracałem się z boku na bok. W końcu wstawałem, ubierałem się i wychodziłem na ulicę. Potrafiłem przejść całą Paryską, Francuską, most Poniatowskiego i znaleźć się przed palmą na rondzie de Gaulle'a. Wracałem tą samą drogą, kładłem się do łóżka... i dalej nie mogłem zasnąć.

Pewnego wieczoru przyszło mi do głowy, że poszukam moich starych płyt. Zateęskniłem za The Sex Pistols. Przeszukałem całe mieszkanie i nic. Nigdzie ich nie znalazłem. Zniknęły podczas przeprowadzki. Pomyślałem, że

zapytam o to Iwonę, przecież tak naprawdę to ona mnie przeprowadzała.

- Gdzie są moje płyty? - zadzwoniłem natychmiast do Iwony na komórkę. W tle słychać było straszny hałas. Jazgot muzyki i ludzkie śmiechy. Iwona była w Utopii na promocji bielizny Calvina Kleina.

- Jakie płyty?

- Czarne winyle.

- A kto dziś słucha winyli. Wyrzuciłam je - odparła beztrąsko.

Zrobiło mi się potwornie żal tych moich winyli, ale nie miałem pretensji do Iwony. Było mi wszystko jedno. Normalnie pewnie bym się wściekł. Moje winylowe płyty zawsze traktowałem jak relikwie. Szczególnie te z Sex Pistols. Ale teraz uznałem, że to jeszcze jeden dowód na to, że moje obecne życie to nieustanne pasmo klęsk. Zresztą zmienił się mój gust muzyczny. Obciąłem włosy, obrosłem w tłuszcz, słuchałem innej muzyki. Moja płytoteka to był kompletny miszmasz od popu po klasykę. Nie chciało mi się grzebać w CD. Sięgnąłem po iPod, który kupiła mi Iwona i przy okazji wgrała swoje ulubione kawałki. Słuchałem ich bez przerwy. Zwłaszcza Missing zespołu Everything But the Girl. Chodziłem ze słuchawkami na uszach i nuciłem:

I miss you

Like the deserts miss the rain

Potem spodobało mi się Sad Eyes Bruce'a Springsteena albo Save the Last Dance For Me w wykonaniu Bruce'a Willisa.

Przychodziły mi do głowy różne głupoty. Wymyśliłem na przykład, żeby piosenkę Willisa zagrano na moim pogrzebie. Miałem zamiar wpisać to do testamentu!

Chętnie zobaczyłbym, jaką minę miałyby wtedy Agnieszka. ..

Zacząłem rozmyślać o własnej śmierci, co nigdy dotąd mi się nie zdarzało.

Czasem czułem impuls, żeby wszystko sprzedać: firmę, mieszkania, samochody, papiery wartościowe, pobrać z kont wszystkie pieniądze i gdzieś wyjechać, na przykład do Nowej Zelandii. Tam zaś żyć samotnie na jakimś kawałku ziemi do czasu, aż skończą się pieniądze, a jak się skończą - rzucić się ze skały do morza.

Na takich właśnie rozmyślaniach czas przeciekał mi przez palce. Iwonie i mamie kłamałem, że jestem strasznie zapracowany, a w rzeczywistości prawie nic nie robiłem.

Owszem, zdarzały się dni, gdy wydawało mi się, że wszystko jest już w porządku, ale przychodziły też takie chwile, że chciało mi się wyć. Trwało to trzy - cztery tygodnie, aż pewnego dnia niespodziewanie zmieniłem front.

Zacząłem od tego, że wróciłem na siłownię. Bałem się, że zwyczajnie zardzewieję. A poza tym miałem wrażenie, że mój organizm domagał się tego. Ale tak naprawdę przeszedłem metamorfozę, gdy w Internecie natknąłem się na tekst Polka potrafi!: „Agnieszka Guzowska, była studentka krakowskiej PWST, ma wielką szansę zabłysnąć jako gwiazda kina erotycznego. Polka jest właśnie w pociągu do Pragi, gdzie czeka na nią słynny reżyser Jack Newman. Guzowska zagra jedną ze scen w jego najnowszym filmie pod prostym i zrozumiałym pod każdą szerokością geograficzną tytułem - All That Sex. Agnieszko, cała Polska trzyma za ciebie kciuki!"

Pod artykułem było zdjęcie roznegliżowanej Agnieszki, najprawdopodobniej z sesji do „CKM - u", a pod nim wulgarne wpisy internautów. Było ich aż sto czterdzieści siedem, ale nie zamierzałem ich czytać.

Wyłączyłem komputer i wyszedłem z biura. Cały się trząsałem! Jak to! To ja byłem w depresji - z czasem

zaakceptowałem to słowo - a ona żyła sobie jak gdyby nigdy nic!

Nie miałem zamiaru już dłużej przez nią cierpieć. Postanowiłem zacząć korzystać z życia - przede wszystkim bawić się. Zacząłem chodzić z Iwoną do modnych klubów. Razem szaleliśmy na parkiecie. Iwona była w szoku, nie poznawała mnie. To wtedy, z głupiej radości, podarowała mi złoty łańcuszek, który jednak szybko gdzieś porzuciłem.

Odkurzyłem notatnik z telefonami i spotykałem się ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi i znajomymi. Zrobiłem po prostu ich listę i odhaczałem jedno nazwisko po drugim.

Mamę i wujka Marcina zabierałem na koncerty do filharmonii i zaległe premiery w Operze Narodowej, nigdy jednak do teatru, bo tam chodziłem z Agnieszką.

Wybrałem się na kilka dni do Doroty do Szczecina. Następnego dnia po przyjeździe zabrałem Grzesia i Olka do Międzyzdrojów, gdzie na plaży dokarmialiśmy łabędzie i szukaliśmy ładnych kamieni oraz muszelek, szybko jednak poczułem się w domu Doroty dziwnie obco, tym bardziej że jej małżeństwo z Erwinem kwitło. Dorota natychmiast to zauważyła i wieczorem wzięła mnie na rozmowę. Odpowiedziałem, że jestem przemęczony. Wyjechałem następnego dnia rano. Po drodze wysłałem przeproszającego SMS - a, kłamiąc w nim, że wezwały mnie pilne interesy.

Po powrocie do Warszawy niespodziewanie nabrałem ochoty na seks. Postanowiłem, że znajdę sobie jakąś panienkę. Nie musiałem długo szukać. Prawie codziennie znajdowałem pod wycieraczkami - znowu jeździłem samochodami - zachęcające ulotki agencji towarzyskich.

„Klara - trzydziestolatka sprawna jak osiemnastolatka" - to hasło spodobało mi się najbardziej. Zadzwoiłem i umówiłem się na spotkanie.

Mieszkanie Klary mieściło się na siódmym piętrze w bloku przy ulicy Siennej, prawie naprzeciw hotelu InterContinental, tym z siłownią i basenem na najwyższym piętrze.

Domofon był zepsuty, ale akurat wchodzili jacyś ludzie, zabrałem się więc z nimi. Jechałem też z nimi windą. Patrzyli na mnie z uśmieszkami, pewnie wiedzieli, gdzie się udaję.

A co mi tam, wzruszyłem ramionami. Niech sobie myślą o mnie, co chcą. Ja chcę się tylko zabawić.

Otworzyła mi w czerwonym obcisłym body, z trudem mieszczącym obfite kształty. Wyglądała raczej na czterdzieści, a nie trzydzieści lat, ale to mi akurat nie przeszkadzało. Bardziej odstraszały mnie rude odrosty na głowie, kiepsko wygolone nogi i brzydkie zęby. Na dodatek paliła papierosa. Nie znoszę tego. Są jednak sytuacje, kiedy facet czuje, że musi stanąć na wysokości zadania, inaczej straci wiarę w siebie.

Mnie nie był potrzebny jeszcze większy dół. Pomyślałem więc, że nie, nie ucieknę i zrobię swoje.

- Pieniądze z góry - powiedziała Klara.

- W porządku.

Przysiadłem na rozkładanej kanapie i odliczyłem 200 złotych. Klara w tym czasie rozplątywała mi krawat i rozpinała koszulę.

- Bez czy z? - szeptała mi do ucha.

- Z.

- To tylko 200. Chyba że chcesz dłużej niż godzinę?

- Myślę, że godzina wystarczy.

- Zajmę się tobą, kochanie.

Położyłem się na wznak, a ona zaczęła mnie rozbierać. Nagle usłyszałem szczekanie psa.

- Co to? - wyprostowałem się jak struna.

- To tylko mój Rupi...

W progu pokoju stał pies rasy rottweiler i patrzył na mnie groźnie.

- Nie bój się, nic mi nie zrobi - zapewniała mnie Klara. Ja jednak byłem innego zdania. Jej może nic, ale mnie?

A nuż stanie w obronie swojej pani, myśląc, że robię jej krzywdę. Wprawdzie moje męskie klejnoty nie były mi tymczasowo zbyt potrzebne, ale nie miałem zamiaru tracić ich na zawsze.

- Nic z tego nie będzie. Muszę już iść. Przepraszam. Zacząłem się ubierać.

- Pieniądze możesz zatrzymać - rzekłem wspaniałomyślnie.

Klara była zawiedziona.

Ostrożnie omijając Rupiego, opuściłem mieszkancko i odetchnąłem z ulgą w klatce schodowej.

Wiedziałem, że długo nie będę reagować na ulotki za wycieraczkami.

Pewnej soboty dałem się namówić kumpłowi Wojtkowi na wypad do klubu go - go. Nasz wybór padł na Sopię. Ledwie zamówiliśmy drinki, a już dosiadły się do nas dwie dziewczyny: Roksana i Weronika. Roksana, która przypadła w udziale Wojtkowi, była Białorusinką i studiowała projektowanie wnętrza. „Moja” Weronika była piękną brunetką z Polski. Mieszkała całkiem niedaleko mnie, na Międzynarodowej.

- Ja mam tylko jeden problem, Adam - mówiła mi przy stoliku, sącząc wino musujące podawane tutaj w cenie szampana, który zamówiliśmy. - Finansowy. Potrzebuję pieniędzy na wychowywanie mojego ośmioletniego synka. Dlatego to robię.

Weronika była całkiem przyjemna. Chociaż miała silikonowe piersi i wytatuowanego motylka na łopatce, jakoś fajnie się z nią gadało.

Oboje mieliśmy kłopoty - to nas zbliżało. Skusiłem się nawet na prywatny taniec w jej wykonaniu za jedyne 50 złotych, ale nie czułem nic, kiedy wiała się na moich kolanach.

To wtedy zrozumiałem, że tak dobrze jak z Agnieszką nie będzie mi chyba z nikim.

Po fali pretensji i żalu, po okresie buntu, ogarnęła mnie szybko fala tęsknoty.

Zamykałem oczy i marzyłem, że trzymam ją znowu w ramionach. Zacząłem znowu sypiać, ale bardzo często śniła mi się Agnieszka.

Szukałem jej obok siebie, ale byłem w łóżku sam.

Bogdan pierwszy zauważył, że coś się ze mną dzieje.

- Zakochałeś się czy co? - zapytał wprost.

- Tak, zakochałem.

- Ale nie w Iwonie? - zapytał ostrożnie.

- Nie - skąd on to wiedział?

- Od razu wiedziałem! Współczuję ci, stary.

- Dzięki - odparłem kwaśno, nie miałem ochoty kontynuować rozmowy.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie sądzę.

- Mogę ci załatwić świetny lek na uspokojenie. Możesz też z kimś pogadać, z psychoanalitykiem, albo iść na terapię...

Pokazał mi jakieś pudełko i kusił. Obiecywał, że po jego zażyciu będę klaskał w dłonie z radości. Wydało się to najprostszym rozwiązaniem. Przez kilka dni było dobrze, ale potem wyłem z bólu niczym ranny łoś. Zostawała więc terapia albo kozetka jakiegoś specjalisty od frustratów... O nie. Nie chciało mi się gadać z ludźmi, których nie znam. Wolałem znajomych. Dlatego w końcu umówiłem się z Basią.

Barbara Pająk, poetka, była moją dziewczyną numer dwa. Chodziliśmy ze sobą zaraz po moim powrocie z Włoch. Poznaliśmy się na lekcjach hiszpańskiego. Ona była we mnie

szaleńczo zakochana, a ja przy jej pomocy likwidowałem stresy związane z powrotem na łono ojczyzny i nową pracą. Basia wspierała mnie, nadskakiwała, była na każde skinienie, bez przerwy mówiła, jaki jestem mądry, piękny i wspaniały, co przyjemnie łaskotało moje ego. Potem jej zaborcza miłość zaczęła przeszkadzać mi w robieniu szybkiej kariery w branży kosmetycznej. Nie miałem czasu, żeby się z nią spotykać tak często, jak chciała, słuchać godzinami o jej kłopotach, wyciągać ją z dołków, bo była typem depresyjnym. Teraz myślę, że ona bardziej szukała we mnie ratunku niż miłości. Zresztą, nawet gdyby było inaczej, gdyby była we mnie naprawdę zakochana, mnie jej miłość nie była do niczego potrzebna. Nie wtedy.

Po burzliwym rozstaniu, przy którym nie szczędziliśmy sobie ostrych słów, nie od razu, ale jednak zostaliśmy przyjaciółmi. Umawiałem się z nią, kiedy było mi naprawdę źle i chciałem z kimś szczerze pogadać. Dawno się nie widzieliśmy, bo od dawna nie miałem żadnych problemów. Ona chyba też, bo nie dzwoniła do mnie. Nasza przyjacielska pomoc działała w obie strony.

Basia zaczęła się śmiać, kiedy powiedziałem jej, że się zakochałem.

- Więc i na ciebie przyszła pora. Wiedziałam, że i ty kiedyś się doczekasz!

- Nie śmieć się. Ja strasznie przez to cierpię.

- A cierp. Ja też cierpiałam. Podejrzewam, że nie tylko ja. A ty co? Myślałeś, że jesteś ponad innymi, wyjątkowy?

- Tak, tak właśnie myślałem.

- To teraz przynajmniej wiesz, że jesteś taki sam jak wszyscy.

- Ona mnie nie chce...

- Nic dziwnego. Ja też bym cię nie chciała.

- Ale kiedyś mnie chciałaś. Mówiłaś, że mnie kochasz.

- Ale mi przeszło. Długo to trwało, niekończące się rozmowy z przyjaciółkami, knajpy, w końcu terapia. Można zapomnieć.

- Kumpel też mi doradzał terapię, ale tak naprawdę nigdy nie ufałem psychiatrom, psychologom i rozmaitym terapeutom.

- Co ty opowiadasz! - obruszyła się Basia. - Spójrz na mnie. Czy ja wyglądam, jakby zjadała mnie depresja?

Wyglądała rzeczywiście kwitnąco. Szkoda, że nie zauważyłem tego dobrych kilka lat temu.

Pożegnaliśmy się. Po drodze do domu zastanawiałem się nad tym, co powiedziała mi Basia. Może miała rację?

Była dowodem na to, że można wyleczyć się z nieszczęśliwej miłości i czuć się świetnie... W domu odnalazłem adres ośrodka terapeutycznego, który dał mi Bogdan. Jeszcze tego samego dnia zapisałem się na terapię.

Na pierwsze spotkanie poszedłem z marszu, niewiele zastanawiając się nad tym, na co się decyduję. W obecności innych nieszczęśników, chyba jeszcze większych ode mnie, poczułem się trochę lepiej. Z otwartymi ustami słuchałem historii, które opowiadali moi towarzysze. Sam nie potrafiłem się jednak przełamać i powiedzieć, co mnie naprawdę gnębi. Powiedziałem tylko, że od pewnego czasu mam depresję i prześladują mnie samobójcze myśli, sam nie wiem dlaczego.

Wydawało mi się, że wszyscy mi uwierzyli. A jednak był między mną a resztą jakiś dystans, chyba nie tylko dlatego, że dołączyłem do grupy ostatni... Po rozmowie z Terapeutą stwierdziłem, że dłużej nie mogę być taki perfidny. Postanowiłem, że na następnych zajęciach pierwszy podniosę rękę do góry i odezwę się głośno:

- Mam na imię Adam i nie chce mi się żyć, bo się nieszczęśliwie zakochałem.

A potem opowiem im wszystko ze szczegółami.

Taki miałem plan.

Tej nocy spało mi się trochę lżej, ale tylko trochę...

CZĘŚĆ III

ROZDZIAŁ 1

Był już kwiecień, ale wiosna ciągle nie nadchodziła. Tego poranka obudziłem się z mocnym postanowieniem, że muszę coś zmienić w swoim życiu i nie może mi w tym przeszkodzić nawet paskudna pogoda. Wiedziałem, że nadszedł czas, kiedy muszę się otworzyć i powiedzieć wszystkim na terapii, co mnie dręczy. Byłem na to gotowy. Nic innego się tego dnia nie liczyło. Od rana przygotowywałem się, by zostać gwiazdą popołudnia.

Przyjechałem na Mickiewicza na Żoliborzu, gdzie mieści się ośrodek terapeutyczny, wcześniej niż zwykle. Wszedłem do sali, a tam byli już prawie wszyscy. Siedzieli na parkiecie po turecku z grobowymi minami.

- Cześć - rzuciłem wesoło.

- Cześć - odpowiedziała mi Anita, scenografka, wstając. Reszta milczała i patrzyła na mnie spode łba.

- Lepiej powiemy od razu, co się stało - dodała Anita. - Sebastian usiłował popełnić samobójstwo.

- Co takiego? - nagle zapomniałem o sobie. - Kiedy to się stało? - zapytałem, jakby miało to jakieś znaczenie, ale czasem człowiekowi nie przychodzi do głowy nic oryginalnego.

- Wczoraj wieczorem - odpowiedziała Anita.

- Jak to zrobił?

- Podciął sobie żyły.

- Ale żyje? - patrzyłem na nią z nadzieją.

- Żyje.

Odetchnąłem z ulgą, ale nie wiedziałem, co mam dalej powiedzieć.

- To na pewno nie była demonstracja - kontynuowała Anita. - Zrobił to, kiedy wyszła od niego dziewczyna. Zostawił nawet list pożegnalny.

- To kto go uratował?

- Ta sama dziewczyna. Coś ją tknęło, miała jakieś przeczucie. I wróciła. Drzwi były zamknięte, ale sąsiedzi je wyważyli. Sebastian leżał nieprzytomny w wannie pełnej wody i krwi.

- Całe szczęście, że żyje - powiedziałem.

Reszta zebranych nie reagowała na moje słowa. Patrzyli na mnie jakoś dziwnie. Jakbym to ja był wszystkiemu winien. Czułem, że w tym towarzystwie tylko Anita była dla mnie życzliwa. Zwracałem się zatem tylko do niej.

- Gdzie on teraz jest?

- W szpitalu.

- Na Sobieskiego?

- Nie, w Tworkach. On mieszkał w Podkowie, więc tam jest jego rejon.

Nawet nie wiedziałem, że Sebastian mieszkał w Podkowie Leśnej. Tak naprawdę niewiele wiedziałem o tych ludziach. Liczyłem się tylko ja, ja, ja... Chełpiłem się swoją ironią, upajałem swoim cynizmem. Patrzyłem na nich niczym na owady nadziane na szpilkę, a sam czym niby byłem? Takim samym owadem jak oni. Musiałem to w końcu przyznać, wcale nie pod wpływem chwili.

- Można go odwiedzić? - spojrzałem na grupkę siedzącą na podłodze. - Chyba powinniśmy pójść do niego wszyscy.

- Słuchaj, Adam, ty jesteś nowy - zabrał głos Andrzej. - My Sebastiana znamy od paru miesięcy, jest nam bliższy. Naprawdę, nie musisz się do niczego zmuszać.

- Ale ja naprawdę uważam tylko, że moglibyśmy...

- My już u niego byliśmy - wtrącił się Terapeuta. - Aha...

- Jeśli bardzo chcesz, mogę tam pojechać z tobą - zaproponowała Anita.

- Tak, chcę - odpowiedziałem bez wahania. Spojrzałem na Terapeutę. - Ale co z dzisiejszymi zajęciami?

- Odwołane.

- W takim razie jedźmy!

Wsiadłem bez gadania do cinquecento Anity. W malutkim samochodzie byliśmy bardzo blisko siebie.

- Co z twoją mamą? - spytałem.

- Fatalnie. Nadal nie chce nic jeść ani pić.

- Lekarze ciągle nie wiedzą, co jej jest?

- Już wiedzą. To był rak jelita. W zeszłym tygodniu miała operację - dopiero teraz dostrzegłem, jak bardzo była tym wszystkim zmęczona.

- Udała się?

- Mama już wraca do siebie. Jednak są przerzuty... - głos jej zadrżał.

- Ile lat ma mama?

- Siedemdziesiąt sześć.

- Słyszałem, że w tym wieku rak nie jest już groźny - próbowałem ja pocieszyć, bo bałem się, że się rozklei.

- Ten jest. On nie pojawił się teraz. Mama od dawna nie chciała się leczyć, nie chodziła na badania. Pozwoliła, żeby się w niej rozwijał.

- Starsze pokolenie się ze sobą nie cacka.

- I takie są efekty... Najgorzej, że po operacji mama się nie zmieniła. Nadal nie chce wykonywać niczyich poleceń. A to woda za zimna, a to w zupie za dużo warzyw... Już nie mam siły.

- Bardzo się męczysz? - zrobiło mi się jej naprawdę żal. Pomyślałem, jak ja zachowałbym się w takiej sytuacji, gdyby chodziło o moją mamę.

- To moja matka... Dobija mnie świadomość, że to może być jej koniec. Nie chcę tego. Chciałabym z nią jeszcze trochę normalnie pobyc, pogadać. Obawiam się, że nie będzie to już możliwe. Nigdy.

- Może powinnaś okazać jej więcej serca? - nie wiem, czy to była najlepsza rada, ale jedyna, jaka mi przyszła do głowy.

- Staram się. Chyba już więcej nie można. Jestem przy niej prawie bez przerwy, poza godzinami na własną terapię...

- A co z twoją pracą?

- Musiałam zostawić serial i zająć się mamą. Przez ostatnie lata praca była dla mnie ważniejsza. Tyle razy odsuwałam mamę od siebie. Teraz chcę wszystko nadrobić, póki nie jest za późno - westchnęła głęboko i zamyśliła się.

- „Spieszmy się kochać ludzi...”, ktoś wymyślił taką reklamę.

- To nie reklama - spojrzała na mnie lekko rozbawiona - tylko wiersz Jana Twardowskiego.

Nie wiedziałem. Na szczęście byliśmy już na miejscu.

Zatem trafiłem w końcu do wariatkowa... Dobrze, że nie jako pacjent. Jeszcze nie! Anita zaprowadziła nas do sali, w której leżał Sebastian.

Miałem nadzieję, że chłopak wziął się już trochę w garść, że nie żałuje, że go odratowano. Był jednak w kompletnej rozsypce. Oba przeguby miał zabandażowane. Leżał na łóżku w pozycji embrionalnej, dłońmi zasłaniał twarz.

- Seba, to ja - odezwała się do niego Anita. Nie zareagował. Jego ciało nawet nie drgnęło.

- Śpisz?

Nie odpowiedział, ale było wiadomo, że nie śpi, bo poruszył jedną dłoń.

- Jak się czujesz? - zapytałem trochę głupio, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Na dźwięk mojego głosu opuścił dłonie. Patrzył na mnie zaskoczony. Nie przypuszczał chyba, że do niego przyjdę.

- Hej... - pomachałem do niego delikatnie. Nie odpowiedział. Znowu zakrył twarz dłońmi.

- Może czegoś potrzebujesz? - pytała Anita.

- Nie. Spierdalajcie stąd.

Mimo użycia ostrych słów w jego głosie nie było przekonania, więc zostaliśmy.

- Może moglibyśmy ci w czymś pomóc? - zacząłem ostrożnie po chwili. - Mam na myśli jakąś większą pomoc, a nie przyniesienie pomarańczy.

- Nie. Mnie nic nie pomoże. Chciałem zdechnąć. Dlaczego mi to zrobiliście?

- Seba, powinieneś trenować - wtrąciła się Anita. - Dyskwalifikacja szybko minie, będziesz mógł znowu startować.

- Nie będę. Nie chcę! Mister Steryd jest już skończony.

- Nie jesteś skończony - przekonywała go Anita. - Klub ci pomoże, trener, związek...

- Nie, nikt mi nie pomoże. To ja jestem oszustem. Nikt mnie do niczego nie namawiał. Robiłem to sam, z własnej woli.

Zamilkliśmy. On ciągnął dalej, jakby chciał wyrzucić z siebie wszystko.

- To ja sam się szprycowałem testosteronem. Kupowałem go w Internecie i łądowałem igłą w brzuch, pośladki, uda... Jestem nim nafaszerowany jak brojler... Ze sportem koniec. Niczego nie osiągnę w nim uczciwą drogą.

- Może i dobrze... - zauważyła Anita. - Zaczнешz robić coś nowego?

- Co?

Nie potrafiliśmy odpowiedzieć na to pytanie.

- Mam dwadzieścia pięć lat i nie mam nawet matury. Nie chciało mi się uczyć, wolałem się przygotowywać do mistrzostw Europy juniorów, żeby zdobyć medal, a byłem ostatni, bo się przewróciłem. Na dodatek wylosowano mnie do kontroli antydopingowej.

- Maturę zawsze możesz zrobić - przekonywała Anita.

- I znaleźć jakąś pracę. Musisz tylko poszukać - dodałem z głupia frant.

- A co wy myślicie, że nie szukam? I co? Nie mogę nawet przejść rozmowy kwalifikacyjnej. Jestem matolem, półgłówkiem, który do niczego się nie nadaje.

- Jesteś nadpobudliwy i nadwrażliwy, to wszystko - mówiła Anita.

- Tak, nawet zdechnąć nie potrafię.

- Nie powinieneś robić tego swojej dziewczynie - miałem wrażenie, że Anita trochę matkuje Sebastianowi.

- Powinienem. Chciałem ją uwolnić od siebie. Ja ją tylko ściągam w dół, przez mnie straciła pracę. Błagam, przekonajcie ją, żeby mnie zostawiła, bo inaczej stoczy się tak jak ja...

Uświadomiłem sobie, że w tym chłopaku, który przychodził na terapię w obwisłych w kroku spodniach, bluzie z kapturem i obgryzał paznokcie, kryje się ktoś zupełnie inny.

- Seba, musimy już pójść. Ja jeszcze muszę wpaść do drugiego szpitala, do mojej mamy.

- Dobra, niepotrzebnie się mną przejmujesz. Było mi miło się przed wami wyrzygać, a teraz spadajcie.

Anita chciała odejść, ale powstrzymałem ją.

- Poczekaj jeszcze sekundę. Podeszedłem bliżej łóżka Sebastiana.

- Seba... - odezwałem się tak do mego po raz pierwszy. - Masz prawo jazdy?

- Mam, ale niepotrzebne - odburknął.

- Dlaczego?

- Bo nie mam samochodu.

- Moja firma - zacząłem niepewnie - poszukuje kierowcy... Może chciałbyś spróbować?

- Mówisz poważnie? - ożywił się. - Co miałbym robić?

- Nic wielkiego - kontynuowałem już pewniejszy tego, co robię - rozwoziłbyś towar do naszych punktów. Nie tylko w Warszawie, ale i w Polsce. Nie ma ich wiele. Poza tym towar nie jest ciężki. To kosmetyki, jak wiesz...

- Myślisz, że dałbym radę?

- To ja powinienem cię o to zapytać. Dasz radę? - uśmiechnąłem się do niego.

- Szczerze: nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie robiłem - wyraźnie się ożywił.

- Chciałbyś spróbować?

- Nawet gdybym chciał, to teraz nie dam rady. Tak jak nagle się ożywił, tak nagle posmutniał.

- Poczekam. Kiedy dojdiesz do siebie?

- Myślę, że... jutro?

Skoro zaczął odpowiadać ze znakami zapytania, to chyba wraca do siebie, pomyślałem.

- Okay. Tu masz wizytówkę firmy. Zgłoś się pod ten telefon. Oni już będą wiedzieć. Na razie.

- Na razie? Dzięki?

Wyciągnął do mnie zabandażowaną dłoń, a ja uścisnąłem końcówki jego palców.

Szliśmy z Anitą przez szpitalny korytarz w milczeniu. Anita była chyba pod wrażeniem tego, co zrobiłem.

- Naprawdę potrzebujecie kierowcy?

- Tak. Poprzedniego musiałem zwolnić, bo kradł testery i wystawiał do sprzedaży na Stadionie Dziesięciolecia.

- Miło, że pomyślałeś o naszym Sebastianie - Anita jakby się ożywiła.

- Daję mu szansę, to wszystko. Od niego zależy, czy ją wykorzysta. Jeśli nie, to przynajmniej nie będzie narzekał, że świat jest taki zły.

- Dokąd cię zawieźć?

- A w którym szpitalu leży twoja mama?

- Na Banacha - odparła wyraźnie zaskoczona.

- To zawieź mnie na Banacha.

Tym razem milczeliśmy przez całą drogę. Anita zatrzymała się przed szpitalem.

- Tutaj cię wysadzić? - wyczułem niepewność w jej głosie.

- Nie, wejdźmy do środka.

- Też masz tu kogoś? - zapytała ostrożnie, kiedy wysiedliśmy.

- Prowadź mnie, okay?

Była bardzo zaskoczona, ale weszła do szpitala. Szedłem za nią jak cień aż do samego łóżka jej mamy.

Staruszka wyglądała mizernie, ale miała jakiś zacięty wyraz twarzy. Uścisnąłem jej dłoń.

- Dzień dobry pani. Nazywam się Adam Kamiński i chodzę z pani córką na terapię. Anita panią bardzo kocha. Tak przeżywa pani chorobę, że aż musi korzystać z pomocy psychoterapeuty. Pani też nie ma lekko, wiem. Ale gdyby pani zrobiła coś dla siebie, na przykład zjadła do końca obiad, który Anita dla pani robi, albo wypłała wodę, która tu stoi. Może wtedy byłoby lżej i jej, i pani, co? No, chyba że chcecie się nawzajem wykończyć. Jeśli tak, to nie przeszkadzam. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Do widzenia.

Ucałowałem ją w dłoń, odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Za plecami usłyszałem jeszcze, jak szeptała do Anity.

- Co to za facet, córciu?

- Przecież ci się przedstawił, mamó. Znajomy z terapii.

- Właśnie takiego powinnaś sobie znaleźć męża, a nie tego krawężnika.

Uśmiechnąłem się. Cóż, nie zostałem gwiazdą tego popołudnia, ale zrobiłem coś dla innych. Było mi dużo lżej.

Nie ma co biadolić, postanowiłem. Trzeba po prostu robić to, co jest do zrobienia!

ROZDZIAŁ 2

- Ożeniłem się z twoją matką, bo się jej bałem. Z tego samego powodu ją zostawiłem. Taka jest prawda, synu. Siedziałem z ojcem u Bliklego i zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział. Ojciec jak gdyby nigdy nic rozglądał się po wnętrzu.

- Boże, tutaj się nic nie zmieniło! - mówił. - Spójrz, tam pod ścianą siedzą Łapicki i Holoubek. Ten Łapicki to się trzyma. A ten przygarbiony pan obok nich to chyba Konwicki. Tak, to on. Jak ten czas leci... Pamiętasz, kiedy byliśmy tu ostatni raz?

- Nie - odparłem, choć doskonale pamiętałem.

- A ja tak. Dwadzieścia trzy lata temu, gdy skończyłeś szkołę podstawową. Zabrałem cię w nagrodę na pączki. To wtedy poprosiłeś mnie, żebyśmy pojechali do tego całego Jarocina.

- Lepiej nie mówić, jak to się skończyło. Właściwie to był koniec naszych kontaktów - westchnąłem głośno, a ojciec skurczył się i przygarbił.

- To moja wina - zaczął po chwili. - Nie wiem, co mógłbym znaleźć na swoje usprawiedliwienie. Chyba tylko to, że czas z wiekiem płynie coraz szybciej. Nie masz pojęcia jak szybko. Wydaje się, że na wszystko znajdzie się czas, załatwi się wszystkie sprawy... Dwadzieścia trzy lata... Obiecywałem sobie, że będę się spotykał z tobą tak często, jak tylko się da. Najpierw zawałem tydzień, potem miesiąc, rok... Ciągle obiecywałem sobie, że zabiorę cię do siebie na dłużej.

- Kiedyś obiecałeś, że zabierzesz mnie na zimowe ferie. Zapomniałeś tylko wspomnieć, o którą zimę chodzi - dodałem sarkastycznie.

- Masz prawo do ironii. Byłem złym ojcem.

- Cieszę się, że masz tego świadomość - powiedziałem to szczerze, bo po latach, kiedy dzięki własnej pracy odniosłem

w życiu tyle sukcesów, nie miałem już do ojca takich pretensji jak dawniej.

- To nie jest tak, jak myślisz, synu. Myślałem cały czas o tobie, byłeś w moim sercu. Nie można przestać być czyimś ojcem. Tak samo jak nie można przestać być czyimś synem. Pamiętaj o tym.

- Jedziemy już? - zapytałem, dopijając kawę. Miałem dzisiaj zabrać ojca do Magdalenki, żeby mógł porozmawiać z mamą o rozwodzie.

- Chcesz już iść?

- A ty nie? - zapytałem rozbawiony. Najwyraźniej mój staruszek miał pietra.

- Jeszcze chwila. Niech ci się chociaż przyjrę.

- Już mnie widziałeś - odparłem wyraźnie zaskoczony. Założył okulary i przyglądał się mi z zadowoleniem.

Uśmiechnął się.

- Zmężniałeś. Kawał chłopca z ciebie. Wiem wszystko o twoich sukcesach. Jestem z ciebie dumny. Chciałbym wiedzieć tylko jedno. Kiedy zaprosisz mnie na swoje wesele?

- Na razie nie mam takich planów - powiedziałem zgryźliwie.

- Mam nadzieję, że nie zachowasz się jak Dorota... Zawiadom mnie chociaż.

- Dobrze.

- Obiecujesz?

- Obiecuję - podniosłem palce jak do ślubowania.

- Nie możesz mnie ot tak sobie wyrzucić ze swojego życia - najwyraźniej nadal mi nie ufał.

- Ja cię nie wyrzucam ze swojego życia. Ciebie tam po prostu nigdy nie było. Taka jest prawda.

- Musimy się jeszcze spotkać, pogadać, wszystko wyjaśnić - ojciec był zmieszany.

- Po co?

- Wiedz, że to wszystko wina Jadzi...
 - Tato - przerwałem mu, nie chciałem, żeby powiedział za dużo - czy warto w ogóle o tym mówić? Co się stało, to się nie odstanie.
 - Masz rację. Nie powinienem się żenić. Tylko że wtedy nie byłoby na świecie ciebie.
 - Nie wiedziałbym, co straciłem - odpowiedziałem szyderczym tonem.
 - Czego ty ode mnie chcesz, synu? - oburzył się ojciec. - Masz przecież wszystko. Jesteś chyba szczęśliwy?
 - Powinniśmy już jechać - zmieniłem temat.
 - Powiedz: jesteś szczęśliwy?
 - Tak - zawahałem się na moment. - Jestem.
 - No widzisz... A ja? Muszę załatwić chociaż ten rozwód. Niech wie, że jestem dżentelmenem. Tylko że na to potrzeba pieniędzy.
 - Chodź. Ja zapłacę rachunek.
- Podeszliśmy na Foksal, gdzie stał mój samochód. Nie chciał wsiąść, nie chciał ze mną jechać, twierdził, że wszystko załatwi sam, a ja wiedziałem, że stchórzy. W końcu jakoś przekonałem go, żeby wsiadł.
- Wiesz, do czego doszło? - ojciec usadowił się wygodnie obok mnie - Muszę sprzedać swoje duże mieszkanie i przenieść się do pensjonatu.
 - Do jakiego znowu pensjonatu? Co ty pleciesz?
 - No, tak się teraz nazywają domy starców.
 - A co z pracą? - byłem zaskoczony.
 - Jestem już na emeryturze.
 - Jeżeli chodzi o rozwód - zacząłem, kiedy wjechałem w Aleje Jerozolimskie - jestem skłonny ci pomóc...
 - Naprawdę? Będę ci bardzo zobowiązany - ucieszył się.
 - I nie musisz sprzedawać mieszkania.

- Nie sprzedaję go tylko ze względu na siebie... - zawiesił głos, a ja spojrzałem na niego pytająco. - Bo widzisz... - ciągnął dalej. - Ja mam jeszcze inne dzieci. Dwóch synów. Bliźniaki. Są dużo młodszy od ciebie, właśnie dorastają. Muszę im zapewnić przyszłość.

- Nie wiedziałem, że założyłeś rodzinę - o mało nie spowodowałem wypadku.

- Bo nie założyłem. Po prostu mała wpadka, grzech młodości. Nie mieszkają tutaj, więc sprawa się nie rozeszła. Tak czy inaczej, masz przyrodnych braci, synku.

Przez dalszą drogę do domu już milczeliśmy. Byłem w szoku, nie wiedziałem, że mam przyrodnie rodzeństwo. Ojciec się znowu postarał...

Mama czekała w salonie z herbatą i ciastem drożdżowym. Była w błękitnej sukience. Upięła włosy, na szyję założyła perły. Wyglądała nieco starszej niż zwykle.

Patrzyłem, jak się witają, ciągle myśląc o rodzeństwie, którego nie znam. A jeżeli poznam, będzie to najdziwniejsze spotkanie w moim życiu. Tymczasem ojciec pocałował jej dłoń, ale nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Witaj, Jadziu - wyjąkał.

Mama przez chwilę przyglądała mu się zimno, po czym włożyła przeciwsłoneczne okulary.

- Siadaj. Ty też - zwróciła się do mnie.

Właściwie chciałem odejść, zostawić ich samych, ale mama zatrzymała mnie. Chciała, żebym był świadkiem?

- Postarzałeś się - przyglądała się ojcu. - Roztyłeś.

- Owszem, przybyło mi kilka kilogramów - ojciec skurczył się na krześle.

- Wyglądasz jak... wieprz,

- To prawda. Posiwiąłem, wypadają mi włosy, musiałem obstałować sztuczną szczękę.

- Rozpadasz się, przepoczwarczasz, staczasz w nicość - matka była nieubłagana, bezwzględna.

- Tak, masz rację. Niedługo mnie już nie będzie... Za to ty wyglądasz pięknie, wciąż piękniej.

- Zachowaj te komplementy dla innych... panienek - rzuciła cierpko.

Ojciec próbował być przymilny.

- To nie komplementy, ale prawda, Jadziu. A żadnej innej kobiety nie mam.

- A co, rzuciła cię? - powiedziała z triumfem w głosie.

- Zawsze byłeś tylko ty.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Kiedy możemy się rozwieść? - ojciec nie mógł już wytrzymać.

- Mnie rozwód do niczego nie jest potrzebny, co nie znaczy, że chcę być z tobą.

- Jeśli będziesz całkiem wolna, będziesz mogła znaleźć kogoś innego.

- Nie znalazłam przez trzydzieści lat, to nie znajdę i teraz - wycedziła, wyraźnie akcentując każde słowo - Zresztą, ja nie szukam. Po co mi to?

- Jesteś wciąż taka piękna.

- Daruj sobie, proszę - mama była już znudzona.

- Kiedy to prawda. Prawda, Adaśku? Milczałem i przyglądałem się scenie zaciekawiony.

- Szkoda, że dla ciebie nie byłam wystarczająco piękna.

- Byłaś, Jadziu, byłaś... - bełkotał ojciec. - Ale... byłem głupi.

- I jesteś głupi - matka w końcu zmęczona przysiadła.

- Wiem. Co na to poradzę? Stało się.

- Właśnie.

- Gdybym mógł cofnąć czas... Wszystko to, co zrobiłem...

- Ale nie możesz - była wyraźnie zirytowana. - Zrobiłeś to, co zrobiłeś, i musisz ponieść tego konsekwencje. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

- Nie było warto, teraz to wiem... Wiesz, ja chyba czułem, że nie jestem cię wart - ojciec kulił się na krześle, a mnie nawet zrobiło się go żal.

- I dlatego odszedłeś do tej Katarzyny.

- Kariny.

- Mniejsza o nią.

- Tak, mniejsza - przyznał ojciec potulnie. - Była ze mną dopóty, dopóki miałem pieniądze.

- Wspaniale się bawiliście. Przehulałeś wszystko w dwa tygodnie. Tyle pieniędzy.

- Nie wiesz, co to jest hazard - ojciec zawstydział się. - To wciąga jak miłość.

- Miłość czyni dobro - powiedziała mama cicho, a mnie przeszedł dreszcz po plecach.

- Tak uważasz?

- Jestem o tym przekonana - patrzyła teraz na ojca z siłą, o jaką jej nie podejrzewałem.

- Mnie miłość zgubiła.

- Miłość czy pożądanie?

- Nie ma miłości bez pożądania.

- Mylisz się. Jest - mama huknęła pięścią w stół.

- Może nie jestem tak mądry, jak ty, ale w tym jednym na pewno mam rację - najwyraźniej ten gest ożywił ojca, wyrywając go z głębokiej defensywy. - Kiedy kochasz, chcesz mieć kogoś na własność. Miłość to coś bardzo złego. To choroba. Byłem chory.

- Wygodne wytłumaczenie - mama wstała i podeszła do okna

- Tak jest, Jadziu. Ty też dobrze o tym wiesz.

- Ja? - rzuciła, stojąc plecami do nas i wpatrując się uparcie w okno. - Mam czyste sumienie. Nie pożądałam niczego, co do mnie nie należało.

- Zazdroszczę ci - ledwo wyszeptał ojciec.

- Czego? - syknęła mama.

- Piękna... Wiary... Pewności... I zdolności zapominania.

- Zdolności zapominania?! Gdybym tak potrafiła zapomnieć! - odwróciła się gwałtownie. - Chociażby o tym, jak przysięgałeś mi miłość przed ołtarzem.

- Ty też mi przysięgałaś - ojciec podniósł się z krzesła. - I gdzie podziewa się teraz twoja miłość do mnie?

Mama podeszła i stanęła bardzo blisko niego.

- Umarła. Nie istnieje - rzuciła mu prosto w oczy.

- Dlaczego nie możesz pokochać znowu? - ojciec wytrzymał jej spojrzenie

- Ciebie? Nie ma cię - prychnęła.

- Rozumiem, ale są inni?

- Tak, jest wciąż Bóg, przed którym przysięgaliśmy wierność i uczciwość małżeńską - mama wróciła na swoje miejsce, ojciec też usiadł.

- Bóg! To tylko ludzki wymysł. Tak samo jak te wszystkie przysięgi.

- Może dla ciebie, ale nie dla mnie.

- Ciągłe jesteś taka świętoszkowata - wybuchnął. - To chyba dlatego że masz księdza w rodzinie.

- Czy muszę tego słuchać? Nie chcę, żebyś drwił z mojej wiary. Przepraszam... - szepnęła i wyszła do łazienki wyraźnie zdenerwowana. Wykorzystałem okazję i wkroczyłem do akcji.

- O co chodzi, tato? - podszedłem do ojca lekko oburzony. - Przecież mówiłeś, że masz młodą dziewczynę?

- A co miałem ci powiedzieć? Że jestem na dnie? Nikogo nie mam... prócz was.

- To po co ci ten rozwód?

- To tylko pretekst - machnął ręką.

- Do czego? - zapytałem jeszcze z rozpędu, chociaż już zdążyłem wszystko zrozumieć. - Chciałbyś wrócić?

Zamiast odpowiedzieć, spuścił tylko głowę. Mimo to widziałem, jak trzęsły mu się dłonie.

- Chciałbyś? - nacierałem.

- Tak... - bąknął pod nosem.

- Co? - udawałem, że nie dosłyszałem. Byłem dla niego bezwzględny.

- Tak - powtórzył tym razem wyraźnie. Poczułem się rozbawiony tą całą sytuacją.

- To jej powiedz.

- Sam widziałeś, jak zareagowała... - Powiedz jej.

- Teraz wiem, że to nie ma sensu. Na pewno wyrzuci mnie za drzwi.

- Powiedz, proszę - nalegałem, śmiejąc się.

- Nie potrafię.

Urwał, bo mama pojawiła się z powrotem.

- Janek - zwróciła się do ojca. - Ja nikogo z domu nie wypraszam. Nie wyganim nawet kotów, które do nas przychodzą. Ale teraz... Jestem zmuszona... Sam chyba rozumiesz...

Odwróciła głowę, byłem pewny, że płacze. Nigdy nie widziałem mamy takiej.

- Wyjdź - rzuciła w końcu. Ojciec wstał z godnością.

- Mamo, tato chce do ciebie wrócić - powiedziałem z trudem.

Mama zastygła.

- Słyszysz mnie? - pytałem. - On chce wrócić. Tato, powiedz, czy to prawda.

- Tak, ale...

- Chcesz wrócić do mamy? - zwróciłem się do ojca.

- Tak, chcę - odpowiedział bez wahania.

- W takim razie... - powiedziałem, wycofując się do wyjścia - zostawiam was samych.

Ich relacje wyglądały na strasznie skomplikowane. Ale i ja miałem masę swoich problemów. Dlatego porwałem z talerza kawałek ciasta drożdżowego i wybiegłem z domu. Wskoczyłem do auta i po półgodzinie byłem już na Saskiej Kępie u siebie.

Rozłożyłem się wygodnie na kanapie. Wybrałem numer Anity.

- Co z twoją mamą? - zapytałem.

- Lepiej. Zaczęła więcej jeść i pić.

- To super.

- Chciałam ci podziękować...

- Za co? - zbyłem to nonszalancko.

- Dobrze wiesz. Ja nie umiałabym być tak stanowcza. Nie wiem, jak długo potrwa przemiana mamy, ale dobre i to. Naprawdę dzięki. Bardzo mi... nam pomogłeś.

- Cieszę się, że mogłem się na coś przydać - krygowałem się niczym nastolatek.

- Masz jakieś wiadomości o Sebastianie? Dzwoniłam do szpitala, ale podobno już go wypisali.

- Tak, wypisali. Był już nawet u mnie w firmie. Na razie wygląda, że wszystko jest w porządku, chce pracować, ale musi poczekać, aż wygoją mu się rany na przegubach. W takim stanie nie może jeszcze prowadzić samochodu.

- Cieszę się, że tak szybko wróciła mu chęć do życia.

- Ja też. Jutro widzimy się na terapii?

- Jutro? - Anita była zaskoczona.

- A nie?

- To ty o niczym nie wiesz? Terapeuta jest chory. Zmartwiłem się. Obawiałem, że to koniec naszej grupy.

Dziwne, ale chciałem się jeszcze spotkać z tymi ludźmi.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - byłem szczerze zaniepokojony.

- Nie, nie - uspokajała mnie Anita. - To tylko zwykła grypa. Ma tydzień zwolnienia.

- Chwała Bogu, że tylko tydzień - odetchnąłem z ulgą.

- Ja też się cieszę.

- W takim razie zobaczymy się dopiero za tydzień?

- Jesteś bardzo zajęty? - spytała niepewnie; od początku czułem, że Anita chce coś powiedzieć.

- Nie tak bardzo. A o co chodzi? - spytałem ostrożnie.

- Moja mama chciałaby cię bliżej poznać. Może do niej wpadniesz?

- Z przyjemnością.

Jeszcze niedawno pomyślałbym, że Anita coś knuje, że ma wobec mnie jakieś plany, tak jak wcześniej Helena, ale teraz wierzyłem, że chodzi tylko o zwykłe, towarzyskie spotkanie.

Może Helena też nie miała złych intencji, tylko to ja byłem wobec niej podejrzliwy i zaczęła się bronić?

Muszę być mniej nieufny do ludzi, postanowiłem.

Ledwie skończyłem rozmowę z Anitą i odłożyłem słuchawkę, zadzwonił telefon.

- Dziękuję ci, synu - odezwał się ojciec. - Tylko tyle mam ci do powiedzenia. Z resztą chyba sobie poradzę.

- Fajnie. Gdybyś jednak...

- Będiesz pierwszą osobą, do której się zwrócę - ojciec wyraźnie się spieszył. - Teraz muszę wziąć się do roboty. Mam wiele spraw do naprawienia.

- Życzę ci powodzenia, staruszk.

- A może ty masz jakieś kłopoty, o których chciałbyś porozmawiać?

- Chyba nie - ciekawe, jak zamierzał nadrobić tyle lat w tak krótkim czasie. - Ale dzięki, że o mnie pomyślałeś.

- Dobranoc, chłopcze.

- Dobranoc... tato.

Byłem w bardzo dobrym nastroju. Poczulem się jak młody chłopak - lekki i zadowolony. Odzyskałem ojca, klarowność myśli. Postanowiłem zadzwonić jeszcze do mamy.

- Wszystko w porządku, mamó?

- Adam... - sprawiała wrażenie zaskoczonej. - Tak?

- Mam do ciebie prośbę... Nie rozmawiajmy jeszcze o pewnych sprawach... Wiesz, których.

- Dobrze - rozbawiło mnie jej zakłopotanie.

- Na razie nie potrafię, nie umiem...

- Rozumiem.

- Chyba powinniśmy od siebie trochę odpocząć, nie uważasz?

- Myślę, że to dobry pomysł - poparłem ją delikatnie.

- Nie zostawiam cię, w każdym razie nie na długo - tłumaczyła się nieporadnie - ale muszę... chciałabym zająć się swoimi sprawami.

- Doskonale. Popieram to.

- Kocham cię, synku, pamiętaj.

- Ja też, mamó. Zdzwońmy się za jakiś czas. Pa. Zrozumiałem, że mama tak kochała ojca, że była w stanie czekać na niego trzydzieści jeden lat.

O rany, a co, jeśli to rodzinne?

Za trzydzieści jeden lat będę miał prawie siedemdziesiątkę, czyli tyle, ile mój ojciec. A Agnieszka? Prawie pięćdziesiąt siedem, czyli tyle, ile... moja mama!

Zjadłem jogurt śliwkowy i ułożyłem się w jedwabnej piżamie w jedwabnej pościeli, z ramionami pod głową. Było mi bardzo dobrze. Mogłoby być jeszcze lepiej, ale...

Wydawało mi się, że znowu całą noc będę bił się z myślami i... wtedy właśnie zasnąłem błogim snem sprawiedliwego.

ROZDZIAŁ 3

Tydzień do kolejnej terapii zleciał błyskawicznie. Pewnie dlatego że miałem mnóstwo spraw do załatwienia i nie myślałem już o żadnych głupotach!

Przede wszystkim zająłem się Sebastianem. Chłopak szybko zrzucił bandaż. Zaczął pracować i widać było, że bardzo chce i się stara. Na razie podpisałem z nim umowę na okres próbny z pensją 1800 złotych netto. Był z tego powodu bardzo zadowolony. Po trzech miesiącach, gdy się sprawdzi, miał dostawać na rękę dwa i pół. Cieszył się jak dziecko, gdy mu to powiedziałem.

Bogdan, gdy go zobaczył w firmie, natychmiast zaczął o niego wypytywać.

- Co robi u ciebie Sebastian Andrzejak?!

- To ty go znasz? - zdziwiłem się.

- Oczywiście? Kiedyś zobaczyłem jego zdjęcie w kalendarzu z najpiękniejszymi polskimi lekkoatletami. Ma wspaniałe ciało.

- Nie zauważyłem, bo zawsze widuję go w ubraniu - spojrzałem cierpko na Bogdana.

- Uwierz mi. Myślisz, że on jest gejem? - pytał z nadzieją w głosie.

- Nie sędzę. Ma dziewczynę - powiedziałem to takim tonem, jakim wydaje się polecenie służbowe.

- Ja też miałem dziewczynę.

- Kiedy? - prawie krzyknąłem, bo nic mi nie było wiadomo na ten temat.

- W podstawówce. Roześmialiśmy się serdecznie.

- Żebyś tylko nie ważył się go podrywać! - pogroziłem mu palcem. - Bo cię zwolnię.

- Nie będę. Boję się go. Jeszcze mnie pobije - Bogdan wyraźnie kokietował.

- Chciałbyś.

- Może... - rozmarzył się. - Wszyscy hetero wydają się z pozoru tacy męscy, a gdy ich się pozna bliżej... Już wolę sobie wszystko wyobrazić, niż konfrontować z rzeczywistością.

- A co z twoim Jackiem? - przypomniało mi się. - Wyrzuciłeś go już z mieszkania?

- A czemu miałem go wyrzucić? - Bogdan nie krył oburzenia.

- No bo... strasznie na niego narzekałeś.

- I nadal narzekam. Ale co zrobić... Jaki jest, taki jest, ale jest! A tobie, widzę, humorek dopisuje? Znowu jesteś cynicznym łobuziakiem, co?

Uśmiechnąłem się przyjaźnie i... odesłałem go do pracy. Sam też musiałem się bardziej zakreślić wokół firmy. Na początku wiosny zanotowałem swoją pierwszą zawodową porażkę. Perfumy Demi miały katastrofalną sprzedaż, nikt nie chciał ich kupować. Wymyśliliśmy zimową promocję, w której woda toaletowa sprzedawana była w jednej cenie z dezodorantem, ale to nie za wiele pomagało. Perfumerie zwracały mi towar wzięty w komis. Straciłem na tym zapachu mnóstwo pieniędzy.

Tym razem nie miałem nosa, ale nie martwiłem się tym zbyt. Potraktowałem sprawę symbolicznie: katastrofa Demi zbiegała się z katastrofą w moim życiu osobistym. Te sprawy jakoś wiązały się ze sobą: w końcu Agnieszkę poznałem na promocji Demi. Musiałem usunąć Demi ze swojej hurtowni, a Agnieszkę ze swojego życia.

Nie było innej rady. Zacząłem się do tego powoli przyzwyczajać.

Postanowiłem, że jesienią wprowadzę na rynek jakiś nowy zapach. Nawiązałem w tej sprawie korespondencję z Guerlainem. Na razie sprawa wyglądała bardzo obiecująco.

Gdybym przejął tę markę, to dopiero byłby sukces! Zacierałem ręce.

W sobotę odwiedziłem mamę Anity w szpitalu na Banacha.

Pani Genowefa - bo tak miała na imię - wyglądała trochę lepiej. Okazało się, że jest emerytowaną nauczycielką. Przez prawie czterdzieści lat uczyła geografii w liceum Zamoyskiego.

- Czterdzieści lat pracy i ani jednego dnia zwolnienia!

- Nawet wtedy, kiedy mnie urodziłaś? - wtrąciła się Anita. Pani Genowefa uśmiechnęła się z triumfem.

- A właśnie że tak! Tak wszystko zaplanowałam, że urodziłaś się na początku sierpnia. - Pierwszego września byłam jak zwykle na rozpoczęciu roku szkolnego. Obowiązek to obowiązek. Tak naprawdę rozsypałam się, gdy przeszłam na emeryturę, i nie mogę się pozbierać.

- Wszystko będzie dobrze, pani Genowefo. Trzeba tylko chcieć.

- A co zrobić, jak się nie chce?

No właśnie? Na to pytanie nie mogłem odpowiedzieć matce Anity, bo sam je sobie zadawałem.

Przy wyjściu ze szpitala na Anitę czekał postawny brodac.

- To Krzysztof - przedstawiła go. - Mój facet.

Zaprosiłem ich na kolację do Tokio.. Było bardzo sympatycznie. Krzysztof był policjantem w stopniu komisarza i prowadził skomplikowane śledztwa w sprawach podatkowych. Wcale nie był krawężnikiem, jak mówiła mama Anity.

Anita i Krzysztof w rewanżu zaprosili mnie na kolację do siebie. Krzysztof chwalił się, że robi bardzo dobry bigos. Dawno takiego nie jadłem. Obiecałem, że wpadnę do nich niedługo.

Czułem się niewątpliwie lepiej, ale gdzieś z tyłu głowy tkwiła myśl, że z Agnieszką mi się nie udało. Dziewczyna

oddaliła się ode mnie, praktycznie już jej w ogóle nie było w moim życiu. Czasem wymienialiśmy ze sobą SMS - y, ale nie miały one już takiej temperatury i pojawiały się znacznie rzadziej.

Na moje trochę lepsze samopoczucie niewątpliwie miała także wpływ wiosna. Świeciło słońeczko, było cieplej, wszystko budziło się do życia.

Zamiast chodzić na siłownię, zacząłem biegać po parku. Forma powoli rosła. Próbowałem rozglądać się za nowymi dziewczętami, nawet z nimi flirtować, myśląc, że może sprawdzi się zasada klin klinem, ale nie mogłem zrobić kroku dalej - nie ta chemia.

Basia - do której zadzwoniłem - powiedziała, że stan wychodzenia z miłości może trwać nawet do siedmiu lat.

- Co? - niemal wykrzyknąłem do słuchawki.

- Tak to bywa, mój drogi. Słyszałeś chyba, ile związków i małżeństw rozpada się po siedmiu latach.

- A u ciebie ile to trwało? Kiedy przestałaś mnie kochać?

- Po sześciu latach i jedenastu miesiącach - wyrecytowała bez zastanowienia.

- Aż tak późno? I nic mi o tym nie powiedziałaś?

- Mówiłam, ale ty mnie nie słuchałeś - westchnęła głęboko. - A jeśli nawet, to mówiłeś tylko: „Przejdzie ci” albo: „Daj spokój, co ty we mnie widzisz?”.

- No i miałem rację.

- Miałeś. Trochę mi zajęło, żeby do tego dojść.

- Siedem lat i nic? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Nic. Seks jest nawet możliwy, ale niekonieczny.

- Kurczę blade... - bardzo się tym zmartwiłem, bo kto jak kto, ale Basia miała w tej kwestii doświadczenie. To znaczy, że zachce mi się, gdy będę miał czterdzieści pięć lat...

- Ożeń się i zrób dziecko. To dobry czas na wychowywanie dzieci.

- Ożenić się bez miłości? - nie kryłem oburzenia.
- I tak się w nikim innym teraz nie zakochasz, więc nie masz wyboru - Basia była bezwzględna.
- A jak znowu się zakocham za te siedem lat?
- To się rozwiedziesz. Albo będziesz miał żonę i kochankę. Jak się teraz postarasz, to twoje dziecko będzie miało sześć lat i pójdzie do szkoły.
- Wiesz, kiedy odszedł od nas ojciec, przysiągłem sobie, że ja czegoś takiego nie zrobię swojemu dziecku.
- Ja do niczego cię nie namawiam - ciągnęła Basia. - To twoje życie, zrobisz z nim, co zechcesz. Powiedz, jak twoja terapia? - zmieniła temat.
- W porządku. Dziękuję. Kolega z pracy polecił mi świetny ośrodek. Jeszcze niedawno zupełnie inaczej myślałem o takich spotkaniach.
- To dobrze. Tylko o jednym pamiętaj: nie rzucaj jej zbyt wcześnie. Wiem, czasem się wydaje, że to nic nie daje, że poradzisz sobie sam, ale nigdy nie wiadomo, kiedy dopadnie cię kryzys. Wiem, bo sama to wszystko przechodziłam.
- Dobrze, kochanie - ni stąd, ni zowąd zaczęła się głupio śmiać. - Z czego się śmiejesz? - spytałem, bo trochę mnie to poirytowało.
- Bo powiedziałaś do mnie: „kochanie”. Kiedyś napisałabym z tej okazji wiersz, a teraz... mam ochotę się rozłączyć. Cześć.
- Cześć.
- Kolejną niedzielę miałem zarezerwowaną dla Iwony. Mieliśmy pójść na obiad do jej rodziców. Wrócili w końcu z Australii i chwalili się, że przywieźli ze sobą mnóstwo win i smakołyków.
- Zapraszamy cię na australijską niedzielę!
- Przyjąłem zaproszenie i zacząłem się poważnie zastanawiać, czy przy okazji nie poprosić ich o rękę Iwony?

Dużo o tym ostatnio rozmyślałem. W końcu nie było nam aż tak źle. Po ślubie mogło wszystko się ułożyć. Jakieś dziecko - a najlepiej dwoje - mogło scementować związek.

Na wszelki wypadek włożyłem do kieszeni puzderko z pierścieniem zaręczynowym z siedmioma brylancikami.

Na szyję założyłem łańcuszek - prezent od Iwony. W końcu zabrałem go od mamy. I to w ostatniej chwili - ojciec zastanawiał się od pewnego czasu, czy go nie założyć. Bywał u mamy coraz częściej. Właściwie to u niej zamieszkał.

Regina i Włodek, rodzice Iwony, przywitali nas serdecznie. Oboje byli szczupli i opaleni. Aż miło było popatrzeć.

Za dwadzieścia lat ja i Iwona możemy wyglądać podobnie, pomyślałem.

Regina trzymała w dłoni tacę z małutkimi kromeczkami chleba, którymi nas częstowała.

- Co to jest? - zapytałem.

- Kanapki z vegemitem. Spróbujcie. Australijczycy jedzą to bez przerwy.

- Ale pycha! - zachwycała się Iwona.

- Smakuje jak asfalt albo smoła - powiedziałem, odgryzając kęs, na szczęście mały.

- Przyzwyczaisz się, tak jak ja - mówił Włodek, podając mi szklaneczkę. - Dwunastoletni glenfiddich ze strefy wolnościowej.

- Wasze zdrowie, kochani - wygłosił toast.

Nie przepadam za whisky, ale wypilem łyk. Cóż, najprawdopodobniej tak wygląda właśnie małżeństwo - trzeba się przyzwyczajać.

Wręczyli nam prezenty. Ja dostałem bumerang, a Iwona wełniane kozaczki z firmy Emu. Australijskie elegantki przechadzały się w nich po plaży, Iwona zaś zaczęła chodzić

w nich po mieszkaniu swoich rodziców. Poszedłem w jej ślady i wypróbowałem bumerang.

- Co ty robisz! - krzyczał Włodek, kiedy bumerang utknął w żyrandolu. - To nie tak się rzuca!

Wszedł na krzesło, zdjął bumerang i rzucił przed siebie. Bumerang wypadł przez okno, ale nie wrócił.

- Potem go znajdziemy - powiedział, odpalając komputer, żeby pokazać nam fotki z Australii.

Iwona krzyczała z zachwytem:

- To wy tam wszędzie byliście? Niemożliwe!

- Naszym zdaniem Australia to idealne miejsce na podróż poślubną - powiedziała mama Iwony.

Milczałem taktownie, obracając w kieszeni pudełko z pierścionkiem. Jeszcze nie teraz: zaczekam z oświadczeniami do deseru.

Ślęczeliśmy przed komputerem chyba ze dwie godziny, aż zaczął boleć mnie kręgosłup. Tata Iwony zrobił 2486 zdjęć. Tak, nie pomyliłem się: 2486!

- Zapraszam do stołu - zawołała Regina.

No, nareszcie, pomyślałem, bo zaczynałem być głodny.

- A to co takiego? - zapytałem, gdy dostałem na talerzu jaką bryję.

- Singapurskie noodels!

- Czyli? - uparcie się dopytywałem.

- Po prostu makaron z warzywami - wyjaśniła Regina, ale w niczym nie zmieniło to mojego dystansu do podanej potrawy

- Dziękuję, mam, że o mnie pomyślałaś! - cieszyła się Iwona, która od niedawna była wegetarianką.

Singapurskie kluchy smakowały jak potrawka z opon samochodowych, na szczęście nie było ich dużo. Zjadłem swoją porcję z zamkniętymi oczami, po czym Regina podniosła przykrywkę wazy.

- Teraz czas na zupę cytrynową.

Był to ryż na mleku, do którego wciśnięto sok z cytryny, żeby się zwarzył.

- Pycha! - twierdziła Iwona. - Musisz mi dać przepis.

- Koniec z rosółem! - obwieścił Włodek. - Niech żyje zupa cytrynowa!

Na drugie danie podano potrawkę ze strusia, z legalnej hodowli, jak mnie zapewniano.

- Ja tego nie ruszę - zarzekła się Iwona. Potem jednak postanowiła spróbować.

- Daj mi troszeczkę. Nigdy nie jadłam strusia.

Smakował jej tak bardzo, że szybko zjadła całą moją porcję.

Potem jedliśmy deser Pawiowej. Niestety, ciężko się kroił. Dostałem na talerzu pokruszoną bezę polaną jakimś sosem.

- Nie miałam oryginalnych spodów bezowych - powiedziała Regina. - Tamte są bardziej miękkie. Ale chyba wam to nie przeszkadza?

- Ależ skąd, mamusiu - zapewniała ja Iwona.

- A co to jest, to na wierzchu? - zaciekawilem się.

- Passionfruit w syropie z puszki.

- Intrygująca nazwa... - Iwona rzuciła się na talerz. - To coś dla mnie.

Do obiadu popijaliśmy australijskiego - oczywiście - rieslinga. Nawet on mi nie smakował. Po deserze chciałem się napić espresso, ale dostałem latte - Regina kupiła niedawno nowy expres do kawy i chciała go koniecznie wypróbować.

Z każdą chwilą miałem mniejszą ochotę na ślub z Iwoną. Pierścionek spoczywał bezpiecznie w mojej kieszeni.

Przy kawie Włodek nagle zaczął chrapać. Jego nieodrodna córeczka natychmiast przykryła go pledem.

- Biedny tatusiek... - wyszeptała słodko.

- Ciągłe nie możemy przestawić się na polski czas - tłumaczyła go Regina, ziewając. Wkrótce i ona poszła się położyć.

- To ja już wrócę do siebie - oświadczyłem. - Podziękuj mamie za doskonały obiad.

- Już idziesz? - Iwona była niemile zaskoczona. - Zostań. Obejrzymy jeszcze raz zdjęcia taty.

Wszystko, tylko nie to!

- Mam robotę na jutro - skłamałem i pożegnałem się. Iwona została, bo chciała później pogadać z mamą o babskich sprawach.

W drodze powrotnej zastanawiałem się jednak, czego ja właściwie chcę? Czy małżeństwo to herbatka u angielskiej królowej z szampanem i ciasteczkami? Czy nie za dużo oczekuję od życia? Owszem, byłem w niebie, może teraz wypadałoby zstąpić na ziemię?

Wieczorem Iwona przysłała mi SMS - a o treści: „Rodzice są tobą zachwyceni”.

„Dlaczego? - odpisałem. - Przecież nic nie robiłem. Prawie się nie odzywałem”.

„Właśnie dlatego. Kiedyś byłeś taki przemądrzały, że mój ojciec nie mógł cię znieść. Teraz cię akceptuje. Mama też. Czy to nie cudowne?”

„Chyba tak”, odpisałem.

„Chcę mieć z tobą dzidziusia!”, tak brzmiał kolejny SMS. Postanowiłem, że nie będę podejmował tego tematu.

„Jestem potwornie zmęczony. Idę już spać. Dobranoc”.

„Kolorowych snów”.

Niestety, śniły mi się koszmary: olbrzymi bumerang uciał mi głowę. Mimo to żyłem. I moja głowa też. Podzieliłem się na dwa oddzielne byty. Brrr!

Na szczęście nazajutrz była terapia. Czułem, że bardzo jej potrzebuję.

Przyszli wszyscy. To był dobry znak. Byłem gotowy do zagrania swojej wielkiej roli. Poprzednim razem mi nie wyszło.

- Porozmawiajmy dzisiaj o Sebastianie - zaproponował Terapeuta. - O tym, co się ostatnio wydarzyło w jego życiu...

Podniosłem rękę.

- Przepraszam, ale chciałbym coś powiedzieć.

- Słuchamy cię, Adam.

Przełknąłem ślinę, zacisnąłem dłonie i zastanowiłem się jeszcze przez chwilę, czy na pewno tego chcę?

- Mam na imię Adam i chciałbym umrzeć, bo się nieszczęśliwie zakochałem...

No, a potem opowiedziałem im o sobie i Agnieszce, wyrzuciłem z siebie wszystko. Nie wiem, ile to trwało, bo straciłem poczucie czasu. Nikt mi nie przerywał.

Zauważyłem, że wszyscy wpatrywali się we mnie zafascynowani. A ja mówiłem, mówiłem, mówiłem... Niekiedy sam wzruszałem się swoją opowieścią. Kiedy skończyłem, zapadła cisza, a potem... rozległy się oklaski. Wszyscy wstali, podeszli do mnie i zaczęli mnie obściskować.

- Bravo! - wołała gorączkowo Anita.

- Moje gratulacje? - powiedział Sebastian.

- Zaimponowałaś mi - wyznał Wiktor.

- Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewał - rzekł Andrzej.

- A ja tak - wtrącił się Terapeuta.

- Przepraszam - tłumaczyła się Helena. - Tak mi wstyd. Wybaczysz mi? Zostaniemy przyjaciółmi?

Jej pies rasy york, z którym się ostatnio nie rozstawała, lizał mi twarz.

- Teraz już wiem, o czym będzie moja następna książka - cieszyła się Matylda. - Nie martw się. Zmienię wasze imiona. Ty będziesz Fryderykiem, a Agnieszka Malwiną...

Atmosfera zrobiła się ciepła i serdeczna. Każdy zastanawiał się teraz, jak mi pomóc, jakby sami nie mieli swoich kłopotów. Byłem lekko oszołomiony. Do moich uszu dolatywało tyle dobrych rad, że nie byłem w stanie zarejestrować, kto i co mówi.

- Rzuć ją w cholere, chłopie.
- Na świecie jest dużo fajnych lasek.
- Musisz być teraz wyjątkowo twardy.
- Może to jednak nie ona jest twoim przeznaczeniem?
- Miłość jest najważniejsza!
- Czas jest najlepszym lekarzem, pamiętaj.
- Powinieneś przynajmniej z nią porozmawiać i wszystko wyjaśnić. Będziesz miał wtedy czyste sumienie.

Ta ostatnia rada najbardziej przypadła mi do serca, udzielił mi jej sam Terapeuta.

Potem musiałem obiecać uroczyście, że zacznę robić porządek w swoim życiu emocjonalnym. Wszyscy obiecywali, że będą trzymali za mnie kciuki. Było tak fajnie, że na koniec udaliśmy się do herbaciarni Zakątek na Chmielnej. Tam dałem się namówić na kieliszek domowej nalewki, potem drugi i trzeci...

Kiedy lekko podchmielony wychodziłem z Zakątka, dopadła mnie Teresa i zaczęła okładać torebką.

- To byłeś ty! Ty łobuzie! A masz! A masz! A masz! Nie miałem pojęcia, co jej odbiło. Chyba tak jak ja wypła za dużo nalewki.

- O co ci chodzi? - pytałem, broniąc się przed kolejnymi razami.

- To ty mnie oszukałeś. Wszystko się zgadza. Pasujesz idealnie do jego rysopisu.

- Czyjego?

- Tego oszusta. Powinnam od razu się domyślić. On też jeździł jaguarem. Miał firmę. Wprawdzie handlował komputerami, ale to prawie to samo. No i był blondynem.

- Ja nie jestem blondynem - protestowałem.

- Mogłeś przesłać fałszywe zdjęcie.

- Teresa, błagam, nie histeryzuj. To nie byłem ja... - próbowałem zapanować nad sytuacją.

A Teresa nagle zaczęła płakać.

- Wiem, że nie ty... Ale na kimś muszę się wyżyć.

- No to proszę, wyzywaj się. Jeśli ci to pomoże. Odśloniłem się, ale już mnie nie uderzyła. Przytuliłem ją.

- Tak trudno rozstać się z marzeniami - łkała mi w ramionach. - Za coś takiego powinno być więzienie! Nie wolno grać na ludzkich emocjach.

- Masz rację. Nie wolno - przyznałem.

- Myślisz, że ja jeszcze kogoś spotkam?

- Na pewno - wierzyłem w to.

- Chciałabym kogoś tak fajnego jak ty.

- Ja nie jestem fajny - próbowałem oponować.

- Jesteś. Potrafisz kochać. Zupełnie jak nie facet, bo większość facetów jest beznadziejna.

- Każdy facet potrafi. Trzeba tylko dać mu szansę.

- Ja dałam i co? W ogóle się nie pojawił... Znikł.

- Moja Agnieszka też zniknęła - westchnąłem. - Wszyscy jedziemy na tym samym wozie.

- Jak to dobrze, że się poznaliśmy na tej terapii.

Odwiozłem ją taksówką na Bródno, bo nie miała samochodu. Nie dałem się zaprosić na górę, ale obiecałem, że przy jakiejś okazji zabiorę ją razem z córeczką nad Jezioro Zegrzyńskie.

Wróciłem do domu naładowany pozytywną energią. Postanowiłem nie czekać dłużej. Zrobiłem kilka głębokich

wdechów, położyłem się na kanapie i zadzwoniłem do Agnieszki.

- Cześć, to ja - odezwałem się banalnie, ale zupełnie nie wiedziałem, jak zacząć.

- Cześć - wydawała się zaskoczona.

- Możesz rozmawiać?

- Mogę... - odpowiedziała niezbyt przekonująco.

- Co słychać? - głupiej zagaić chyba się nie dało.

- W porządku. A u Ciebie? - odpowiadała niby prosto i naturalnie, ale wyczuwałem zmęczenie w jej głosie.

- Też w porządku.

- No to świetnie.

Nie wytrzymała tych letnich bzdur, ale nie chciałem wybuchnąć.

- Co robisz w najbliższy weekend? - zachowywałem spokój.

- Nic.

O Jezu, nie wiedziałem, co to może znaczyć, jak to odczytać?

- Jesteś w Krakowie? - czułem, że idzie mi nieźle.

- Tak - znów padła krótka, sucha odpowiedź. Nie wróżyło to najlepiej.

- Przyjeżdżam w piątek do Krakowa - zagrałem w banque.

- Po co? - to chyba nie było przyjazne pytanie.

- Załatwić parę służbowych spraw. Mam nadzieję, że nie wyczuła, że ściemniam.

- Aha... - odrzekła.

Przyznam, że liczyłem na więcej entuzjazmu z jej strony.

- Może się spotkamy? - brnąłem dalej, radząc sobie dzielnie.

- A chcesz? - cholera jasna, jak się już zapytałem, to jasne, że chcę.

- Chcę - odpowiedziałem stanowczo i z ulgą przełknąłem ślinę.

- Dobrze, ale nie możesz zatrzymać się u mnie - odpowiedziała chłodno niczym pracownica urzędu skarbowego. - Moja siostra...

- Nie miałem takiego zamiaru - przerwałem jej. - Będę miał zarezerwowany hotel.

- Może pomoc ci coś znaleźć? - nareszcie okazała cię zaangażowania.

- Nie, poradzę sobie. Kiedy będziemy mogli się spotkać?
- w głosie zachowywałem spokój, choć w środku się gotowałem.

- A kiedy chcesz? - zapytała. A ja miałem tylko jedną odpowiedź: natychmiast!

- W piątek wieczorem? - siliłem się na spokój.

- To jak się umówimy? - zdała się na mnie. Tylko na to czekałem.

- Zadzwoń jeszcze do ciebie i powiem, w którym hotelu się zatrzymałem.

Na koniec postanowiłem, że potrzymam ją trochę w niepewności. Niech wie, że niby aż tak bardzo mi na niej nie zależy.

- O której mniej więcej przyjedziesz? - dopytywała się.

- Wieczorem. Myślę, że około dwudziestej.

- Będę na ciebie czekała. - O rety!!! Przyjdzie po mnie.
Czułem, jakbym wygrał ważną bitwę

- To do usłyszenia - zachowywałem obojętność do końca.

Kiedy odłożyła słuchawkę, chciałem krzyknąć: yes, yes, yes, ale szybko dopadło mnie mnóstwo wątpliwości.

Chciała się ze mną spotkać, to fakt, ale przecież nie usłyszałem nawet cienia radości w jej głosie. Nic, tylko chłód i obojętność.

A jednak wyjdzie po mnie na dworzec. Zgodziła się na spotkanie...

Tylko po co?

Może zrobiła to z poczucia przyzwoitości? Z obowiązku?

Chyba nie...

Chciała mi pomóc z hotelem.

Może traktuje mnie teraz już tylko po koleżeńsku? Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

To oczywiście nie była prawda, że miałem dosyć. Chciałem bardzo, aby moja historia z Agnieszką trwała nadal. Pierwszy raz potrzebowałem kogoś tak bardzo. Tęskniłem. Kochałem.

Tak, kochałem.

Ale obawiałem się, że to, co już było, nie wróci, że już nigdy nie spotkam kogoś takiego jak ona.

Dlatego musiałem do niej pojechać, stanąć obok niej, spojrzeć jej prosto w twarz.

Chociaż nie znośłem Krakowa, nie mogłem pozostawić tej historii bez zakończenia. Jeśli nie będzie mnie chciała, trudno. W najgorszym razie spotkamy się, wymienimy się grzecznościowymi formułkami i ostatecznie się rozstaniemy.

Jeszcze raz lepsza najgorsza prawda od niepewności.

W piątek miałem poznać prawdę. Tylko jak przeżyć do piątku?

ROZDZIAŁ 4

Ale jakoś przeżyłem. Następnego dnia zadzwoniła do mnie Magda Gessler.

- Otworzyłam kolejną restaurację, tym razem z kuchnią hiszpańską.

- No, nareszcie.

Dziwiłem się, dlaczego Magda do tej pory tego nie zrobiła, w końcu spędziła kawał życia w Hiszpanii. Często kłóciłem się z nią na temat wyższości kuchni włoskiej nad hiszpańską - to było moje zdanie. Magda oczywiście uważała, że jest odwrotnie.

- Dlaczego nie byłeś na otwarciu? - spytała z wyrzutem. - Wysłałam ci zaproszenie.

- Przepraszam, ale byłem potwornie zajęty - wykręcałem się, bo od pewnego czasu unikałem wszelkiego rodzaju otwarć i promocji. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego.

- Wpadnij na kolację, poznasz mojego hiszpańskiego kucharza, pogadamy.

- Gdzie to jest?

- Na Nowym Świecie.

Nagle nabrałem ochotę na el jamon, tapas, gazpacho, paellę, rzuciłem więc w kąt papiery i pojechałem do Śródmieścia.

Samochód zaparkowałem na Smolnej i ruszyłem na spacer po Nowym Świecie. Knajpa Magdy znajdowała się w bramie 54/56, więc bliżej Krakowskiego Przedmieścia niż ronda de Gaulle'a. Byłem tak głody, że aż burczało mi w brzuchu. Przyspieszyłem kroku, minąłem bramę, skręciłem w lewo, zbiegłem po schodach w dół i... znalazłem się w jakiejś rupieciarni. Przy wejściu kręcił się koleś cały w tatuażach i kolczykach.

- Przepraszam, czy to jest restauracja Magdy Gessler?

- Nie, knajpa jest obok - rzucił niedbale.

- Aha, dzięki.

Wbiegałem z powrotem po schodach, ale nagle się zatrzymałem, bo usłyszałem... Kurczę, nie wierzyłem swoim uszom, ale to było Pretty Vacant starych, dobrych Pistolsów!

Wróciłem do koleś, który w rękę trzymał tak dobrze mi znaną różową kopertę - dopiero co włożył płytę pod igłę.

Rozejrzałem się po wnętrzu tonącym w półmroku. Dopiero teraz zauważyłem, że to antykwariat z płytami, głównie winylami. Ogarnęło mnie dziwne podniecenie, wróciły wspomnienia sprzed lat.

- Lubisz to? - zapytał koleś, młodszy ode mnie z pięć - naście lat.

- A ty?

- Niezłe. Dopiero to odkrywam. Muszę się wsłuchać.

- A ja znam każdy kawałek.

Zacząłem się wydzierać razem z Johnnym Rottenem. Koleś był pod wrażeniem. Był pod jeszcze większym, kiedy kupiłem wszystkie płyty Pistolsów, jakie miał, wyłączając jednak krążki CD, bo ta muzyka kojarzyła mi się wyłącznie z winylami.

Zamiast hiszpańskiej kolacji miałem wieczór z płytami zagryzany suchymi bułkami z ogórkiem konserwowym, bo tylko to znalazłem w kuchni.

Postawiłem włosy trochę a la Johnny „Zgniłek” (Rotten). Wyciągnąłem z szafy starą rakietę do tenisa i skacząc po obrzydliwie drogiej kanapie, wydzierałem się i udawałem, że jestem na scenie. Poczulem się jak młody bóg. W końcu wyczerpany padłem na podłogę i zacząłem się śmiać sam z siebie. Zachowywałem się jak szczeniak, ale tak dobrze nie było mi od dawna. Czekałem na ten moment wiele lat. W końcu miałem ten swój Jarocin, który przeszedł mi koło nosa dwadzieścia trzy lata temu. Nagle wszystko wróciło na swoje miejsce. Ojciec, matka, dzieciństwo.

Wybaczam wam wszystkim, wyszeptałem i zasnąłem na podłodze.

Następnego dnia rozpocząłem przygotowania do wyjazdu. Najpierw załatwiłem sobie hotel. Dawno nie nocowałem w Krakowie. Ostatni raz byłem tam dwadzieścia pięć lat temu, kiedy zabrał mnie na wycieczkę wujek Leon, który przy okazji pokazywał najciekawsze miejsca w Polsce swojej żonie Sarze - potem razem byliśmy jeszcze w Trójmieście i we Wrocławiu. Nocowaliśmy w hotelu Holiday Inn, który w 1981 roku był w Polsce szczytem luksusu.

Teraz znajomi polecali mi hotel Pod Różą na Floriańskiej, ale chciałem pokój w Sheratonie z widokiem na Wisłę. Skusiło mnie to, że ten hotel miał porządny basen.

Przynajmniej sobie popływam, jeżeli spotkanie z Agnieszką okaże się niewypałem, pomyślałem praktycznie.

Zastanawiałem się, jaki wziąć pokój - pojedynczy czy podwójny? Wszystko wskazywało na to, że będę spać sam, ale ostatecznie wziąłem dwójkę, za to z jednym królewskim łóżem.

Postanowiłem, że pojedę do Krakowa pociągiem i żeby uniknąć niechcianego towarzystwa, wykupiłem dla siebie cały przedział pierwszej klasy.

Postanowiłem również postawić się do pionu pod względem fizycznym. W ostatnim czasie trochę się zaniedbałem. Zapuściłem dłuższe włosy, nie goliłem się tak często jak kiedyś, zapomniałem usunąć włosy na plecach. Dawno nie byłem też na masażu i u kosmetyczki, moje paznokcie u rąk i nóg przestały być perfekcyjne. Przykro było patrzeć w lustro. Dlatego cały dzień spędziłem na wszelkich możliwych zabiegach w Instytucie Thalgo.

Kiedy wróciłem wieczorem do domu, czułem się bosko. Przypomniałem sobie, że następnego dnia byłem umówiony z

Andrzejem „Płaczkiem” na ryby. Zadzwoił do mnie dwa dni wcześniej i zaproponował wspólną wyprawę.

Nieoczekiwanie dla siebie zgodziłem się, choć nie miałem zielonego pojęcia o wędkowaniu. Umówiliśmy się, że wyruszymy o czwartej rano. Andrzej był na tyle przezorny, że zaoferował, iż po mnie przyjedzie, w przeciwnym wypadku nie wstałbym z łóżka. Spałem w najlepsze, kiedy usłyszałem dzwonek domofonu. Nie zjadłem śniadania, nie umyłem się, tylko wskoczyłem najpierw w byle jakie ubranie, a zaraz potem do skody Andrzeja, który czekał pod moim domem. Po godzinie zajechaliśmy do miejscowości o pięknej nazwie Nadzieja, leżącej nad Pilicą, gdzie mieliśmy łowić.

Nie miałem pojęcia o wędkowaniu, nie miałem też żadnego sprzętu, ale Andrzej przygotował wszystko, nie tylko wędkę, spławiki i przynęty, ale także termosy z herbatą i kanapki.

Było zimno i ciemno, a ja siedziałem półprzytomny z niewyspania na krzeselku turystycznym z kijem zamoczonym w wodzie. Andrzej siedział 50 metrów dalej, wpatrując się w tafłę wody i od czasu do czasu zapalając papierosa.

Dziwny był to człowiek, nieodgadniony. Prawie się nie odzywał. Kiedy tylko spoglądałem w jego stronę, pytał od razu: „Masz coś?”.

Najpierw krzychałem: „Nie!”, ale kiedy położył palec na ustach, odpowiadałem tylko przeczącym ruchem głowy. Trwało to tak mniej więcej do godziny siódmej - ósmej. Wtedy coś zaczęło szarpać moją wędkę.

- Chyba coś się do mnie przyplątało - zawołałem do Andrzeja.

- No to wyciągaj!

Okazało się, że złowiłem sporego suma! Potem jeszcze jednego, już mniejszego. Trafiły mi się też dwie płotki.

- Nieźle - ocenił Andrzej, podając mi swoją piersiówkę.

- Co to? - zapytałem dumny ze swoich wędkarskich osiągnięć.

- Żołądkowa gorzka - wyjaśnił.

Nigdy jej nie próbowałem, dlatego ostrożnie pociągnąłem łyk. Okazało się, że smakowała rewelacyjnie.

- Ale dobre - zachwyciłem się.

- Dla mnie jest lepsza niż lekarstwo - powiedział z uśmiechem Andrzej.

Wypiliśmy jeszcze po małym łyczku i wtedy zrobiło się całkiem przyjemnie, chociaż ryby przestały brać. Po dziesiątej Andrzej zaczął składać krzeselka.

- Już jedziemy? - spytałem zawiedziony, bo siedzenie nad rzeką zaczęło mi się podobać.

- Już nic nie złowimy, za duży hałas się robi. Ale jak chcesz, to mogę cię kiedyś zabrać na węgorze.

- Tylko co z tym zrobimy? - zapytałem, patrząc na nasze ryby wijące się w wiadrze z wodą.

- Wrzucimy z powrotem do rzeki - odpowiedział Andrzej jak gdyby nigdy nic.

- To po co je złowiliśmy? - nie bardzo mogłem pojąć, o co tu chodzi.

- Dla sportu. Ale jeśli chcesz je zjeść... - podał mi siatkę z rybami.

- Nie. Myślałem, że ty chcesz.

- Nie tknąłbym tego. Nie lubię jeść ryb.

W domu byłem z powrotem około pierwszej. Nie chciało mi się iść do biura, położyłem się więc na kanapie, żeby odespać wcześniejszą pobudkę.

Po południu pojechałem na Chomiczówkę do wuja Marcina. Wujek nie pracował już w parafii, ale zachował swoje mieszkanie, które znajdowało się w pobliżu.

- Myślałem, że już nigdy do mnie nie przyjedziesz - powiedział wujek z wyrzutem.

- Przecież niedawno widzieliśmy się na obiedzie u mamy.
- Dobrze wiesz, że to nie to samo. Powiedz, Adam, co cię gnębi? - zapytał, nalewając sobie kieliszek koniaku, który był zresztą prezentem ode mnie. Przywoziłem wujowi z każdej wyprawy lotniczej dwie - trzy butelki dobrych trunków. Wujek dawał je w prezencie lekarzom, którzy go leczyli. Część jednak zachował w swoim barku.

Mnie poczęstował kawą.

- To co zwykle. Praca, praca, praca...
- A życie osobiste? - zapytał z troską.
- W porządku - skłamałem, ale to była przecież przyjacielska pogawędka, nie spowiedź.
- Na pewno?
- Tak - zapewniłem go, ale chyba nieprzekonująco.
- A mnie się wydaje, że coś jest nie tak. Oddalasz się ode mnie. Nigdy nie byłeś taki...

Była to prawda. Nie chciałem go jednak wprowadzać - jeszcze nie - w historię z Agnieszką. Przypuszczałem, że nie spodobałoby mu się to, co zrobiłem.

- Martwię się bardziej mamą - znalazłem wykręt. - Ta cała historia z powrotem ojca. Co o tym myślisz, wujku?

- Cóż... Znam twojego ojca dłużej niż ty. Nigdy mu nie ufałem, ale ludzie się zmieniają. Pożyjemy, zobaczymy, co z tego urośnie.

Zjedliśmy razem kolację - wujek dobrze gotował. Wychodząc, przyznałem się, że wybieram się do Krakowa.

- Z Iwoną?
- Nie - byłem zaskoczony jego pytaniem. - Sam.
- Po co? - wujek najwyraźniej wiedział więcej, niż mówił.
- Przemyśleć parę spraw.
- Chcesz o tym porozmawiać?
- Nie teraz. Jak wrócę.
- Trzymam cię za słowo.

Nie potrzebowałem rady, bo wiedziałem, co teraz mam zrobić, a być może będę potrzebował wsparcia.

- Zaczekaj. Zanim pójdziesz, chciałem ci coś powiedzieć. Sara, ciocia Sara... - zawiesił głos zakłopotany.

- Ciągle o niej myślisz wujku?

- Zastanawiam się często, jak by wyglądało moje życie, gdybym jej, jak wy to mówicie dzisiaj, nie odpuścił.

- Myślałem, że Sara wolała wujka Leona?

- Nie - pokręcił przecząco głową. - On o nią walczył, a ja... poddałem się.

Dało mi to wiele do myślenia. Dopilem kawę, pożegnałem się i podszedłem do samochodu. Pod wycieraczką leżała kartka. Byłem przekonany, że to ulotka agencji towarzyskiej. „Tego jeszcze nie widziałeś! Dorota Masłowska - Paw królowej. Nareszcie w teatrze!” - przeczytałem jej treść, po czym zmiałem i wyrzuciłem do kosza, co zawsze robię z ulotkami.

Tak jak przypuszczałem, prawie przez całą noc nie zmrużyłem oka. Zaskodziła mi wcześniejsza drzemka oraz to, że przez cały czas układałem sobie w głowie rozmowę z Agnieszką.

- Będę w Krakowie około dwudziestej. Jadę pociągiem o 17.05 - powiedziałem do Agnieszki.

- Dobrze, będę na ciebie czekała. Tym razem ja! Zaskoczył mnie entuzjazm w jej głosie, tak inny od chłodu podczas ostatniej rozmowy. A może cieszy się, że to nasze ostatnie spotkanie? Stary nudziarz daje jej spokój...

O 17.05 zamknąłem się w przedziale. Pociąg był przepełniony, ludzie stali na korytarzach i patrzyli na mnie jak na zbrodniarza. W końcu zdecydowałem się wpuścić do siebie młodą kobietę z laptopem i szybko tego pożałowałem.

Kobieta najpierw spokojnie pisała coś na komputerze, a potem przez godzinę rozmawiała przez komórkę.

Nie chciałem słuchać jej wynurzeń, wyszedłem więc do warsu i na stojąco wypilem lurowatą kawę.

Nie ma co, nieźle się zaczyna, pomyślałem.

A na dworcu w Krakowie było jeszcze gorzej. Agnieszki nigdzie nie było. Czekałem przez chwilę na peronie, po czym zawiedziony udałem się sam do budynku dworca, wybierając jej numer w komórce, ale nikt nie odbierał. Chciałem wezwać taksówkę, ale okazało się, że nie mam pieniędzy, tak bardzo przyzwyczailem się do płacenia kartą kredytową. W pobliżu kas zauważyłem bankomat, chciałem pobrać trochę gotówki, nie pozwolił mi na to jednak odór panujący we wnętrzu. Szybko uciekłem na świeże powietrze.

- No i czym się szczycą te krakusy? - pytałem, patrząc na obrzydliwe stragany przed dworcem i jeden wielki plac budowy, który witał każdego, kto wysiadał w tym mieście.

Byłem wściekły. Wyglądało na to, że Agnieszka znowu wystawiła mnie do wiatru.

Dobrze, skoro tak, jadę do hotelu, postanowiłem. A jeśli zadzwoni, to umówię się z nią na kawę w jakieś knajpie i powiem: „Farewell, miss Agnieszka, farewell”, jak powiedział w Lalce Wokulski pannie Izabeli Łęckiej. Przenocuję w Sheratonie, a rano wrócę wolny do Warszawy. Wspaniale!

Zastanawiałem się nawet, czy nie wziąć taksówki do samej Warszawy, bo nie miałem ochoty przeciskać się przez smrodliwy dworzec. W tym momencie Agnieszka przysłała mi SMS - a, że utknęła w taksówce w korku i że zaraz będzie. Oddzwoniłem do niej i umówiliśmy się na postoju po drugiej stronie dworca. Wkrótce pojawiła się tam zdyszana.

- Cześć - cmoknęła mnie w policzek na powitanie i poprowadziła do taksówki, którą przyjechała. - Przepraszam za spóźnienie, ale w mieście są straszne korki, a ja musiałam załatwić coś wcześniej na drugim końcu miasta.

- No widzisz, jak wygląda twój ukochany Kraków? Zapadł już zmierzch, siąpił deszcz, ulice były zakorkowane, zatłoczone ludźmi. Koszmar!

Przyjrzałem się Agnieszce. Nie wiem, dlaczego myślałem, że będzie smutna i zaniedbana. Ona zaś promieniała i wyglądała rewelacyjnie. Lekko ścięła włosy, miała też na sobie nieznane mi ciuszki. Widocznie powodziło jej się nie najgorzej.

- Fajnie wyglądasz - zagadnęła. - Lepiej niż przedtem.

- Tak? - zdziwiłem się przyjemnie. Chciałem, żeby powiedziała więcej na ten temat, ale nie bardzo mogliśmy rozmawiać, bo taksówkarz zaczął marudzić: niechybny znak, że oczekiwał słonego napiwku.

Zadzwoniła komórka Agnieszki. Odebrała.

- Teraz nie mogę z tobą rozmawiać, Gerard.

A więc to tak! Gerard! Byłem chyba bliski zawału. Gdyby nie te cholerne korki, kazałbym taksówkarzowi zawracać na dworzec, a może nawet do samej Warszawy.

W końcu wylądowaliśmy w Sheratonie. Hotel na szczęście podobał mi się, bo lubię wnętrza w kształcie atrium. Dopiero jednak w apartamencie odetchnąłem z ulgą i napiłem się wody.

- Chcesz wziąć prysznic? - zapytała Agnieszka.

- Tak. Przedtem zrobię rezerwację w Wierzyнку. Było dla mnie oczywiste, że kolację zjemy w Wierzyнку.

Odszukałem telefon do restauracji w książce telefonicznej.

- Przykro mi, ale nie ma już wolnych stolików - usłyszałem w odpowiedzi jadłowity głos recepcjonisty.

Byłem więcej niż wściekły. Mój precyzyjnie ustalony plan zaczął się sypać.

- Nie martw się, znajdziemy coś na Rynku - pocieszała mnie Agnieszka.

Nie miałem ochoty jeść byle czego i byle gdzie, ale trudno, nie było wyjścia. Wziąłem szybką kąpiel i przebrałem się.

Wyszliśmy na Rynek, gdzie... koszmar trwał! Wszędzie albo nie było miejsc, albo nie podobało mi się. Wyglądało na to, że będziemy musieli zadowolić się zapiekanką z budki albo wrócić do hotelu.

Na to ostatnie nie miałem jakoś ochoty. Chciałem rozstać się z Agnieszka w jakimś innym miejscu i spokojnie sam wrócić do apartamentu.

- W Krakowie było w ubiegłym roku więcej turystów niż w Pradze - chwaliła się Agnieszka.

- To potwierdza jedynie, że ludzie miewają naprawdę szalone pomysły - burknąłem.

- Chodź, zabiorę cię na Kazimierz! - zaproponowała Agnieszka. - Tam na pewno coś zjemy.

- A daleko to? - Nie!

Agnieszka wystrzeliła jak z procy, ja zdyszany podążałem za nią. Po drodze pokazywała mi jakieś znane miejsca i zabytki, ale ja miałem wszystkiego dosyć.

Kiedy wreszcie dotarliśmy na Kazimierz, okazało się, że możemy tam liczyć tylko na kiełbaski lub kaszanek z rusztu, serwowane pod gołym niebem na placu Nowym.

- Ty chcesz mnie chyba otruć! - zaprotestowałem.

- Wszyscy to jedzą i nie umierają.

Byłem tak głodny, że zjadłbym chyba konia z kopytami, przestałem więc grymasić.

Kaszanka z ogórkiem i musztardą była nawet smaczna, ale kiedy człowiek jest głodny, po prostu nie wybrzydza.

- Ile płacę? - zapytałem obsługujących.

- Daj spokój - powiedziała Agnieszka. - W Krakowie ja stawiam.

- Niech ci będzie - machnąłem ręką, będąc już w nieco lepszym nastroju.

Potem zabrała mnie do Alchemii, podobno najmodniejszej knajpy na Kazimierzu. Było tam tak tłoczno, że nie można było włożyć szpilki.

- Aga! Chodź do nas! - zawołali do Agnieszki jacyś jej znajomi.

Przysiedliśmy się do stolika, przy którym siedział jakiś łyśy koleś i dwie bezbarwne dziewczyny. Agnieszka przedstawiła ich.

- To Viola, to Daria, a to Mariusz. A to jest Adam.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Szybko okazało się, że Mariusz to reżyser teatralny, a Daria i Viola - młode, ładne, ale głupiutkie aktorki, którym na szczęście nieobca była zasada: bądź piękna i milcz, bo prawie się nie odzywały, tylko sączyły przez słomki drinki, a konkretnie pinacoladę.

- Kiedy przyjdzie jakaś obsługa? - zainteresowałem się, bo też chciało mi się pić.

- Musisz kupić sobie sam przy barze - rzuciła Agnieszka.

Poszedłem zamówić dwie żołądkowe gorzkie. Kiedy wróciłem, moje towarzystwo pytało z ożywieniem o teatrze.

- Zapraszam cię na moją premierę! - zawołał Mariusz, wręczając mi nonszalancko jakiś przedziwny kawałek papieru, który okazał się zaproszeniem.

- Kiedy?

- Jutro! - wskazał na datę. I bardzo dobrze, bo zaproszenie było tak awangardowe, że sam nigdy bym tych informacji nie znalazł.

- W którym teatrze?

- Nieteatrze. Tak się nazywamy.

- Czyli kolejny paw... - wyrwało mi się. - Ups. Chciałem powiedzieć: Paw królowej.

- Za kogo ty mnie masz?! - oburzył się Mariusz.

- Dzięki Agnieszce orientuję się trochę we współczesnym polskim teatrze.

Agnieszka podała mi dłoń pod stołem. Chwyciłem ją, ale czułem się z tym głupio.

- My nie jesteśmy teatrem - tłumaczył dalej Mariusz. - Nazwaliśmy się tak na znak protestu. Po prostu robimy sztukę, istniejemy już dziesięć lat. Ostatnie przedstawienie zrobiłem trzy lata temu.

- To z czego żyjecie? - spytałem rozbawiony.

- Miałem firmę, która zajmowała się sprzątaniami biur i mieszkań.

- A kariera? - zapytałem z troską.

- Jaka kariera? - prychnął, a towarzyszące mu panny roześmiały się głośno. - Nie ma żadnej kariery.

- Nie bałeś się, że wypadniesz z obiegu?

- Nie - wyszczerzył zęby - bo nigdy w nim nie byłem.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści osiem.

- To tyle samo, co ja. Czas płynie, co?

- I co z tego? - poklepał mnie po ramieniu. - Czas jest wrogiem mody, a nie sztuki. Sztuką zajmuję się tylko wtedy, kiedy mam coś do powiedzenia. Nie interesuje mnie to, co jest na zewnątrz człowieka, ale to, co w jego środku. Trzy lata pisałem nową sztukę.

- Pewnie szukasz sponsora?

- A na cholere mi sponsor? - w tym momencie odwrócił się do jednej z dziewczyn, Violi czy Darii, i zaczął lizać jej szyję. - Żebym miał poczucie winy, że wydaję czyjaś kasę?

- O czym jest twoje przedstawienie?

- O kobiecie - oderwał się od swojej przyjaciółki i spojrzał na Agnieszkę - w której zakochał się jeden facet. On jest bogaty, a ona biedna. Ona go nie kocha, a on uważa, że

powinna, bo on kocha ją. On cierpi z tej miłości. Ona też, bo go nie kocha, a wszyscy uważają, że powinna. Sztuka ma tytuł Kochana - wrócił do lizania szyi Darii lub Violi.

- Ciekawy temat.

- Pisałem tę rolę dla naszej kochanej Agnieszki - machnął ręką w jej stronę, przechodząc szybko w dół dekoltu Violi czy Darii - ale ona nie mogła jej zagrać.

Poczułem w sercu ukłucie zazdrości, kolejny facet interesował się Agnieszką. Może z nią też się obściskował publicznie. Może to jest jakieś wyjście - ja z Iwoną, a Agnieszka z Mariuszem? Zdecydowanie bardziej wolałem jego niż Gerarda.

- O, dlaczego? - spytałem niewinnie Agnieszkę i wykorzystując okazję, puściłem jej dłoń.

- Mam teraz stałą pracę - odpowiedziała, lekko się czerwieniąc.

- Gdzie? - zapytałem, a Mariusz zaczął obcałowywać drugą z dziewczyn.

- W firmie autobusowej. Jestem tam sekretarką.

W jej życiu nastąpiły zmiany, a ja nic o tym nie wiedziałem.

- Po co ci to? - pytał Mariusz, niebezpiecznie zbliżając się do ucha drugiej z dziewczyn. - Ty jesteś stworzona, żeby grać. To było zawsze twoje marzenie, nie rezygnuj z niego, nie poddawaj się.

- Muszę. Nie stać mnie na marzenia - odpowiedziała smutno.

- Może ty ją przekonasz, Adam, żeby nie marnowała swojego talentu. Co ja mówię, życia! - Oderwał się od Violi czy Darii i przysunął bliżej mnie. Przez chwilę bałem się, że zaraz i mnie zacznie obcałowywać.

- Ja? Nie mam na nią żadnego wpływu...

Dalsza rozmowa z Mariuszem upłynęła bardzo sympatycznie. Co jakiś czas przyklejał się do którejś z dziewczyn z duetu Daria - Viola, ale po kilku żołądkowych gorzkich nie przeszkadzało mi to wcale. Zresztą okazało się, że obie, zarówno Viola, jak i Daria, od czasu do czasu całkiem sensownie włączały się w naszą rozmowę.

O północy pojechaliśmy do nowego mieszkania Violi lub Darii, które kupili jej rodzice. Przy okazji dowiedziałem się, że teraz modne są spotkania towarzyskie w mieszkaniach.

- No tak - powiedziałem. - Kiedy wzięło się jeden kredyt na mieszkanie, a drugi na jego urządzenie, to trzeba się tym cieszyć!

Było nadzwyczajnie, bo okazało się, że po mieszkaniu krąży dopiero co napoczęta butelka żołądkowej gorzkiej. Agnieszka rozmawiała z różnymi oryginałami, a ja... tańczyłem sobie z Darią lub Violą, a może z jedną i drugą?

Fantastycznie! - pomyślałem/Działy na mnie inne dziewczyny!

W pewnym momencie poczułem jednak, że mam dosyć, że muszę wyjść. Spojrzałem na Agnieszkę. Jej mina mówiła to samo.

- Idziemy? - spytałem, kiedy do niej podszedłem. W odpowiedzi ujęła mnie pod ramię.

Było trochę po drugiej w nocy, gdy opuszczaliśmy mieszkanie Violi czy Darii.

- Musimy wezwać taksówkę - zauważyłem.

- Przejdźmy się - zaproponowała, trzymając mnie cały czas pod ramię.

Było mi dziwnie przyjemnie i wcale nie dlatego, że się troszeczkę zalałem. Kraków podobał mi się zdecydowanie bardziej niż kilka godzin wcześniej.

- Drogie są tutaj mieszkania? - zapytałem Agnieszkę, kiedy znaleźliśmy się nad Wisłą. Droga nad rzeką prowadziła prosto do hotelu.

- Chciałbyś sobie kupić mieszkanie w Krakowie?

- To może być niezła lokata kapitału - zaśmiałem się.

- Ech, ty ciągle myślisz o interesach - wtuliła się mocniej we mnie.

- Bo nic innego w życiu mi nie wychodzi.

Było chłodno, więc oddałem jej swoją marynarkę. Z żalem myślałem o tym, że za chwilę odprowadzę ją do domu, a potem sam wrócę do hotelu.

- Wiesz, po co tutaj przyjechałem? - spytałem nieśmiało, opatulając ją dokładnie marynarką.

- Wiem. Żeby wszystko skończyć.

Zapadła cisza. Szliśmy dalej, ale żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. W końcu znaleźliśmy się przed Sheratonem. Agnieszka zatrzymała się.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponowałem, choć wcale nie miałem na to ochoty. Chciałem, żeby została.

- Dzięki, ale trafię sama - zapadła cisza.

- A może chcesz na chwilę wejść ze mną do hotelu? - w końcu wydusiłem z siebie.

- Chcę - ruszyła zdecydowanie, jakby na to czekała.

- A wiesz, co będziemy tam robić? - ledwo za nią nadałem.

- Jak to co? To, co zwykle. Kochać się - odpowiedziała, nawet się do mnie nie odwracając.

I jak ja mogłem na to nie zareagować?

Rano obudziliśmy się przytuleni do siebie.

- Kocham cię, wiesz? - wyszeptałem.

- Wiem.

Znów się kochaliśmy. Potem wzięliśmy prysznic i zjechaliśmy na śniadanie.

Agnieszka wpatrywała się we mnie, próbowała coś mówić, a ja milczałem. Zastanawiałem się.

A może niech będzie tak, jak jest? Ja w Warszawie, a ona tu w Krakowie? Będziemy spotykać się w weekendy, będzie fajnie do czasu, aż nie będzie fajnie. Bez zobowiązań. Czysta przyjemność. Ja ożenię się z Iwoną, a Agnieszka...

Nie, nie chciałem, żeby była z kimś innym, żeby ją ktoś dotykał, pieścił.

Nie, nie wytrzymam tego. Nie mogę oszukiwać Iwony. Nie mogę wykorzystywać Agnieszki.

Wróciliśmy na górę.

- Co będziemy dzisiaj robić? - zapytała Agnieszka.

- Nie wiem. Nie mam żadnych planów.

- Mogę zostać z tobą do niedzieli, prawie do południa - powiedziała, opadając na łóżko - tylko muszę skoczyć do domu po rzeczy.

- A potem?

- Potem muszę jechać do rodziny - usiadła, podciągając nogi pod brodę.

- A może na spotkanie z kimś innym? Na przykład Gerardem - przystąpiłem do ataku.

Zamilkła, spuściła oczy. Wzięłem ją za rękę i poprowadziłem do fotela.

- Siadaj - poprosiłem. Sam uklęknąłem przy niej na dywanie.

- Agnieszko, było mi z tobą dzisiaj bardzo dobrze - zacząłem niezdarne.

- Mnie też. Jak zwykle.

- Posłuchaj: to nie ma sensu. Musimy się rozstać. Dla naszego dobra. Przynajmniej dla mojego. Ja tego nie wytrzymuję. To dla mnie za intensywne. Nie potrafię się tobą dzielić. Ja mam swój świat, ty masz swój świat. Wracajmy do nich.

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, przygryzając wargi. Podeszedłem do niej. Przytuliłem, czułem, jak mocno przywarła do mnie.

- Zrozum, ja cierpię. Chodzę nawet na terapię. Ty to wytrzymujesz lepiej. Dobrze się z tym czujesz...

- A skąd ty możesz wiedzieć, co ja czuję? - wybuchnęła nagle, odpychając mnie od siebie. - Nigdy się tym nie interesowałeś.

- Przecież widzę.

- Myślisz tylko o sobie - w jej oczach pojawiły się łzy.

- Aga, nie chcę, żeby to się tak skończyło. Nie kłóćmy się. To bez sensu. Chcę mieć ciebie całą albo wcale...

- Nigdy nie będziesz miał mnie całej - powiedziała z zaciśniętymi zębami, walcząc ze łzami.

- Wiem. Dlatego musimy się rozstać. Ja nie mam sobie nic do zarzucenia. Zawsze byłem wobec ciebie szczery, a ty wobec mnie nie.

Agnieszka odwróciła się, wyciągnęła chusteczkę z torebki, otarła wilgotne oczy. Na moment w pokoju zapadła całkowita cisza. Poprawiła nerwowo makijaż. Usiadła na łóżku, znów przygryzając wargi. Usiadłem obok niej, spojrzała mi w oczy.

- Masz rację. Okłamywałam cię - powiedziała, patrząc mi w oczy, a ja zamarłem. - To znaczy nie mówiłam ci wszystkiego...

Mimo że się czegoś takiego spodziewałem, to wyznanie uderzyło mnie. Ciarki przeszły mi po plecach. Wiedziałem, że za chwilę usłyszę coś mrocznego i groźnego.

Agnieszka wstała z łóżka, podeszła do swojej torebki i wyjęła z niej telefon.

Do kogo chce teraz zadzwonić? - myślałem gorączkowo. Czyżby do Gerarda?

Zamiast wybrać jakiś numer, Agnieszka wywołała z telefonu galerię zdjęć - jej nowy siemens był znacznie lepszy, tak jak poprzedni miał aparat fotograficzny.

Przez chwilę przeszukiwała galerię, po czym podsunęła mi aparat.

- Widzisz to dziecko?

Pokazywała mi fotografię dziewczynki, którą widziałem już w Barcelonie.

- To córka twojej kuzynki, tak? - spytałem niepewnie.

- Nie, to moja córeczka...

Byłem wstrząśnięty. A więc to tak... Agnieszka znowu zaczęła płakać, ręka z telefonem opadła na kołdrę.

- Ma na imię Weronika. I ma trzy lata. To dla niej rzuciłam studia. Wcale mnie nie wyrzucili.

Ciarki znowu przeszły mi po plecach. Czułem, że to jakaś przejmująca historia.

- A jej ojciec? - zapytałem po krótkiej chwili.

- Nie żyje.

Zapadła cisza. Agnieszka nie mogła mówić dalej. Ja zaś byłem w takim szoku, że nie wiedziałem, co robić.

- Tomek był studentem architektury, właściwie ją kończył i zaczynał pracować w zawodzie, dobrze mu szło. Był cztery lata starszy ode mnie. Poznaliśmy się na jakiejś imprezie i pokochaliśmy. Ja akurat zdałam na studia, on mieszkał w akademiku. Wynajęliśmy razem mieszkanie. Mieliśmy mało kasy, ale było naprawdę super... Pewnego razu zemdłał. Wkrótce sytuacja się powtórzyła. Nie wiedział, co mu jest. Poszedł na badania. Okazało się, że to rak mózgu, złośliwy... Wszystko poszło bardzo szybko. Miał operację, ale nie pomogła, guz był za duży, były przerzuty. Zmarł po trzech miesiącach. Ja byłam już w czwartym miesiącu, ale niczego mu nie powiedziałam. Chciałam urodzić to dziecko. I nigdy

nie żałowałam, że mam Weronikę. To do niej musiałam wracać, to z nią mieszkam...

- Teraz wszystko rozumiem.

- Kiedy miałam jakąś pracę w Warszawie czy spotykałam się z tobą, zostawiałam ją z siostrą albo z mamą, albo z sąsiadką. Wtedy gdy wróciłam z Brukseli i nie chciałam zostać z tobą, tylko wróciłam do Krakowa, miałam telefon, że Weronika jest chora...

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- Bałam się. W tym, co próbowałam robić, dziecko nigdy nie jest mile widziane. A wtedy, w Barcelonie, było mi z tobą tak dobrze, prawie tak jak z Tomkiem... Ty też mówiłeś, że jesteś ze mną szczęśliwy. Właśnie wtedy chciałam ci wszystko powiedzieć, dlatego pokazałam ci to zdjęcie, ale ty powiedziałeś, że nie lubisz dzieci. Dlatego skłamałam, że to dziecko kuzynki.

- Agnieszko... Powiedz, czy ty... kiedykolwiek jeszcze mnie okłamałaś? - wykrztusiłem wstrząśnięty własną głupotą.

- Poza sprawami związanymi z Weroniką nigdy.

- Oj, Agnieszka, Agnieszka... Coś ty narobiła...

- Wiem... Wszystko zepsułam.

- Nie, to ja niemal wszystkiego nie zepsułem - kajałem się przed nią. - Co za idiota ze mnie!

ROZDZIAŁ 5

- Byłeś w Krakowie? Rozmawiałeś z Agnieszką? - Anita zadzwoniła zaraz po moim powrocie.

- Tak, mam to już za sobą - odpowiedziałem smutno.

- Nie przejmuj się. To minie. Przez parę dni poboli cię serducho, a potem przestanie. Dojdiesz do siebie, już my ci w tym pomożemy, nie martw się. Nie warto żałować złej miłości. Prawdziwa miłość powinna przynosić radość, a nie cierpienie.

- Słuchaj Anita... - przerwałem jej monolog. - Masz może telefon do Wiktora?

- Do Wiktora? - zaskoczyła ją moja prośba. - A po co ci ten stary nudziarz?

- Chcę go o coś zapytać.

- A mnie nie możesz?

- Nie - odparłem chyba zbyt stanowczo.

- Szkoda... - w jej głosie wyczułem lekką urazę. - Zaczekaj, zaraz ci dam ten numer.

- Kiedy pojedziemy odwiedzić Helenę? - zapytała, kiedy skończyłem notować numer.

Helena w końcu zdecydowała się na operację raka piersi. Teraz leżała w Centrum Onkologii.

- A kiedy można?

- Dowiem się. Czeka nas wiele roboty, żeby postawić ją na nogi po tym wszystkim... - westchnęła głęboko.

- Chyba tak.

Pożegnałem się z Anitą, zadzwoniłem do Wiktora i umówiłem się z nim w Hyacie.

Spotykaliśmy się wieczorami od poniedziałku do środy. Wiktor porządnie dał mi w kość.

- Myślisz, że dam sobie radę? - zapytałem na koniec.

- Dasz. Jesteś mocny. Masz silne łapy, mocną klatę i nogi... Stawiam na ciebie, Adam - powiedział Wiktor. - Nie

obraż się, ale kiedy cię poznałem, to pomyślałem, żeś baba. A teraz widzę, że z ciebie jest całkiem porządny facet - dodał.

Podziękowałem mu za wszystko, przybiliśmy piątkę.

- Trzymam za ciebie kciuki - obiecał. - Natychmiast zadzwoń i powiedz, co i jak...

Przez ten tydzień nie tylko spotykałem się z Wiktorem, ale porządkowałem mnóstwo innych spraw. Jeszcze w poniedziałek pojechałem do Magdalenki. Mama akurat pakowała walizki. Wybierała się z ojcem do Finlandii.

- Do Finlandii? Dlaczego właśnie tam? - zapytałem zaskoczony.

- A czy ty wszystko musisz wiedzieć? - mama wyraźnie odmłodziła, odzyskała wigor. - Czy ja cię pytam, co robisz przez cały tydzień?

- A nie pytasz?

- Nie. Sam mi wszystko mówisz - odparła i puściła do mnie oko. Osłupiałem.

- Mamo, musimy porozmawiać... - zacząłem niepewnie.

- Czego znowu chcesz? - Chyba była mną zniecierpliwiona! Nie poznawałem jej. Była dla mnie wyjątkowo niemiała.

- Ile jeszcze lat będę cię niańczyć? Masz prawie trzydzieści dziewięć lat. Nie mogę się bez przerwy tobą zajmować. Ja też mam swoje życie. Zajmij się wreszcie sobą. A najlepiej znajdź sobie kogoś, z kim ci będzie naprawdę dobrze.

- Właśnie mam taki zamiar - odparłem dumnie.

- Świetnie. A teraz zmywaj się stąd, bo mi przeszkadzasz. Już miałem odejść, gdy nagle złagodniała.

- Aha, mam do ciebie prośbę. Kiedy mnie nie będzie, zajmij się kotami.

- Przecież mieszka tu pan Józef i przychodzi pani Ula... - broniłem się.

- A, rzeczywiście - machnęła na to ręką. - Masz rację. Skoro ty sobie poradzisz, to koty również.

Wychodząc z domu, natknąłem się na ojca, który przymierzał w korytarzu mój płaszcz.

- Wszystko w porządku, synu? - on także odzyskał nadwątlone latami siły i tryskał zadziwiającą energią.

- W jak najlepszym. Bawcie się dobrze w Finlandii. Ale tak przy okazji, to mój płaszcz...

- Nie powinieneś nosić takich rzeczy - machnął ręką w moją stronę, jakby chciał mnie odgonić.

- Dlaczego? - zdziwiłem się, bo płaszcz według mnie był bardzo szykowny.

- Postarząją cię. Na mnie byłby dobry.

- To sobie go weź - wydusiłem. Miałem go już dosyć. Moi rodzice powariowali.

- Dziękuję, przyda się. W Finlandii jest znacznie zimniej niż w Polsce.

- A co z twoimi bliźniakami? - postanowiłem odwdziaczyć się za stratę płaszcza - Powiedziałeś już o nich mamie?

- Cii... - ojciec natychmiast położył palec na ustach. - Będziemy mieli dużo czasu na tej wycieczce.

Zostawiłem rodziców w głębokim przekonaniu, że przynajmniej przez jakiś czas nie będą mnie potrzebować, ba, nawet myśleć o mnie, co w przypadku ojca było normalne, ale jeśli chodzi o mamę, zdumiewające. Pokrzepiony ich zachowaniem postanowiłem spotkać się z Iwoną.

Powiedziałem jej, że wpadnę do jej mieszkania na Płockiej. Wiedziałem, że to będzie bardzo trudne spotkanie, ale chciałem je mieć za sobą. Może dlatego przyjechałem trochę wcześniej.

- Ale mnie zaskoczyłeś! - Iwona otworzyła mi drzwi i zaraz pognęła do łazienki. - Nie możesz teraz na mnie patrzeć, bo mam na sobie rajtuzy antycellulitowe.

- Te z telezakupów? - udałem zainteresowanie.

- Tak. Magda twierdzi, że jej pomogły - szczebiotała z łazienki.

- A kto to jest Magda?

- Dziewczyna Bernarda.

- Nie znam - odparłem znudzony.

- Jak to? Przecież poznałeś ją w Zakopanem.

- A tak, racja - przyznałem bez entuzjazmu, bo nie zapisała się w mojej pamięci jakoś szczególnie.

- Zaczekaj. Jeszcze dwie minuty i je zdejmę.

Usiadłem na kanapie. Kicia wskoczyła mi na kolana i domagała się pieśczot. Na stoliku leżała książka i pióro. Wziąłem do ręki książkę zaintrygowany jej ładną oprawą z czerwonego jedwabiu.

To nie była książka, tylko notatnik, a ściślej mówiąc dziennik Iwony. Przypomniałem sobie, jak kilka razy wspominała, że opisuje, co dzieje się w jej życiu. Dziwiło mnie to, ale uznałem to za kobiecą fanaberię. Z drugiej strony podświadomie czułem zażenowanie, że może tam pisać o mnie.

Głupio być bohaterem jakiś historii... Nie lubię też zaglądać w cudze sprawy, grzebać w intymnych zwierzeniach, ale jakoś bezwiednie zacząłem kartkować dziennik, podziwiając staranne pismo Iwony. Nie powinienem tego robić, ale stało się. To oczywiste, że Iwona pisała też o mnie. Dlatego w końcu zatrzymałem się przy wpisie ze stycznia.

„Ten kretyn, Adam, chyba się zorientował, że wygląda jak idiota w tym złotym łańcuszku ode mnie, bo go nie nosi. A szkoda, bo wyglądał pociesznie. Trudno mi się było powstrzymać od śmiechu, kiedy go w nim widziałam. Dzisiaj

nabijaliśmy się z niego z Bernardem. Bernard bardzo dobrze go naśladuje. Naprawdę można skonać. Znowu zrobiliśmy to z Bernardem. To chyba wina wina, które przyniósł... Bernard też nie jest w porządku wobec mnie. Ciągle namawia mnie na trójkąt z nim i Magdą. Ma nadzieję, że odkryję w sobie skłonności bi, ale ja na sto procent wolę tylko facetów..."

Zamknąłem dziennik i odłożyłem na miejsce. Wstałem. Kicia z miauknięciem spadła mi z kolan. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem. Już wiedziałem, co mam robić.

- Już jestem! - Iwona wyszła z łazienki lekko zaróżowiona.

- Zamknij oczy - poprosiłem.

- Masz dla mnie jakiś prezent?! - zapytała podekscytowana.

- Tak, tylko zamknij oczy i wyciągnij dłoń.

Zrobiła to z uśmiechem. Zdjąłem z szyi łańcuszek, włożyłem jej do ręki i nie czekając na jej reakcję, wyszedłem z mieszkania.

O rety, jakie życie jest proste! - myślałem po drodze lekki jak ptak, chociaż zostało mi jeszcze jedno, chyba najtrudniejsze zadanie.

W środę wykonałem bardzo ważny telefon. Musiałem przy tym trochę nakłamać.

- Mamy nową markę! Guerlaina! - krzyknąłem do słuchawki.

- Nie?! Moje gratulacje! - odpowiedział głos po drugiej stronie.

- Robimy nową promocję. Zajmiesz się tym?

- Z przyjemnością.

- Mogę przyjechać - zaproponowałem. - Podrzucę ci wszystkie materiały.

- Wpadaj. My już kończymy robotę, ale zaczekam na ciebie.

O to właśnie mi chodzi, baranie, pomyślałem.

Agencja Melon miała siedzibę na starym Mokotowie, na Narbutta. Miasto jak zwykle było zakorkowane, więc trochę potrwało, zanim tam dotarłem. Nacisnąłem dzwonek.

- Otwarte! - zawołał Gerard, a ja mimo to nie otworzyłem drzwi, tylko jeszcze raz nacisnąłem dzwonek. Po chwili lekko zniecierpliwiony Gerard pojawił się na progu swojej agencji.

- Serwus, stary...

Urwał, gdy przyjrzał się mojej twarzy. Już wiedział, że coś się stało. Nie czekałem na oklaski, natychmiast zdzieliłem go lewym sierpowym.

- To za mnie...

Zachwiał się, ale nie upadł. Poprawiłem.

- ... a to za Agnieszkę.

Tym razem znalazł się na podłodze z rozkwaszonym nosem, z którego ciekła krew.

Myślę, że Wiktor byłby ze mnie bardzo zadowolony.

Poczułem satysfakcję, choć w gruncie rzeczy był to najłagodniejszy wymiar kary, na jaką zasłużył Gerard. Podczas ostatniego spotkania z Agnieszką wyszły na jaw wszystkie jego prostackie machlojki. Chcąc do końca wyjaśnić sprawę z Agnieszką, zapytałem ją wprost o film Newmana.

- Nic z tego nie wyszło - powiedziała bez żalu w głosie.

- Jak to? - zdziwiłem się. - Przecież czytałem w Internecie, że grasz u niego.

- Gerard mnie oszukał.

- Co? - ciśnienie mi gwałtownie podskoczyło.

- On miał tylko telefon do Newmana - tłumaczyła Agnieszka. - Kiedy do niego zadzwoniłam, facet o niczym nie wiedział. Chciał wprawdzie, żebym przyjechała do Pragi i zagrała jakiś epizod, ale nie miałam na to ochoty.

- A sesja do „CKM - u”? - wykrztusiłem z niedowierzaniem.

- To też lipa. Zdjęcia robił mi jakiś znajomy Gerarda, a „CKM” ich na moje szczęście nie kupił. Gerard zapłacił za sesję ze swojej kieszeni.

- Po co on to robił? - gdybym miał go teraz pod ręką, tobym go chyba ukatrupił.

- Jak to po co? Żebym się z nim przespała. Byłam głupia, myśląc, że on chce mi bezinteresownie pomóc. Wydaje mi się, że wtedy, gdy zasłabłam na jego urodzinach, to właśnie on wrzucił mi do drinka narkotyk...

Nagle przypomniałem sobie, że ciągle nie wyjaśniłem jednej sprawy.

- A pamiętasz nasze pierwsze spotkanie na promocji Demi?

- Oczywiście. Przecież wtedy się poznaliśmy.

- A ja nie... Byłem pijany - dodałem ze wstydem.

- Szkoda. Bardzo fajnie nam się rozmawiało, tylko Gerard co chwilę nam przerywał.

- Gerard... Powiedział mi, że napastowałem cię, klepałem po pupie...

- Nic podobnego. Gdybyś to zrobił, nigdy bym się z tobą nie umówiła! Nie lubię namolnych typów.

Byłem głupi, co do tego nie było wątpliwości. Ale rachunki z Gerardem zostały wyrównane. Jeszcze nie do końca, ale na razie postanowiłem przestać o nim myśleć. Miałem co innego na głowie.

W czwartek miałem nowe zadanie, całkiem przyjemne, postanowiłem obarczyć nim Olę.

- Masz mi kupić psa - powiedziałem do niej służbowym tonem.

- Psa? Takiego prawdziwego?

- Nie - zaśmiałem się. - Zabawkę. Podobno są takie psy, które reagują, jak się na nie woła...

- A tak, widziałam reklamę.

- Jeśli wiesz, o co mi chodzi, to załatw to. Jutro muszę go tutaj mieć.

Bogdan zbaraniał, kiedy nazajutrz wszedł do biura i zobaczył, jak siedzę na podłodze i wołam do sztucznego psa, który macha ogonem.

- To działa! - zawołałem radośnie. Bogdan uklęknął naprzeciw pieska.

- O rety, mam nadzieję, że już niedługo będą robili takich facetów i facetki. Wtedy skończą się nasze problemy.

- Życie byłoby nudne bez problemów - zaproponowałem.

- To prawda - westchnął. - Niektórzy lubią się zamartwiać.

- Ja do nich nie należę.

- Szczęściarz - Bogdan podniósł się nieco niezdarnie.

- Żebyś wiedział.

- Skoro humor ci dopisuje, to może pozwolisz nam zrobić imprezę w twoim mieszkaniu na Paryskiej?

- Jaką znowu imprezę? - zapytałem, wciąż bawiąc się psem.

- Recital Ireny Jarockiej z płyty Odpływają kawiarenki. Jacek ma urodziny. Z tej okazji będzie próbował być drag queen. Może chociaż w ten sposób zacznie zarabiać jakieś pieniądze na życie? Co o tym myślisz?

- A, róbcie sobie, co chcecie! - machnąłem ręką.

- A może ty też wpadniesz? - wyraźnie się ożywił.

- Niestety, ten weekend mam zajęty.

Spojrzał na mnie znacząco i obydwaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Tym razem wykupiłem bilet tylko na jedno miejsce w pociągu do Krakowa. Przedział był pełny, ale jakoś mi to nie przeszkadzało. Nawet kobieta z dzieckiem.

- Ile ma lat? - zapytałem uroczą mamę.

- Trzy.

- To tyle samo co... - zawahałem się.

- Pańskie?

- Niezupełnie, ale prawie tak można powiedzieć - uśmiechnąłem się do swoich myśli.

Agnieszka czekała na mnie na peronie razem z Weroniką.

- Cześć, jestem Adam - uścisnąłem jej małą rączkę.

- A ja Weronika.

Wręczyłem pieska. Bardzo się z niego ucieszyła.

- Mój Klocuś!

- Widzę, że już masz dla niego imię? - ucieszyłem się.

- Od dawna chciała, żebym jej kupił takiego psa - wtrąciła Agnieszka.

Pojechaliśmy do mieszkania wynajmowanego przez Agnieszkę. Już tylko od niej zależało, czy będzie chciała mieszkać tam dłużej. Zjedliśmy kolację, którą przygotowała. Gulasz z galuszkami.

- Właśnie eksperymentuję z kuchnią węgierską - powiedziała, jakby się usprawiedliwiając.

Potem obejrzelśmy na wideo Epokę lodowcową i Weronika poszła spać do swojego pokoju.

Agnieszka pościeliła dla nas łóżko w malutkiej sypialence.

- To nie to samo co twoje luksusy - powiedziała lekko zawstydzona.

- Nic nie szkodzi. Nie jestem wybredny - odpowiedziałem szczerze, bo byłem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Położyliśmy się i mocno przytuliliśmy.

- Chcesz być ze mną tak długo, jak się da? - zapytałem cicho.

- Tak, chcę. Tak... - odparła Agnieszka z całą mocą.

I z tym niezmaconym postanowieniem, wtuleni w siebie, zasnęliśmy.